O Administracyi angielskiéj.

Administracya francuzka jest owocem myśli filozoficznéj, pojętéj przez Zgromadzenie konstytucyjne r. 1789; administracya angielska przeciwnie, jest owocem myśli historycznéj. Do szesnastego wieku, Francya miała administracyą zbliżoną do angielskiéj, opartą na wolności, na życiu gminném i prowincyonalném. Od téj epoki dążenie się jéj zmieniło. Francya dążyła coraz bardziéj do jedności; do jedności kosztem tradycyi, często kosztem wolności; Anglia zaś postępowała ciągle drogą tradycyi i wolności. Rewolucya francuzka z r. 1789, do zasady jedności dodała zasadę równości i wolności. Na tych trzech zasadach wzniosła się administracya francuzka z r. 1791; ale kiedy zasada równości przeszła granicę rozsądku, zaprowadzoną została roku 1799 administracya centralna, z któréj wolność całkiem zniknęła.

Administracya angielska jest przedewszystkiem zwyczajową; uważana nawet w ogóle, jest niemal taką jaką była w wieku siedmnastym, kiedy przeciwnie dzisiejsza administracya francuzka jest żywém przeciwieństwem administracyi wieku siedmnastego. Jedna z właściwości charakteru angielskiego była odraza do czystéj idei, do

celu systematycznego, do syntezy i tego wszystkiego co nie było rzeczywistością. Anglia żyła w praktyce i w nią się wkopywała, kiedy Francya żyła w idei i w niéj się gubiła. Pierwsza, materializując wyobrażenie prawa, opierała się na prejudykatach i zwyczajach; druga, zrywając co chwila pęta tradycyi, unosiła się na skrzydłach samego rozumu. Pierwsza była nieprzyjaciółką jedności systematycznéj i władzy despotycznéj; druga, miłowała przedewszystkiem jedność, tożsamość, i dla tego celu gotowa była poddać się pod despotyzm Ludwika XIV albo Napoleona. Anglik, dla zabezpieczenia swéj wolności, uznawał wolność innych i wszystkie, choćby najniesprawiedliwsze wyższości; gdy przeciwnie Francuz, dla zapewnienia jedności i równości, wyrzekał się wolności. Anglik rodził się odłącznym sektarzem, ale ufnym w siebie i wielkim; gdy tymczasem Francuz rodził się towarzyskim, ale zazdrosnym, niedowierzającym i małym.

Anglia i Francya są to dwa przeciwne bieguny pod względem administracyi, jednakże obie administracye zarówno obchodzą Polskę. Administracya angielska oświeca naszą przeszłość, a administracya francuzka, teraźniejszość a może i przyszłość. Administracya francuzka została zaszczepioną na ziemi polskiéj roku 1807. Był to środek wygodny, bo energiczny i prędki do odrodzenia narodowości upadłéj; ale administracya angielska ma także u nas historyą jeżeli nie zasługę. Na jéj zasadach Ignacy Potocki starał się, za Sejmu czteroletniego, poprawić administracyą dawnéj Polski. Aby się o tém przekonać, dość odczytać *Urządzenie komisyi policyi Jeneralnéj* z roku 1791. Dążenie zdawało się trafne, albowiem ówczesna konstytucya polska zbliżała się w wielu formach do konstytucyi angielskiéj; czas wszakże pokazał, że Potocki się pomylił, i że nie zrozumiał gruntu społeczności angielskiéj. Administracya angielska opierała się na przeszłości, bez obrazy sprawiedliwości publicznéj, a Potocki, opierając się na przeszłości, kusił się o zatrzymanie uciążliwych niesprawiedliwości społecznych. Administracya angielska, opierając się na wolnym postę-

pie, miała własność przechowywania, a Polska potrzebowała administracyi, która podnosi i wskrzesza. Dążenie Sejmu czteroletniego objawiły także Węgry w czasach ostatnich. Czaplowicz, w piśmie *England und Ungarn, eine Paralelle,* nazwał Węgrów anglikami wschodnimi, dla tego, że ich konstytucye miały być podobne do siebie. Podług niego w konstytucyi i administracyi węgierskiéj *sunt bona mixta malis,* a w konstytucyi i administracyi angielskiéj *sunt magna bona mixta magnis malis.* Wiadomo, że dążenie to także się nie utrzymało, i że na wzór tego co się stało w Polsce roku 1807, Kossuth sprowadził Węgry na drogę administracyi francuzkiéj. Przyczyny postępowania Kossutha, jeżeli je istotnie rozumiał, były niemal też same co w Polsce. Węgry potrzebowały reform społecznych, ale zarazem pospiechu w ratowaniu narodowości; szukały administracyi, która łączy, podnosi i wskrzesza. Do tych przyczyn dołączyły się inne, dotykające różnicy społeczności i charakteru tak Węgier jak Polski. Aby te przyczyny uczynić wydatnemi, należy poznać geniusz społeczności angielskiéj, a zarazem historyą i naturę jéj administracyi.

II.

Anglia jest oryginalną dla tego, że opierała się statecznie na tradycyi. Instytucye angielskie tworzą nieprzerwany ciąg reform dokonanych bez skoków i bez zmian teatralnych. Mimo licznych rewolucyi, przez które przechodziła, Anglia strzegła zawsze praw dawnych, to jest opierała się na nich we wszelkich wznowieniach. Podział n. p. kraju sięga epoki najścia Saxonów; sąd przysięgłych sięga Alfreda Wielkiego, Izbę Lordów wyprowadzają od Witenagemote. Toż samo się działo z właściwą administracyą. Dzisiejsze hrabstwa angielskie znane już były za Egberta. Nad każdém z nich stał starosta, *Alderman*, odpowiadający średniowiecznemu wyrazowi *comes*. Mieszkańcy dzielili się na klasy, oparte na większéj lub mniejszéj posiadłości. *Thanes* byli nie-

zależnymi właścicielami, *liberi homines*, a *ceorls* czynszownymi włościanami. Posiadłość własności stanowiła między *Thanes* ścisłą hierarchią. Był to rodzaj klasy szlacheckiéj, z różnicą, że do niéj przystęp dawała własność lub zasługa. I tak: *ceorl*, który nabył folwark, albo majtek, który zrobił trzy wielkie podróże morskie, stawali się *Thane*. Każde hrabstwo miało zgromadzenie, *shire gemot*, złożone z *Thanów*, trzymające w swym ręku sądownictwo cywilne i kryminalne, co, jak mówi Hallam, nie pozwalało rozwijać się zbytecznie arystokracyi w klasie *Thanów*.

Król Alfred udoskonalił administracyą. On to uregulował podział kraju na hrabstwa pod Aldermanami; hrabstwa podzielił na setnictwa, *hundreds*, inaczéj okręgi, albo francuzkie kantony, a każde setnictwo na dekanie, *tithings*. Nad setnictwem stał *hundreder*, a nad dekanią *tithingman*. Sprawiedliwość w dekanii odbywała się na zgromadzeniu publiczném, od którego szła apelacya do setnictwa. Tutaj sądziło dwunastu niepodległych właścicieli, *free-holders*, pod kierunkiem *hundreder*, co dało początek sądom przysięgłych, *jury*. Apelacya od setnictwa szła do sądu hrabstwa, a nakoniec do sądu królewskiego. Hrabiowie, czyli *Aldermen*, łączyli władzę wojskową z cywilną. Alfred widząc w tém niedogodności, powierzył ostatnią Szeryfom, *Sheriffs*. Monarcha ten uwieńczył reformę poprawą ustaw; ztąd jego tytuł twórcy praw anglikańskich.

Powyższe prawa, które ulepszył jeszcze Edward Spowiednik (r. 1041), tworzą źródło prawa cywilnego angielskiego, *The civil laws of England*. Mieszkańcy wielkie mieli do nich przywiązanie, bo były anty-feudalne i dawały rękojmią tak wolności jak pracy. Prawa feudalne wprowadzone zostały dopiero przez Wilhelma Zdobywcę, wskutek czego, instytucye liberalne i sądy przysięgłych upadły, a wzmogła się szlachta. Różnica jednak między feudalnością francuzką a angielską wielka pozostała. We Francyi, gdzie królowie byli słabi, szlachta stała się wszechmocną w stosunku do swych podwładnych, w An-

glii przeciwnie, gdzie królowie byli silni, tak szlachta jak poddani, zostali podciągnięci pod różne a ścisłe obowiązki. Izba Lordów, *house of Lords*, złożona z dygnitarzy królewskich, równie jak sądy hrabstw i parafii, hamowały sądy dworskie. Szlachta nie miała nawet prawa polowania. To sprawiło, że wkrótce, tak szlachta jak gmin byli niechętni prawu feudalnemu. We Francyi chłopi i mieszczanie, z nienawiści ku feudalności, łączyli się z królem przeciw szlachcie; tu przeciwnie, gmin i szlachta łączyli się przeciw królowi jako głowie feudalności. Z takiego obrotu interesów wyszła wolność angielska i szacunek gminu dla szlachty. Pod następcami Wilhelma, gmin domagał się restauracyi praw przedfeudalnych, poprawionych przez Edwarda Spowiednika. Henryk II musiał wrócić sądy przysięgłych, *trial by Jury*, i rozdzielić kraj na cztery objazdy, *circuits*, do których zjeżdżali się peryodycznie sędziowie królewscy, aby prezydować przysięgłym. Jan zaś zmuszony był nadać wielką kartę, *magna charta*, (r. 1215), która złagodziła feudalność. Wielka karta, owoc wspólnych zapasów, ma to szczególnego, że dotyczy zarazem szlachty i gminu. Artykuł 28 wielkiéj karty zastrzegał, że wszyscy właściciele ziemscy, *all possessors of lands,* obowiązani byli udzielić swoim poddanym (erga suos), tych samych wolności, których domagali się od króla. Na mocy tego zastrzeżenia, prawo cywilne angielskie obowiązywało wszystkie stany, wolność indywidualna była zapewniona, własność lenna zamieniła się na niepodległą, *free-hold*; przywileja miast zostały potwierdzone, praca stała się wolną, (ziemia mogła być nabywana przez gmin), a podatki nie miały być nakładane tylko za zezwoleniem Izby Lordów.

Była to druga restauracya, dokonana w stronę praw dawnych. Administracya krajowa przeszła wkrótce, w znacznéj części, w ręce mieszkańców. Wyraz *Alderman* nie oznaczał już hrabiego, lecz urzędnika miejskiego. Hrabia wziął nazwisko *Earl* a późniéj *Lord-lieutenant*. Właściciele ziemscy, albo ziemianie, *landlords*, zagarnęli administracyą hrabstw pod tytułem sędziów pokoju,

judges of peace. Coroners z urzędników i sędziów królewskich stali się nie mal woźnymi. Szlachta, *nobility* pozostała przeważną w administracyi, ale ponieważ otrzymała dla gminu prawo kupowania wiejskiéj własności i wchodzenia w stan ziemian, była popularną. Wielkiéj karcie brakowało tylko rękojmi, że nie będzie gwałconą przez królów. W tym celu, hrabia Leicester powołał do obrad publicznych dwóch deputowanych z ziemian i niższéj szlachty każdego hrabstwa, i dwóch gminnych z każdego miasta. Ziemianie i niższa szlachta weszli do izby lordów z tytułu własności gruntowéj, a deputowani z miast utworzyli izbę gminną *house of commons*. Ziemianie jednak i niższa szlachta, głosując w izbie lordów, nieznajdowali niepodległości przekonań, interesa zaś ich były różne od interesów lordów. Te okoliczności sprawiły, że zamiast w izbie lordów zasiedli w izbie gminnéj. Powyższy czyn stał się niezmiernie ważnym dla społeczności angielskiéj, albowiem ograniczył szlachtę do panów zasiadających w izbie lordów, a małą szlachtę zrównał z ziemianami. W Polsce, ziemianie wynieśli się do szlachty, tutaj niższa szlachta zbliżyła się do ziemian. Ancillon przypisuje téj różnicy wolność Anglii. „Duma, mówi, „która w innych krajach wstrzymywała małą szlachtę od „odłączenia się od wielkiéj, uległa w Anglii interesowi i „zgotowała posadę do dzisiejszéj konstytucyi. Odtąd izba „wyższa mieściła panów tak świeckich jak duchownych „a niższa deputowanych z hrabstw i miast. Pierwsza „stała się przez to dostojniejszą, ale druga zyskała na „przewadze i wolności (1).”

Zaprowadzenie dwóch izb obok króla ustaliło parlament angielski. Królowie zostali skrępowani prawami, klasy zostały zbliżone do siebie; szlachta, w miarę tracenia swych przywilejów, mieszała się z gminem; powstała wyższa szlachta czyli lordowie, ale i ci ograniczeni do wielkich dygnitarzy, sprowadzeni zostali do egzystencyi legalnéj przez zakaz trzymania gwardyi nadwornych.

---

(1) Tableau des révolutions du système politique de l'Europe, III. 289.

Wszystko to kosztowało wiele walk i trudów, wiele nawet krwi; raz brał górę król, drugi raz Parlament, jednakże rozum publiczny był tak męzki i tak skierowany ku legalnéj wolności, że stany wolały robić sobie wzajemne koncesye, niż wrócić pod dawne prawa feudalne. Z osłabieniem jednak władzy monarszéj, administracya krajowa traciła ognisko życia i ruchu; hrabstwa, setnictwa i parafie postępowały samowolnie bez względu na interesa publiczne. To złe sprawiło, że parlament przywłaszczył sobie dozór nad administracyą, albo używając wyrażenia angielskiego, że stał się *wszechmocnym pod względem administracyi*. R. 1376, przeglądając z surowością angielską nadużycia administracyjne, parlament wytoczył oskarzenie przeciw ministrom królewskim, szczególniéj przeciw lordowi Latimer, który, jak podaje Hume, stał się wówczas ofiarą jego samowładności. Samowładność parlamentu pokazała się przecież w całéj rozciągłości dopiero za *Długiego parlamentu*, który ściąwszy króla, skojarzył w swym ręku wszystkie władze publiczne. Nie był to już postęp legalny, lecz rewolucya, do której dała pobudkę reforma religijna.

Anglicy przeszli w tenczas przez doświadczenie jakiego doznała Francya r. 1793, ale co było charakteryzującem, to, że kilkoletnia próba była dostateczna do zwrócenia ich na drogę legalności. Anglia przywróciła monarchią, baczna jednak w strzeżeniu wolności, uchwaliła akt zwany *habeas corpus*, na mocy którego wolność indywidualna otrzymała niemylną rękojmię. Odtąd mieszkanie Anglika stało się przybytkiem, do którego wstęp władz publicznych był ściśle opisany. Odtąd, Anglik nie mógł być bezkarnie więziony, gdyż wolno mu było dać kaucyą, że się stawi przed sądem i wolno mu było poszukiwać sędziego, który go bez gwałtownéj potrzeby uwięził. Te rękojmie wolności osobistéj, stały się rękojmią wolności administracyjnéj. Anglicy rządzili się sami pod dozorem parlamentu; przywileje dla miast, wiosek i korporacyi niedawał już król lecz parlament. Parlament uchwalał przywileje i bile administracyjne; hrabstwa i mia-

sta mianowały urzędników, ale *mianowanie wychodziło w imieniu króla*, jako głowy narodu, i król miał prawo zrzucić mianowanych z urzędu skoro niepełnili dobrze obowiązku. Królowie nadużywali długo prawa zrzucania; urzędnicy byli wystawiani na ich arbitralność, ale z postępem oświaty i wyobrażeń konstytucyjnych, wolność legalna zajaśniała i dla urzędników. Od téj epoki zaczyna się *wolna administracya* jaką szczyci się Anglia. Zaprowadzenie protestantyzmu, jako religii stanu, zmieniło stosunki majątkowe. Dawniéj prywatni bogacili się kosztem majątków królewskich, teraz bogacili się kosztem majątków duchownych. Rozebranie dóbr duchownych powiększyło bogactwo prywatne; liczba niezależnych właścicieli, *free-holders* wzrosła; ale parlament wstrzymywał drobnienie ziemi, za pomocą praw, które utrudniały kupno własności. Pod takiemi prawami złączyła się z Anglią Szkocya (r. 1707), przyłączona została do niéj Irlandya (1800). Każden z powyższych krajów zachował odrębną administracyą, co sprawiło, że dotąd Wielka Brytania tworzy trzy królestwa, różne od siebie, i tylko zostające pod jedną koroną.

Aby zrozumieć administracyą Wielkiéj Brytanii potrzeba przedewszystkiem zrozumieć społeczność angielską. Poznanie społeczności angielskiéj jest niezmiernie trudne dla mieszkańców stałego lądu, jednakże, jeżeli się nie mylimy, społeczność polska za Piastów wiele ją tłumaczy. Wiadomo, że za pierwszych Piastów, możnowładztwo polskie było urzędnicze, że miasta odegrywały nieposlednią rolę, że szlachta skrępowana przez władzę monarszą, nie miała nawet prawa polowania; wreście że włościanie byli pod opieką praw ogólnych. Wolność nabywania ziemskiéj własności i sprawowania urzędów należała wówczas do wszystkich; kto zaś posiadał ziemię, nazywał się ziemianinem, *terrigena*. Wyraz *ziemianin* jest kluczem do odgadnienia geniuszu społeczności angielskiéj albowiem odpowiada wyrazowi *Landlord* (1). Społeczność

(1) Wyraz *Landlord* oznacza właściwie każdego wła-

polskę za Piastów możnaby przyrównać do społeczności angielskiéj za Saksonów, z przyczyny, że była antyfeudalna.

Wiadomo, że ziemianie, łącząc się ze szlachtą z tytułu służby wojennéj, utworzyli w Polsce stan rycerski taki jaki widzimy za Jagiellonów, gminowładny względem królów, a feudalny względem ludu. Polska przedstawiała wtenczas społeczność, którą możnaby przyrównać do społeczności angielskiéj za Normandów. Nieudolność szlachty piastowskiéj, a próżność ziemian, stały się w krótce plagą narodu, albowiem stan rycerski, wniesiony do nieznanéj przewagi, niepozwolił nadal nabywać gminowi ziemskiéj własności, t. j. zniósł wyraz *ziemianin*. Temu przypisać należy, że Polska z różnostanowéj, słała się wyłącznie szlachecką, i że podstawą ważności społecznych była odtąd sama rodowość. Szlachta polska, skora w naśladownictwie wyobrażeń stanowych, żyła odtąd kosztem klas innych. Rzuciła się naprzód na włościan ogołacając ich z posiadłości, narzucając na nich pańszczyznę i poddaństwo, nie przypuszczając ich do szkół i godności kapłańskich. Potém rzuciła się na miasta, ogołacając je z przywilejów królewskich. Polska za Zygmuntów przedstawiała już straszny dualizm: była z jednéj strony szlachta, a z drugiéj, poddani. Po zubożeniu miast i wiosek jedyném źródłem bogactwa były starostwa. Na nie się téż szlachta rzuciła, i rzuciła z taką namiętnością, że dla starostw, Poniński i jego stronnicy ułatwili pierwszy rozbiór Polski.

Społeczność angielska wzięła wcale inny obrót. Anglicy mieli mniéj próżności a więcéj dzielności charakteru

---

ściciela wiejskiego, bądź pana i szlachcica, bądź gminnego, ale gminny właściciel wiejski, będąc landlordem, nie jest przeto ni panem, ni szlachcicem. W Anglii wielu jest bogatych Landlordów z mieszczan. Wyraz jednak *Landlord* stosuje się zwykle do właścicieli ziemi dworskiéj (po naszemu *wsi*) a *gentry* do właścicieli folwarcznéj. Wyraz *free-holder* oznacza także ziemianina.

i przekonania, że podstawą każdéj wyższości jest przedewszystkiém praca i bogactwo. U nas, niższa szlachta kłóciła się tylko z wyższą, albo jéj zazdrościła, nie mając odwagi szukać przewagi w związku z gminem; w Anglii przeciwnie, szlachta niższa złączyła się z nim już w wieku czternastym. Za dynastyi normandzkiéj, deputowani hrabstw, udając się do izby gminnéj, znieśli społeczność feudalno-szlachecką i zbliżyli ją do różnostanowéj społeczności saksońskiéj. Gmin utrzymał się przy prawie nabywania ziemskiéj własności, i kiedy minęła rewolucya szesnastego wieku, pokazało się, że w jego ręku znajdowała się większa połowa ziemi. Dla tego wyraz *Landlord* nie oznacza w Anglii samego pana lub lorda, ale i właściciela ziemskiego, ziemianina. Gmin, przyszedłszy do ziemiaństwa, dostąpił z łatwością urzędów i godności. To sprawiło że w Anglii szlachectwo wzięło barwę *gminną* a przynajmniéj *ziemiańsko-tytułową*, że nie oparło się na rodzie, jak na stałym lądzie, lecz na własności gruntowéj i urzędzie. Szlachcicem był tylko ten, który posiadał wysoki urząd, że zaś nie było starostw a urzęda były bezpłatne, dawano urzęda tylko dostatnim właścicielom. Własność stała się do tego stopnia warunkiem urzędu, że izba lordów wykluczała ze swego grona tych, którzy nie mieli stosownego dochodu. Majoraty przybrały także postać użytku publicznego (1). Szlachectwo angielskie było przywiązane do własności; dla tego to syn najstarszy, który ją dziedziczył, był szlachcicem, inne zaś dzieci należały do gminu, *commonalty*. Te i inne przyczyny sprawiły, że w Anglii szlachectwo, *nobility*, zostało ograniczone tylko do małéj liczby osób utytułowanych, że pierwotną jego podstawą była zasługa. Polska, posiadając szlachtę z rodu, żyła w anarchii i ociężałości; Anglia, posiadając szlachtę z urzędu i własności, żyła w karności i pracy. W Polsce, gmin był niechętny szlachcie, a

(1) Anglicy uważali majoraty za tak silny węzeł społeczny, że zabronili ich Irlandczykom.

w Anglii wielbił ją i szanował. Aby oznaczyć jedném słowem różnicę przyczyn i skutków między dwiema społecznościami, powiemy, że Polska była *szlachecką* a Anglia *arystokratyczną*.

W Polsce szlacheckiéj, szlachta rozmnożyła się do tego stopnia, że w wieku ośmnastym pochłaniała całą pracę krajową, a jeszsze była biedna. Szlachta jedynie miała głos polityczny; szlachcic posiadał prawo głosowania z samego tytułu rodu; ród był dla niego tém, czém jest gdzieindziéj *census*; szlachta głosowała całym stanem a że w jéj gronie panowało ubóstwo, głosowanie doszło do tak wielkiego zepsucia, że zgroza publiczna się ozwała. Starano się odtąd ograniczyć głosowanie do szlachty żyjącéj niepodlegle, i położyć za warunek głosującemu, aby był *bene natus et possessionatus*. Podobny krok był zwrotem do konstytucyi piastowskiéj i dowodem niepraktyczności konstytucyi szlacheckiéj; ale ta konstytucya prowadziła, z natury rzeczy, tak pewnie do anarchii i dla tego tak była korzystną dla nieprzyjaciół Polski, że poprawie sprzeciwił się nieprzyjaciel zewnętrzny. Mocarstwa sąsiednie zmusiły sejmy do udzielania głosowania całéj szlachcie (1). Przy téj pomocy, położyły kolano na rozumie narodowym. Dopiero sejm czteroletni przywrócił warunek objęty w wyrazach *bene natus et possessionatus*, ale ta reforma nie odpowiadała już potrzebie wieku, bo nie niszczyła konstytucyi szlacheckiéj, nie przywracała tytułu ziemiaństwa i nie otwierała pola dla działalności gminnéj. Sejm czteroletni, ograniczając prawo głosowania do szlachty, nie naruszył w niczém konstytucyi szlacheckiéj. Szlachta pozostała stanem wyłącznie rządzącym; mieszczanie dostali tylko w sejmie głos doradczy a włościanie pozostali w poddaństwie. Szlachcic polski do końca istnienia Polski, był *parvus monarcha*, nietykalnym w osobie i majątku; był to sędzia i pan samowładny nad poddaństwem, którego się nawet władza publiczna lękała. Aby się o tém przekonać, dość odczytać

(1) R. 1768.

urządzenie komisyi policyi generalnéj (artykuł III. §. 4.) które wyjmuje z pod policyi obywatelskiéj wsie dziedziczne i daje władzy publicznéj, za całą broń nad szlachcicem samą *radę*

Przedstawiona różnica dwóch społeczności, pochodziła z różnicy wyobrażeń. Anglik, łącząc w sobie wytrwałość i cierpliwość germańską z rzutnością i dumą normandzką, a duch porządku i stowarzyszenia z wysokiem uczuciem osobistéj godności, nie mógł zrozumieć i ścierpieć wyższości z tytułu samego rodu, wielbił zaś wyższość z tytułu majątku i przewagi rzeczywistéj. Gmin angielski zachował prawo nabywania własności ziemskiéj: kto kupił ziemię nie stawał się przeto szlachcicem, ale wchodził w ziemiaństwo, które Cobden nazwał *Landokracyą*. Anglia była ziemiańską, że zaś, wszędzie i zawsze, posiadanie ziemi było podstawą przewagi społecznéj, Anglia była arystokratyczną.. Anglicy śmieli się ze szlachty francuzkiéj; nie pojmowali aby człowiek biedny i ciemny mógł mieć jakieś uroszczenie społeczne; cóżby więc powiedzieli o dawnéj szlachcie polskiéj, nieraz niższéj od włościaństwa, a pomimo tego chełpliwéj? Anglicy czuli że ród nie stanowi arystokracyi, że dla utrzymania się na wyższości, potrzeba majątku, dla tego przyjęli zwyczaj majoratów; ale prawo fundowania majoratu, stósowane głównie do ziemi, zostało otwarte każdemu ojcu familii, czy to szlachcicowi czy gminnemu. Anglicy czuli także, że arystokracya zakłada się na zasłudze; dla tego środkiem dostąpienia godności był urząd albo praca. Anglicy czuli nakoniec, że urząd należy się tylko zdolności, dla tego kształcili się do usług publicznych z dzieciństwa. Dzieci angielskie, w pośród nauk umysłowych, wprawiane były do wiosłowania lub kierowania łódką, do ujeżdżania koni, walczenia ze zwierzętami, do śmiałości na morzu, do cierpień, znojów i t. d. Nauczyciele powtarzali im jak Rzymianom: *Tu regere imperio populus, Romane, memento.*

Dalsza różnica między konstytucyą angielską a polską, że pominiemy już węgierską, polegała na roli jaką ode-

grała w obudwu krajach arystokracya. Arystokracya angielska była obłokiem mojżeszowym, który prowadził lud do postępu, albo kotwicą, która chroniła łódź krajową w czasie nieszczęść i burzy. Arystokracya ta niezachwiana w posadzie, pewna siebie, zakorzeniona w swe majoraty, miała możność trudnienia się administracyą, czuwania nad podwyższeniem zamożności swych ziem i bogactwa publicznego. Ona należała do wszystkich przedsiębierstw, kierowała niemi albo im użyczała swego imienia. Przedsiebierstwa podniosły przemysł, przemysł zbogacił miasta, miasta zbogaciły wioski i arystokracyą. Anglia zalśniła się od bogactwa, piękności rolnictwa i dworów; bogactwo wiosek, płodność ziemi, wspomnienia familijne i prowincyonalne, urocze życie wiejskie, *country life*, w którém okazywał się majestat Landlordów, utwierdziły patryotyzm, a patryotyzm poprowadził do pogardy cudzoziemczyzny, do trzymania się mowy i zwyczajów krajowych, do odrzucenia tytułów zagranicznych, do dumy i przekonania o wielkości ojczyzny, co za czasów Napoleona, skłoniło naród do niesłychanych poświęceń (1).

W Polsce działo się inaczéj. Tutaj arystokracya była rzadko dobrem, a często nieszczęściem. Przy braku majoratów, Polska nie miała właściwie arystokracyi, lecz szlachtę wyższą czyli zamożniejszą. Szlachta wyższa, z przyczyny licznych dzierżaw koronnych, mogła łatwo przyjść do bogactwa, ale ta łatwość właśnie była złem, gdyż praca i zdolność rzadko do niego prowadziły, raczéj intrygi i kabały. Magnaci gonili ciągle za starostwami; familie znaczyły póki posiadały starostwa; po straceniu ich, marniały. Starostwa były źle gospodarowane, bo należały tylko do śmierci obdarowanego. Nieszczęściem, wielka liczba starostw górowała własność dziedziczną, demoralizowała szlachtę i odprowadzała od pracy

---

(1) Aby poznać piękność i zamożność hrabstw angielskich, dość odczytać dzieło: ***The english Counties delineated, or a topographical description of England, by Thomas Monte.*** London 1837. 4 Vol.

cierpliwéj. Dla tego nasza arystokracya polegała raczéj na opinii niż na rzeczy. To nam wykrywa przyczynę ubiegania się o tytuły cudzoziemskie, rozdawane bądź przy elekcyach królów, bądź przy rozbiorach kraju.

Inna różnica między konsytucyą polską a angielską polegała na tém, że prawo cywilne angielskie było lepsze niż w Polsce i na stałym lądzie; gmin doznawał w Anglii większéj opieki, a legalność i szacunek dla prawa były w charakterze mieszkańców. Były majoraty, ale ich liczba była szczupła; zresztą nie było wiecznych substytucyi, *entails in perpetuity,* co nie tamowało obiegu własności. Prawo cywilne angielskie miało przecież to głównie oryginalnego, że otoczyło własność wiejską niesłychaną gdzieindziéj opieką. Z téj oryginalności wyszło dążenie do coraz większego nabywania własności, co z czasem sprawiło, że dwie trzecie ziemi angielskiéj znalazło się w ręku arystokracyi. Życie publiczne dodało inną jeszcze wyższość własności, opartą na wpływie właścicieli ziemskich na elekcye. Z tych dwóch przyczyn wyszły wielkie własności, które Anglia uważa za dobre, bo ma kapitały, a ląd stały za złe, bo kapitałów nie ma. Zdawałoby się, że prawo angielskie miało raczéj na względzie opiekowanie się własnością niż człowiekiem. Prawo cywilne nie znało ni pana, ni szlachcica ni gminnego, nie znało nawet właściciela ziemi, *Landlord,* tylko własność, którą się z całą siłą opiekowało. Posiadanie ziemi było uważane za honor, nawet za sławę, *as an honour and even as a glory.* Było to dobre, bo po dworach wiejskich utrzymywały się tradycye i gospodarstwo doskonaliło się, bo własność ziemska, będąc pewną swych praw, odliczyła swe obowiązki; ale przy tych korzyściach nadużycie było bliskie. Wychodząc z zasad feudalnych, prawo cywilne angielskie *uznało Landlordów za właścicieli gruntów włościańskich,* a włościan za osadników lub dzierżawców. Ta sama zasada była uznana w Węgrzech a w Polsce się przesądzała, wszelako skutki jéj były różne. W Węgrzech i Polsce, włościanie doczekali się chwili, w któréj uznano ich, w pewnym sto-

pniu, za właścicieli. Szlachta polska i węgierska nie wyruszyła ich z gruntu dla braku rąk i kapitałów; z tego powodu zamieniła nawet czynsz na pańszczyznę i ogłosiła włościan za poddanych; ale w Anglii tak się nie działo. Przy obfitości rąk i bogactwie miast, które dostarczały krajowi kapitałów, Landokracya angielska *wymiotła wioski*, czyli oddaliła włościan zamieniając wsie na folwarki, a włościan na wyrobników (1). Z takiego wytłómaczenia prawa cywilnego wzmogła się liczba proletaryatu angielskiego. To co uczyniła Anglia podwyższyło z razu cenę własności, ale kiedy proletaryat rozlał ubóstwo po całym kraju, własność musiała zezwolić na płacenie żebraków, co jéj przychody o trzecią część uszczupla.

Powyższe różnice sprowadziły oryginalność społeczności angielskiéj. Społeczność ta jest arystokratyczną, ale arystokracya ma raczéj za podstawę majątek niż urodzenie. Ztąd wyrażenie: *he is worth so much,* on wart tyle. Ztąd pochodzi, że kiedy gdzieindziéj ubóstwo jest nieszczęściem, w Anglii jest hańbą, jeżeli nie zbrodnią. W Anglii wyraz *respectability,* przesądza pewną ilość majątku. W Anglii, człowiekiem dowcipnym nie jest ten, który przyjemnie mówi i pisze, lecz ten, który działa i dokonywa, który zyskuje dużo pieniędzy i wynosi się w zawodzie politycznym. Każdy mając przed sobą drogę otwartą do wszystkich godności, wypada, że arystokracya angielska jest popularną. Barwa arystokratyczna okrywa dla tego wszystkie klasy; każdy ubiega się o majątek, każdy stara się mieć dom i familią (at home), każdy baczy na swe postępowanie i maniery (manners) starając się o dobre imie i poszanowanie. Arystokracya angielska jest tém popularniejszą, że *żaden przywiléj nie oddziela jéj od ludu;* że potęga jéj jest niewidzialna; że arystokracya miesza się bez skrupułu z gminem, oddając się to przemysłowi to handlowi. Do Angli można zastosować co powiadano o Sparcie, że jéj siła wewnętrzna utwierdzała bezpieczeństwo arystokracyi dla tego, iż od-

---

(1) Znaczyło to: *clear an estate.*

rzucała pospolite zapory (1). W Polsce przepisywały prawa ubiory dla każdego stanu, zakazywały szlachcie pijać w karczmie z gminem, wykluczały nawet chłopstwo od edukacyi publicznéj, ale nie potrafiły zrobić ze szlachty arystokracyi. W Anglii, prawa nie przepisują żadnéj różnicy między klasami; nie dają nikomu żadnego przywileju, a jednak arystokracya istnieje i stale się utrzymuje, bo się opiera na rzetelnéj wyższości moralnéj i majątkowéj.

Stronnictwa polityczne Torysów i Whigów, nie oznaczają wcale arystokracyi i demokracyi. Oba te stronnictwa są arystokratyczne, z różnicą, że kiedy Torysowie wcielają do siebie talenta gminne, Whigowie zawierają się w talentach arystokratycznych. Początek Torysów i Whigów sięga epoki rewolucyi angielskiéj. Torysi bronili władzy królewskiéj a Whigowie władzy parlamentarskiéj. Stronnictwa angielskie odpowiadają w wielu względach stronnictwom polskim, które istniały za Stanisława Augusta: monarchicznemu i szlachecko-możnowładzczemu. Pierwsze dążyło do postępu drogą rządową, drugie drogą opozycyi. Pierwsze powoływało do władzy ludzi nowych, jak Kołłątaja, albo gminnych, jak Staszyca; drugie zawierało się w samych magnatach i szlachcie. Pierwsze miało skłonność opierania się na mieszczanach i włościanach, drugie opierało się na saméj szlachcie, opatrzonéj w *absolutum jus* nad włościanami.

---

(1) Arystokracya angielska n. p. uwolniła się od płacenia podatku od swych ziem; był to przywiléj, ale ten przywiléj dla tego, że był rozszerzony do wszystkich właścicieli ziemskich, nawet najmniejszych, tracił barwę przywileju. Prawa angielskie faworyzowały koncentracyą majątków, ale nie faworyzowały w tym względzie nikogo w szczególności i nikogo nie wykluczały od ziemi. Naturalnie korzystały z tego familie bogate, ale także i ludzie biedni przychodzący do bogactwa. Hudson, n. p. zwany królem dróg żelaznych, z biednego mieszczanina stał się bogatym Landlordem. Gdyby mu fortuna pozostała wierną, przyszedłby niezawodnie do tytułu i godności. W Anglii przewaga istotna nie jest przywiązana ni do klas ni do człowieka, lecz do bogactwa.

Dziś Torysi bronią własności i tradycyi, a Whigowie wolności. Od reform Sir Roberta Peel, Torysi zamienili się w prostych konserwatorów. Społeczność angielska była dzielną, dla tego, że każdy jéj żywioł był zamożnym, a przeto silnym. Wielka szlachta angielska utrzymała się na swojém stanowisku, ale broniąc się uporczywie, wyrzekła się wszystkich przywilejów i uznała przypuszczalność gminu do wszystkich godności. Ze swéj strony gmin, miłośnik legalności, nie podszywał się pod szlachectwo, bo wiedział, że droga do niego była przed nim otwarta. Obrachowano roku 1840, że w całéj Wielkiéj Brytanii, było 1631 tytułów szlacheckich; kiedy w Rosyi jest 500,000 szlachty; w Austryi, 240,000; w Hiszpanii 450,000 a we Francyi 350,000. Powyższa różnica liczb oznacza różnicę między konstytucyą arystokratyczną Anglii, a konstytucyą szlachecką Rosyi i Polski. W Polsce szlachectwo zostało poniżone, bo było zbyt liczne i opierało się na samém urodzeniu; w Anglii zostało uszanowane, bo było szczupłe i opierało się na majątku i zasłudze. W Polsce, aby podnieść imie starano się o tytuł cudzoziemski; w Anglii zaś brzydzono się wszelkim cudzoziemskim tytułem, i ten, który go nosił, był wykluczony z porządnych towarzystw.

Aby zrozumieć we wszystkich jéj odcieniach społeczność angielską, trzeba jeszcze rozróżnić wyrazy *gentry* i *gentleman*. Wyraz *gentry* znaczy pospolicie mniejszych ziemian (1), kiedy wyraz *gentleman* oznacża człowieka żyjącego z dochodów, człowieka nadto wykształconego i dobrze wychowanego. Dla tego to, Anglicy mówią, że aby być gentlemanem, czyli po francuzku *homme comme il faut,* potrzeba trzech generacyi (it requires three generations to make a gentleman). Anglik dobrze urodzony, może być szlachcicem i lordem, ale jeżeli nie odebrał dobrego wychowania, nie jest gentlemanem (Thoug he is a lord, he is not a gentleman). Największą po-

(1) John Paget porównywa ich do średniéj szlachty węgierskiéj i polskiéj.

chwałą dla Anglika jest wyrażenie: on jest doskonałym gentlemanem (he is a perfect gentleman), albo, on jest gentlemanem w każdéj cząstce swojéj osoby (he is a gentleman every bit of him). Powyższe wyrażenia pokazują do jakiego stopnia czczoną jest w Anglii zasługa osobista człowieka, bez różnicy zatrudnienia i urodzenia.

II.

Administracya francuzka rozróżnia interesa narodowe od departamentowych i gminnych, rozróżnia także właściwą administracyą od sprawiedliwości administracyjnéj, odróżnia nakoniec władzę sądowniczą od administracyjnéj i politycznéj; w Anglii żadna z tych różnic nie istnieje. Administracya nie jest tutaj umiejętnością, lecz praktyką. Wszystko tu zmieszane i powikłane, ale naród trudności unika bo sam sobą zarządza. Administracya francuzka, jako owoc myśli filozoficznéj, wymaga wykładu syntetycznego, zaczynającego od góry a kończącego na dole, to jest, na instytucyach miejscowych; administracya angielska przeciwnie jako owoc tradycyi i praktyki, wymaga wykładu analitycznego, zaczynającego od dołu a kończącego na górze, to jest, na ministrach, izbach i koronie.

Co uderza z samego początku w administracyi angielskiéj, to brak władz wiejskich. Landlordowie przywłaszczając sobie prawo nad ziemią gminną, zamieniając włościan na wyrobników, znieśli posadę władz wiejskich. Też same przyczyny zniosły w Polsce władzę sołtysów i ławników. Włościaństwo niegdyś zamożne i ludne (a bold peasantry country's pride), tracąc prawo do gruntu, na którym siedziało, straciło tém samém możność legalnego oporu i samoistnego dążenia. To złe stało się powodem, że w Anglii, jednostkę zawiązku społecznego stanowiła odtąd parafia, *parish.* Taki stan rzeczy uważać należy za złe, albowiem zniszczył tradycyą ludu

wiejskiego i pozbawił go ojcowskiéj opieki, a jednak przez dziwny obłęd naśladownictwa, Zgromadzenie konstytucyjne francuzkie z r. 1791, wtedy kiedy uczyniło włościan właścicielami gruntu, zniosło władze wiejskie. Podobnie postępował Trybunat a szczególniéj Benjamin Constant, kiedy się sprzeciwiał za Napoleona przywróceniu władz wiejskich. Zdarzenie to może być przykładem z jaką roztropnością naśladować należy instytucye obce. Francya z r. 1791 uważała za dobre, to właśnie co należało uważać za nieszczęście.

Parafia, *parish,* nie znaną już jest dzisiaj na stałym lądzie jako podział administracyjny. Francya, budując swą administracyą na zasadzie cywilnéj, podstawiła w jéj miejsce kanton, polski okręg. Anglia przeciwnie zachowała dawne podziały historyczno-religijne (1). Pan de Tocqueville słusznie powiedział, że zawiązkiem społecznym Stanów Zjednoczonych były gminy. Było to naturalne, bo tam początek społeczności składał się z żywiołu gminnego, z emigrantów purytańskich i kolonistów rolniczych uchodzących przed przemocą kościoła anglikańskiego. W Anglii, wystawionéj na wpływ Landokracyi, i po zniszczeniu gmin wiejskich, głównem ogniwem społeczności stała się parafia. Mimo téj różnicy, Stany Zjednoczone i Anglia malują się pod tąż samą barwą, właściwą charakterowi rasy saksońskiéj. Jak w Stanach Zjednoczonych gmina, tak w Anglii parafia, jest ciałem używającém wiele niepodległości. Jest to jednostka polityczna zależna tylko od hrabstwa, jednostka, że tak powiemy materyalna, zbudowana przez wieki i duch religijny mieszkańców. Parafia jest wszędzie, bo nie ma części ziemi w Anglii, któraby nie miała kościoła: jest to pierwsza władza, prawie niezawisła od stolicy królestwa, a odpowiedzialna tylko przed sądem w razie wytoczenia procesu przez prywatnych.

Władza parafii angielskiéj spoczywa w zgromadzeniu, do którego należą wszyscy płacący podatki (oll rate pa-

(1) Anglia ma 11,000 parafii, Galia 843, Szkocya 896.

gers). Zgromadzenie nosi nazwisko zakrystyi, *vestry*, dla tego, że posiedzenia odbywają się w zakrystyi albo w kościele. Każden z członków nazywa się *vestryman*. *Vestry* obiera urzędników parafialnych, obowiązanych do zdawania ścisłego rachunku z urzędu. Mieszkańcy i urzędnicy mają prawo zwoływać zgromadzenia stosownie do potrzeby. We Francyi, mieszkańcy gminy, obierając radzców municypalnych, delegują im całą swą władzę, mieszkańcy parafii angielskich przeciwnie zachowują swą władzę i sami się trudnią interesami miejscowémi. Toż samo się dzieje w Stanach Zjednoczonych. Urzędnicy stojący na czele parafii angielskiéj nazywają się stróżami kościoła, *church-wardens*. Jest ich w każdéj parafii dwóch, bezpłatnych i obieranych corocznie. Pod nimi stoją inspektorowie ubogich, *overscers of the poor*, i podinspektorowie. Ostatni pobierają wynagrodzenie. *Vestry-clerk*, sekretarz parafii, brany z prawników, trudni się rozkładem ciężarów parafialnych, *parish taxes;* woźny zaś, *Beadle*, trudni się posługą kościelną i doręczeniem rozkazów.

Z razu obowiązek *church-wardens* ograniczał się, jak francuzkich *marguilliers*, do zarządu kościoła i rozdawania jałmużny, późniéj objął wiele innych szczegółów, dotyczących administracyi właściwéj, jako to dróg, podatków, policyi i t. d. Ztąd dozorcy dróg parafialnych, *surveyors of the higways*, i dozorcy policyi, *constables*, są mianowani przez sędziów pokoju, to jest, przez władzę hrabstwa, ale poddani są pod rozkazy *church-wardens*. Parafie oddane zostały r. 1833 pod dozór *commissioners*, mianowanych przez parlament, w skutek prawa zwanego *poor Law amendement*. Powyższe prawo, wywierając opiekę nad parafiami, do których ubóstwo głównie się cisnęło, zaprowadziło pewną jednostajność w ponoszeniu taksy ubogich. Na mocy tego rozporządzenia, *overscers of the poor*, podobnie jak *constables* i *surveyors*, są mianowani przez sędziów pokoju. Parafia ma więc głównych urzędników własnych i obieralnych, urzędnicy zaś podrzędni są mianowani przez hrabstwo. Za pomocą téj kombinacyi, interesa parafii i hrabstwa zostały solidarnie

związane. Nastąpiła ztąd oszczędność, albowiem ciż sami urzędnicy pobiarają podatki uchwalone przez parafie i hrabstwo. W Anglii, gdzie podatek gruntowy, *land tax,* prawie nie istnieje, ciężary pobierane po parafiach, dopóki nie zaprowadzono podatku od przychodów, *income-tax,* były głównemi podatkami Anglików, opłacanemi podług wysokości przychodu a zarazem ceny własności, *by the poundrate.* Obrachowano, że od r. 1816 do 1825, *church-wardens,* wybrali w saméj Anglii od landlordów, dzierżawców, właścicieli domów i fabrykantów przeszło 300,000,000 złp. Z tego wydali: na potrzeby administracyi hrabstw 30,000,000 złp.; na dopłatę pensyi pastorów i utrzymanie dróg 5,000,000; na transportowania ubogich do ich miejsca urodzenia 30,000,000; na budowania domów ubogich 10,000,000; na wyżywienie ubogich 50,000,000; na koszta biór dozorców kościoła i sędziów pokoju 5,000,000. W Anglii nie ma żandarmeryi, wojska jest mało, a policya odbywa się przez *constables* opatrzonych w kije; dla tego téż, w razie potrzeby, każden z mieszkańców obowiązany jest być konstablem. Landokracya angielska nie trudni się urzędami parafialnemi, lecz urzędami hrabstw i parlamentarskiemi. Tak więc parafia jest pierwszym szczeblem, na którym odznacza się gorliwość prywatnych, na którym zdolność uczy się rządzić, a człowiek biedny szanować władzę i być posłusznym. Ztąd pochodzi duch legalności znamionujący Anglików. *Constable*, opatrzony jest w mały kij, ale kto go nie słucha, popełnia zbrodnią zwaną *misdemeanor* i karany jest surowo.

W Anglii nie ma właściwych władz wiejskich, są jednak wioski, *townships, vills, villages.* Ile razy zakłada się wioska, mieszkańcy otrzymują pozwolenie od Parlamentu, pozwolenie nie tak na istnienie gminy, jak na założenie kościoła, *churchactes.* Administratorem wioski jest konstabl, urzędnik hrabstwa, poborcą zaś jest urzędnik parafialny. Wioski angielskie mało mają gruntów gminnych, bo je przywłaszczyli sobie Landlordowie; mało mają także drobnych własności. Po największéj części, lu-

dność wioski składa się z Landlorda, dzierżawców, czynszowników, prostych wyrobników i kramarzy. Ile razy idzie o stosunki między właścicielem a jego ludźmi, albo o sprzeczki między ostatnimi, pan dominialny, *Lord of the manor*, albo jego ekonom, *steward*, zwołuje sąd dworski, *court baron*. Jest to jedyny pomnik średniowiecznéj sprawiedliwości, pomnik mało niebezpieczny, albowiem sąd dworski może tylko rozstrzygać małe sprawy policyi wiejskiéj, *predial rights*. Ile razy chodzi o rozstrzygnienie sprawy ważniejszéj, albo o nałożenie kary, strony interesowane wybierają sąd przysięgłych, w którym ekonom odgrywa rolę sędziego. Landlord używa tylko przewagi kiedy idzie o obronę własności. I tak, wolno mu zająć bydło w szkodzie, *damage feasant*, albo zatrzymać sprzęty za niezapłacenie czynszu, *rent arear*. Skoro jednak sprzęty były przeniesione do innego domu, musi użyć pośrednictwa konstabla; nadto, w razie zajęcia bydła lub sprzętów, właściciel ich ma prawo zwołać w pięć dni po zajęciu *deputies for replevin*, którzy sądzą czy rzeczy zajęte mogą mu być zwrócone. Jeżeli właściciel nie zwołał *replevin* w oznaczonym czasie, pan może sprzedać rzeczy zajęte, lecz publicznie i w obecności konstabla.

Miasta mają władze gminne, których rozciągłość zależy od przywilejów jakie im mogły być udzielone przez królów. W Anglii, miasta uprzywilejowane rządziły się niezawiśle od Parlamentu, gdy tymczasem miasta pozbawione przywileju, nie mogły nic robić bez jego pozwolenia. Ta różnica nie zależała bynajmniéj od ludności albo zamożności miasta, lecz od przywileju. Mieścina Naas w Irlandyi miała przywiléj, a miasta Birmingham i Manchester ich nie miały. Miasta uprzywilejowane zwały się *inkorporowanemi*, bo miały korporacyą, czyli zarząd miejski. Do takiego zarządu mieli prawo wszyscy mieszczanie dostatniejsi, czyli wolni, *freemen*, tworzący zgromadzenie ogólne, *constituanty*. Korporacya składała się z dwóch izb: niższéj, *common council*, i wyższéj, *board of aldermen*. Burmistrz, *sovereign*, *bailif*, *lord mayor*, re-

prezentujący króla, czynił projekta, które izby przyjmowały albo odrzucały, jak parlament królewski.

Taki stan rzeczy trwał długo, ale z czasem ukazały się wielkie nadużycia. Miasta utrudniały coraz bardziéj nabywanie mieszczaństwa, *free-men*, co stało się przyczyną, że r. 1833, na 2 milionach mieszkańców miast inkorporowanych, miały go zaledwie 88,000. Ta to liczba przywłaszczyła sobie prawo do urzędów, rozporządzała przychodami miejskiemi bez zdawania rachunku, uwalniała się od opłat nakładanych na towary; w Oxfordzie i Jorku przywłaszczała sobie monopol handlowy, w innych trwoniła grosz gminny na biesiady, albo zaciągała długi, ciężące na biednych, które r. 1835 wynosiły 80 milionów złp. Aby usunąć takowe nadużycia, które jak się to stało przed r. 1800 we Francyi, byłyby przyprowadziły miasta do bankructwa, Parlament przez bill z 9 Września 1835, zniósł nazwę *free-men*, albo ***bourgesses***, a przeto rozszerzył ***constituanty*** do wszystkich mieszkańców miasta, wyjąwszy żebraków, zbrodniarzy i t. d. Bill ten nie dotknął jednak w niczém administracyi londyńskiéj; nie zniósł także różnicy między miastami uprzywilejowanemi lub nie, a miasta uprzywilejowane poddał pod przepisy zawarte w przywilejach. Niedawno miasto Dublin, aby oświecić ulice gazem, musiało prosić o pozwolenie parlamentu. Jak parafie, tak i miasta mają prawo rozkładać ciężary na swych obywateli, ale władza miejska jest krępowaną przez ***king's bench,*** po naszemu przez sąd marszałkowski. Spotykają się miasta, n. p. Westminster, w których każda parafia ma władzę osobną i w których nie ma władzy ogólnéj nad całém miastem. Poszło to z powiększania się miasta przez zakładanie nowych parafii. Miasta mają finanse i policyą, ale wydawanie sprawiedliwości do nich nie należy, wyjąwszy drobnych spraw cywilnych nie przechodzących 60 złp. Sprawy ważniejsze i kryminalne rozstrzygane są przez sądy przysięgłych i przez sądy królewskie. Policya miast zakłada się także na konstablach, wszelako potrzeba większéj czujności; zmusiła niektóre miasta do zapro-

wadzenia stałych i płatnych policyantów, zwanych *watchmen*. Roku 1831, Sir Robert Peel zaprowadził w Londynie *police-men*, rodzaj gwardyi municypalnéj paryskiéj, płaconéj nie przez miasto lecz przez rząd. Rząd angielski zaprowadził także w Londynie komisyą centralną policyi, która rozpościera swą baczność na cały kraj i nieraz przenosi oddziały police-menów o mil kilkadziesiąt.

Burmistrze i aldermanowie trudnią się tylko bezpieczeństwem miast i poborem podatków, reszta zaś obowiązków administracyjnych spoczywa na samych mieszkańcach, to jest, na korporacyach, *corporations*. Korporacye są instytuowane przez władzę królewską, a statuta czyli karty układa Parlament. Takie korporacye trudnią się szkołami, jałmużną, religią, cmentarzami, handlem, przemysłem, sztukami, gaszeniem pożarów i t. d. Cywilizacya i bogactwo Anglii były dziełem korporacyi, t. j. samego narodu. Lud angielski sam się wyemancypował przez towarzystwa dobrowolne, *friendly societies*, i kasy oszczędności, *saving banks*, których liczba jest ogromna. W ogóle, miasta angielskie mogą być przyrównane do rzeczpospolit. włoskich średniego wieku, z tą tylko różnicą, że kiedy w Wenecyi, Genui i Florencyi, arystokracya wchodziła w stan mieszczański, w Anglii, za pomocą handlu i przemysłu, mieszczanie wchodzili w arystokracyą.

Po nad parafiami i miastami były w Anglii dekanie, *tithings*, i setnie, *hundreds;* ale podział ten wyszedł z użycia. Jednakże r. 1831, Sir Robert Peel odświeżył setnictwa zaprowadzając w nich oddziały police-menów. Właściwie, Anglia dzieli się tylko na parafie i na hrabstwa, *shire*, *county*. Hrabstw jest 52. Na czele hrabstwa nie stoi już dawny *earl*, lecz *Lord Lieutenant*, odpowiadający naszemu Wojewodzie, mianowany przez koronę dożywotnie, z pomiędzy najpierwszych właścicieli hrabstwa. Dowodzi on milicyą czyli pułkami hrabstwa, *county regiments*, rodzajem gwardyi narodowéj, która zwoływaną jest tylko w czasie wojny. Ile razy zdarzy się potrzeba zwoływania milicyi, Parlament daje rozkaz, a

Lord Lieutenant sam zajmuje się wszystkiemi szczegółami wykonania, nawet mianowaniem oficerów. Urząd Lord Lieutenanta zdaje się z pierwszego wejrzenia mało znaczącym w czasie pokoju, bo nie jest administracyjnym, wszelako, w gruncie rzeczy jest znamienitym. Oprócz wpływu jaki wywiera przez swój majątek, Lord Lieutenant ma prawo przedstawiania obywateli na sędziów pokoju, między którymi jest *pierwszym*, co daje mu w hrabstwie rolę przeważną.

Głową administracyjną hrabstwa jest Szeryf, *Sheriff*, odpowiadający w pewnym względzie naszym Starostom, z różnicą, że w Anglii nie ma już ni starostw ni dóbr koronnych. Jest to dawny zastępca hrabiów, *vice-comes*, który w czasie pokoju trudni się nawet pułkami hrabstwa. Szeryf, stróż pokoju królewskiego, *keeper of the kings peace*, podawany przez wielkich *jurys* a mianowany przez koronę, sprawuje obowiązki bezpłatnie, podobnie jak Lord Lieutenant. Urząd jego wymaga reprezentacyi i wydatków, które zwykle przechodzą rocznie sumę 30,000 złp. W Anglii odmówienie urzędu jest niesławą; prywatni nie odmawiają więc urzędu Szeryfa, ale zwyczaj chce aby byli od niego wolni po roku albo po zapłaceniu 20,000 złp. kary. W Szkocyi, która jest biedniejszą, Szeryfowie są płatni. W kraju, w którym bogactwo znaczy wszystko, w którym każdy urząd musi być otoczony urokiem wystawności, zwykle się zdarza, że Szeryf nie ma dość znajomości obowiązku, albo nie ma czasu trudnienia się nim. W takim razie podpisuje tylko akta, prezyduje i wydaje obiady, a rządzi hrabstwem pod-szeryf, *under-Sheriff*, zwany, *bound bailifs*, dla tego, że daje kaucyą (1). *Under-Sheriff* ma liczne drobne przychody, które czynią w końcu roku znaczną summę. Szeryf z nich nie korzysta, ale za to waruje sobie, że w razie gdyby był pociągnięty do odpowiedzialności za jaki czyn administracyjny, podszeryf go wynagrodzi. *Under-Sheriff* jest

---

(1) Szeryf, w stosunku do podszeryfa, bierze tytuł wielkiego szeryfa, *high sheriff*.

więc właściwie rzeczywistym i odpowiedzialnym rządzcą hrabstwa, a szeryf niemal tytularnym. Jest to złe związane ze wszystkiemi urzędami obieralnemi i bezpłatnemi. We Francyi, sekretarz mera rządzi zwykle gminą, a mer podpisuje akta i reprezentuje. Co innego dzieje się z Prefektami i Podprefektami. Są oni płatni i odpowiedzialni; administracya ich jest czujna, umiejętna i posłuszna władzy krajowéj, ale z drugiéj strony, brak jéj uroku administracyi obywatelskiéj. Prefekt, a szczególniéj Podprefekt, przybywa do departamentu z Paryża. Jest on obcy departamentowi; jest to urzędnik nie obywatel; dla tego dapartament traktuje go zwykle jako oficyalistę, często jako intryganta albo hołysza, co administracyi krajowéj ujmuje godności.

Różnica między Lord Lieutenantem a Szeryfem polega na tém, że pierwszy jest organem hrabstwa i tłumaczem jego życzeń u rządu; drugi zaś jest organem rządu w hrabstwie. Podług wyobrażeń francuzkich, ostatni powinienby zajmować pierwsze miejsce jako organ narodowy; przeciwnie, podług wyobrażeń angielskich, pierwsze miejsce należy się Lord Lieutenantowi dla tego, że jest organem hrabstwa i głową arystokracyi miejscowéj. Szeryf stoi nawet niżéj w opinii niż sędzia pokoju i obowiązany jest nieraz wykonywać jego rozkazy. Są zresztą miasta, które mając prawo hrabstwa (which are counties of themselves), obierają same swych szeryfów. Szeryf układa listy przysięgłych, wykonywa wyroki sądowe, zwołuje elektorów na wybory parlamentarskie, w skutek *writ* przysłanego od rządu, przewodniczy oborom, oblicza głosy, obwołuje wybranego, czuwa nad spokojem i bezpieczeństwem hrabstwa, wyjeżdża konno naprzeciw sędziów królewskich przybywających na roki sądowe, podaje do króla petycye od hrabstwa, i t. d. Jednym słowem trudni się mniejwięcéj administracyą narodową, kiedy administracya miejscowa do niego wcale nie należy. Administracya miejscowa spoczywa w ręku obywateli, to jest, ***komisyi sędziów pokoju.***

Sędziowie pokoju, *judges of peace*, stanowią podstawę całéj administracyi angielskiéj i tego wszystkiego co jest w niéj doskonałém; dla tego Lord Coke powiedział, że chrześciaństwo nie przedstawia nic równego temu urzędowi kiedy jest dobrze sprawowany (1). Aby ocenić jego rolę w administracyi angielskiéj, trzeba pamiętać, że władze parafialne mają podstawę gminną; władza Landlordów ma podstawę arystokratyczną; władza Szeryfów królewską, a władza sędziów pokoju, niemal ziemiańską. Kiedy w skutek prawa kupowania dóbr koronnych, sprzedawania dóbr szlacheckich i skasowania klasztorów, powiększyła się liczba niepodległych właścicieli, *freeholders* utworzyli ciało znamienite, niezależne od sądów dworskich (courts of manor, courts lect, courts baron), a posiadające prawo wybierania swych sędziów. Przewaga ich była tak wielka, że z czasem sądy ziemiańskie zaćmiły i zastąpiły sądy Szeryfów (tourn and county courts).

Dzisiejsi sędziowie pokoju brani są z dostatniejszych obywateli tak duchownych jak świeckich, posiadających 4000 zlp. rocznego dochodu, albo mających odziedziczyć 12,000 złp. dochodu. Majątek staje tutaj jeżeli nie za dowód zdolności, to za rękojmią, że w razie potrzeby, sędzia będzie mógł być powołanym do odpowiedzialności. Jednakże często się spotyka między sędziami pokoju pastorów i dzierżawców (2). Urząd sędziego pokoju jest zaszczytem, od którego nikt się nie wyłącza i o który każdy się ubiega. Kto chce go sprawować, ofiaruje swe usługi kanclerzowi za pośrednictwem Lord Lieutenanta, przysięga, że ma przychód żądany (oath of qualification), a jak dostaje komisyą czyli patent królewski (commission of the peace), składa przysięgę, że będzie bronił wiernie i gorliwie pokoju królewskiego (oath of office). Liczba sędziów pokoju jest nieoznaczona i zale-

(1) Burn's Justice of the Peace.

(2) Sędzia pokoju może sprawować współcześnie inny urząd, wyjąwszy ten, nad którym ma obowiązek dozoru.

ży od zamożności hrabstwa. Czasem ich jest 500 albo 600, w pośród których napotyka się najpierwsze imiona ministrów, lordów i członków rodziny królewskiéj. Nie wszyscy sprawują obowiązki; dla wielu tytuł sędziego pokoju jest tylko zaszczytem; osoby wyższe wpisują się na listę, aby swém imieniem podnieść urok administracyi krajowéj. Zwyczajnie, liczba czynnych sędziów w hrabstwie nie przechodzi 300. Sędziowie pokoju są niepłatni, wyjąwszy w Szkocyi i Irlandyi, gdzie majątki są mniejsze. W Londynie wszyscy są płatni, dla tego ich urząd jest poniżony (stipendiary magistrates). Każdy rozumie, że tam gdzie urzęda są niepłatne i podległe tylko kontroli prywatnych, rząd musi mieć prawo odebrania urzędu tym, którzy pokazaliby się niegodnymi. W Anglii to prawo należy się koronie, która go wykonywa dwojakim sposobem: albo zrzucając wyraźnie sędziego pokoju, albo przesyłając nowe patenta wszystkim sędziom, wyjąwszy niegodnemu. W razie śmierci króla, patent sędziego pokoju obowięzuje tylko przez sześć miesięcy, i aby zachował swą wartość, powinien być odnowiony. Potrzeba posiadania patentu znajduje jednak wyjątki. I tak, Arcybiskup Jorku, biskupi Ely i Durham, są sędziami na mocy dawnych inwestytur feudalnych, a burmistrze siedmnastu miast i inni pierwsi urzędnicy municypalni są nimi na mocy przywileju (by grant et charter). Wszyscy powyżsi sędziowie, równie jak członkowie familii królewskiéj, są wolni od przysięgi *of qualification;* władzy ich nie przerywa śmierć królewska, a nawet król nie może ich odwołać.

Sędziowie pokoju rozsypani po gminach, sprawują obowiązki, które we Francyi wykonywają Merowie, Rady municypalne, Rady obwodowe i departamentowe. Oni to wydają konsensa na karczmy i szynki, oni utrzymują węzeł między parafiami hrabstwa, oni dozierają drukarń, więzień i t. d.; oni także mają prawo sądzenia małych spraw cywilnych i policyjnych, jakiemi we Francyi trudnią się Merowie, komisarze policyi i podsędkowie. Co więcéj, sędziowie pokoju mają władzę prokuratorów fran-

cuzkich i sędziów inkwizycyjnych, których w Anglii nie ma. W ogóle, sędzia pokoju obowiązany jest wykonywać nie rozkazy *rządowe*, lecz uchwały *parlamentowe;* trudnić się policyą, bezpieczeństwem i postępem dobrego bytu parafii (parochial improvements), dozieraniem budowli i więzień hrabstwa (county gool), wypłatą nagród z funduszów hrabstwa (county rates) za schwytanie zbrodniarzy; wykrywaniem oszustw w czasie poboru podatków, słuchaniem przysięgi żołnierzy i majtków, kwaterowaniem ich i t. d. Tak rozległe atrybucye nie mogły być dobrze wykonane przez obywateli niepłatnych i nieusposobionych. Aby zwyciężyć tę trudność, i ułatwić sędziom sprawowanie obowiązków, rząd powiększał ciągle ich liczbę. Władza sędziego rozciąga się na całe hrabstwo (pervades the whole county); prywatny może się więc udawać do tego, który jest najzdolniejszym, albo który wzbudza w nim najwięcéj zaufania. Miasta uprzywilejowane mają osobnych sędziów pokoju, ale wiele jest takich, nawet wielkich, jak Birmingham, Manchester, Sheffield, Wolwerhampton, Wakefield, Halifax, w których sądzą sędziowie pokoju hrabstw.

Sędzia pokoju, zrazu stróż pokoju królewskiego, *conservator of the king's peace,* podług prawa zwyczajowego (at common law), stał się stróżem prawa pisanego (statute law), czyli sędzią zupełnym, co mu dało prawo inkwirowania, sądzenia i karania. Obowiązki sędziów pokoju, dla których żadnego porównania nie można znaleść na stałym lądzie, wykonywają się trojakim sposobem: albo *osobno,* albo w liczbie *dwóch,* na zgromadzeniach zwanych małemi sessyami, *petty sessions,* zwoływanych co piętnaście dni w miastach targowych; albo nakoniec w liczbie dwóch lub więcéj, na rokach wielkich, *general quarter sessions,* zwoływanych co kwartał: na Śty Michał, na Trzy króle, na Wielkanoc i na Ś. Tomasza. W dwóch pierwszych przykładach, decydują drogą śledztwa, *information,* słuchając stron i świadków; w ostatnim zaś przypadku, drogą oskarżenia, *indictement,* co wymaga roztrząśnienia wielkiego jury, a sądu małego jury.

Sędziowie pokoju postępują *osobno,* kiedy idzie o policyą, że tak powiemy instrukcyjną. W tym względzie, każdy z nich działa według tego co słyszy i widzi (upon own view and knowledge). W razie odebrania skargi, słucha przysięgi skarżącego, wydaje pozew obżałowanemu, *summons*, aby się stawił, albo daje rozkaz przyprowadzenia go, *warrant to appear,* skoro przestępstwo pociąga za sobą karę cielesną (where the body is liable), lub skoro prawo nie przypuszcza kaucyi (not bailable). Obżałowany, stawiając się w towarzystwie adwokata, *attorney*, jest słuchany, uniewinniony (discharged), albo obwiniony. W ostatnim razie sędzia decyduje przed jaki sąd obwiniony ma być powołany, czy przed *quarter sessions,* czy przed *assizes,* i ma prawo zażądać od obwinionego kaucyi, że stawi się przed sądem (bail for his appearance to auswer to the charge), albo kaucyi dobrego nadal postępowania (surety for the peace, surety of good behaviour), to jest, piśmiennego zobowiązania się, iż zapłaci 1000 albo 1600 zlp. w razie gdyby popełnił nowe przestępstwo. Rozkaz przyprowadzenia, czyli list gończy, przesyła sędzia do Szeryfa, konstabla lub innego urzędnika, który obowiązany jest zachować ścisłą tajemnicę. Jeżeli obwiniony nie znajduje się w hrabstwie, rozkaz gończy jest indosowany jak wexel i przesyłany do szeryfa hrabstwa sąsiedniego. Przysłowie angielskie niesie, że: mieszkanie Anglika jest twierdzą. Tak się dzieje istotnie; ale kiedy idzie o naruszenie pokoju publicznego, władze mają prawo wejść gwałtem do mieszkania, przejrzyć go, albo aresztować znajdujące się w niém osoby. Hultaje i próżniacy (idle and disorderly persons), oszuści i włóczęgi (vogues and vagabonds), mogą być posłani do więzienia przed wyrokiem (commitment in execution). Władza sędziego pokoju jest rozległa, ale pewność, że jéj nie nadużyje jest wielka, albowiem obowiązany jest spisywać protokuł ze swoich czynności (ruordt). Jeżeli obwiniony czuje się skrzywdzonym, może przesłać skargę do sądu marszalkowskiego, *court of King's Benchs.* Dzieje się to na mocy *habeas corpus,* prawa najdroższego

w oczach Anglików, a które niesłusznie porównano do naszego nieszczęśliwego *neminem captivabimus nisi jure vinctum*. Prawo angielskie jest rękojmią niewinności, a prawo polskie było rękojmią zbrodni. Uciekanie się do *habeas corpus* staje się niezmiernie rzadkiém w Anglii, bo wyobrażenie legalności i sprawiedliwości jest wpojone w charakter mieszkańców. Rzeczą jest niesłychaną, aby sędzia pokoju uwięził kogoś bez widocznéj przyczyny. Gdyby to uczynił, wykreślonoby go z listy sędziów i pozbawiono czci i sławy. Zresztą nie do niego należy sąd obwinionego, ale do przysięgłych, których listę układają *church-wardens* i *overscers*, pod dozorem szeryfa.

Sędziowie pokoju postępują *we dwóch*, w *petty sessions*, kiedy idzie o małe sprawy administracyjne i cywilne, n. p. o sprzeczki między panem a służącym lub robotnikiem, między żebrakami a władzami parafialnemi; o sprzeczki między parafiami dla oznaczenia do któréj żebrak należy, o wyznaczenie alimentów dla dzieci naturalnych i t. d. Postępują najmniéj we dwóch, albo w liczbie nieoznaczonéj, która nieraz dochodzi czterdziestu, kiedy idzie o apelacyą od *petty sessions*, albo o mniejsze zbrodnie. W pierwszym razie rozstrzygają drogą śledztwa, a w drugim drogą oskarżenia, to jest, przy pomocy wielkiego i małego jury. Ostatnia droga, która jest wyraźnym sądem, nie stanowi wcale właściwych sądów kryminalnych, *assizes*. *Assizes* wymagają prezydencyi wielkiego sędziego angielskiego, którego tutaj nie ma. Jest to sąd miejscowy, sąd hrabstwa, do którego władza sądownicza się nie miesza. Trudni się on mniejszemi zbrodniami, wyjąwszy Bristolu, który na mocy dawnych przywilejów, ma moc sądzenia nawet spraw kapitalnych. W Anglii jednak kradzieże karane są szubienicą. Podobne sprawy, z przyczyny ich liczby, zarzuciłyby *assizes*. Dla tego to sędziowie pokoju, zmniejszając wagę kradzieży, podciągają je pod juryzdykcyą *general quarter sessions*. Aby oznaczyć w przybliżeniu stosunek *quarter sessions*, do *assize*, można powiedzieć, że pierwsze odpowiadają dawnym *ziemstwom* polskim,

a drugie *trybunałom*. Porównanie nie jest ścisłe, ale innego nie widziemy. Chociaż oparty na innych zasadach, *quarter session* jest prawdziwym sądem cywilno-kryminalnym. Z téj przyczyny liczy się do sądów regularnych, *courts of record*, zwanych tak dla tego, że mają pisarzy, *recorders*, których rola jest równie ważna jak podszeryfa obok szeryfa. Co kwartał zjeżdża się tu wielu adwokatów dla bronienia spraw tak administracyjnych jak sądowych. Takie ziemstwa posiadają niektóre miasta, z różnicą, że *alderman* odegrywa rolę sędziego pokoju, a *recorder* prezyduje. *Recorder* bywa wybierany przez Aldermanów albo przez adwokatów między sobą. W Londynie, *recorder* jest znakomitą osobą i ma pomocnika, *common sergent*.

Powyższe czynności sędziów pokoju są załatwiane przy pomocy pisarza, a raczéj Sekretarza Jeneralnego, *clerk of Justices*, który strzeże archiwów hrabstwa. Czynności czysto administracyjne odbywają się po każdéj kwartalnéj sesyi. Wtenczas zbierają się *wszyscy* sędziowie pokoju, w towarzystwie Szeryfa, konstablów i t. d. Sędziowie pokoju reprezentują tutaj dawne zbory prowincyonalne. Na sesyi kwartalnéj mianują tak *overseers* jak *surveyors* i *constables*, rozbierają projekta dotyczące potrzeb hrabstwa, *presentment*, i uchwalają podatki. Podatki są wielkie, bo rząd prawie się nie miesza do wewnętrznéj administracyi hrabstw. I tak, drogi są robione albo przez parafie, albo przez hrabstwa. Pierwsze nazywają się parafialnemi, a drugie hrabioskiemi. Hrabstwa dostarczają funduszów na robienie i naprawianie dróg, mostów, na budowanie sądów i więzień; one płacą inżynierów, kapelanów więzień, podskarbiego, poborców, konstablów, dozorców, strażników i t. d. One ponoszą koszta procedury poprawczéj i kryminalnéj, zbierania włóczęgów, płacenia świadków, żywienia i przewożenia zbrodniarzy. Hrabstwo opłaca komorne wielkiego sędziego kiedy przybywa na roki; daje pensyą urzędnikom obowiązanym stwierdzać śmierć gwałtowną, *coroners*, pisarzom *quarter's sessions* i t. d.

Podatki, uchwalane przez sędziów pokoju, pobierane są po parafiach według dawnych zwyczajów, przez podskarbiego, kolektorów, a nawet konstablów, mianowanych jakeśmy już mówili, przez sędziów pokoju. Konstable są to pospolicie kramarze albo robotnicy, płaceni miesięcznie lub dziennie. Do r. 1739, parafie zatrzymywały u siebie pieniądze zbierane na potrzeby hrabstwa i wydawały je w miarę żądania; dziś fundusze hrabstwa są centralizowane w jednem ręku. Podskarbi hrabstwa przedstawia zwykle budżet wydatków na sesyi kwartalnéj. Jeżeli budżet jest przyjęty, sędziowie pokoju rozdzielają ciężary między parafie. W razie przeciążenia, parafie mają apelacyą do walnego zgromadzenia sędziów pokoju, które ma miejsce *raz na rok*. Oto są wydatki hrabstw uczynione r. 1843 w saméj Anglii: na mosty, budowle publiczne i więzienia, 10 milionów zltp.; na utrzymanie więzień i włóczęgów, 5 milionów; na koszta śledztwa i procedury kryminalnéj, 5 milionów; na koszta milicyi, 90,000; na konstablów, 900,000; na koronerów, 500,000; na podskarbiów, inżynierów i inspektorów, 1,800,000; na płacę robotników, 5 milionów; na 84 pisarzy sądowych, 1,700,000; na pensye poborców, 600,000. Razem 30,590,000 zltp.

To co dotąd powiedzieliśmy, dotyczy tylko *sessions*, to jest administracyi i sądownictwa hrabstw. Sądownictwo wyższe albo królewskie, *assize*, znajduje się także w ręku mieszkańców i odbywa się na prowincyi. Anglia ma tylko dwunastu *wielkich sędziów*, którzy wystarczają sprawom całego królestwa, bo obowiązek ich ogranicza się do prezydowania sądom złożonym z mieszkańców. Są trzy wielkie trybunały, *courts*, rezydujące w Londynie, *Court of King's Bench*, *Court of Common Pleas* i *Court of Exchequer*, każdy złożony z prezesa, *lord chief justice*, i trzech sędziów. Sędziowie tych trybunałów rozjeżdżają się peryodycznie na prowincyą dla sądzenia spraw; w tym celu, Anglia została podzielona na sześć okręgów, *circuits*. Do każdego okręgu jedzie dwóch sędziów: jeden do spraw kryminalnych, a drugi do cywilnych. Sądy kry-

minalne zowią się *assize* a cywilne *sittings*. Wyjąwszy Londyn, są zwykle dwa roki, letni, *summer-assize*, i wiosenny, *lent-assize*. Z sędziami jadą adwokaci i pisarze. Miasta przyjmują ich z chorągwiami i muzyką. Szerif wyjeżdza konno i dostarcza wspaniałych powozów, w których wjeżdżają wielcy sędziowie przybrani w ogromne peruki. Jest to uroczystość ważna dla prawujących się, a przyjemna dla wszystkich mieszkańców, wtenczas bowiem odbywają się zabawy i biesiady różnego rodzaju, podnoszone obecnością landokracyi, czujnéj na wszelki objaw życia publicznego.

Wielcy sędziowie prezydują *assize* i *sittings* według zasady: *de jure respondent judices, de facto jurati*. *Assize*, składają się z dwóch rodzajów przysięgłych: wielkich, *grand juries*, i małych, *petty juries*. Do pierwszych należą sędziowie pokoju, równie jak główniejsi właściciele. Do drugich, ci co mają 400 złtp. przychodu, a w Galii 240 złp. Pierwsi roztrząsają czy są pozory, że obwiniony jest winny, drudzy zaś sądzą obwinionego. Zwyczajnie, możniejsi przysięgli przeznaczani są do *assize*, bo są dłuższe, a biedniejsi do *quarter sessions*. Liczba wielkich przysięgłych jest właściwie 23, ale Szerif przez grzeczność, umieszcza więcéj. Tym sposobem miłość własna prywatnych jest zaspokojona, każdy zaś z nich wie że tylko 23 pierwszych stawić się są obowiązani. Wielcy przysięgli, zebrawszy się razem, wybierają z pomiędzy siebie prezesa, *foreman*. Jest to wysoka godność, albowiem wielcy przysięgli nie ograniczają się do saméj administracyi sprawiedliwości; doglądają oni jeszcze więzień i robią przedstawienia rządowi co się tycze administracyi miejscowéj. W tym celu spisują memoryał, który oddają wielkiemu sędziemu, aby, z powrotem do Londynu, złożył go w ręce właściwego ministra. Wielcy i mali przysięgli zbierają się w jednym budynku i w tym samym czasie, ale w osobnych salach. Wielcy przysięgli, kiedy są w liczbie 23, decydują większością głosów. Może ich być mniéj, ale wtenczas trzeba, aby 12 głosów było za oskarżeniem. Jeżeli jest ich dwunastu, potrzeba jedno-

myślności. Zasady te wychodzą z dawnego zwyczaju, podług którego nikt nie mógł być skazany bez przyzwolenia 24 obywateli, których większość była 12. Mali przysięgli sądzą w liczbie 12, ale z przyczyny prawa rugowania powołuje się ich zwykle 48.

Po uczynionéj przysiędze w ręce wielkiego sędziego, wielcy przysięgli udają się do swéj sali, słuchają świadków, i decydują, czy oskarżony ma być oddany pod *assize*, lub nie. W pierwszym razie, decyzya nosi nazwisko *true bill*, w drugim *no bill*. Jeżeli zapadł *true bill*, *foreman* uwiadamia o tém wielkiego sędziego i *assizes* zaraz się rozpoczynają. Zwyczajnie, mali przysięgli rozpoczynają sąd pół godziny po zaczęciu inkwizycyi wielkich przysięgłych. Przez te półgodziny wielcy przysięgli mają dość czasu rozpatrzyć sprawę oskarżonego, tém bardziéj że pisarz, *clerk of indictement*, stara się wprowadzać na początek, sprawy najoczywistsze. Po każdéj uchwalonéj decyzyi, *foreman* wielkich przysięgłych wchodzi do sali małych przysięgłych i doręcza decyzyą pisarzowi, który ją głośno odczytuje. Robota wielkich przysięgłych trwa zwykle trzy lub cztery dni. Potém zwiedzają więzienia i trudnią się przedstawieniami. Współczesność obrad wielkich i małych przysięgłych zaprowadzoną została w zamiarze, aby świadkowie byli raz tylko powoływani i mogli służyć jednego dnia obydwu sądom. Zamiar był dobry, wszelako skutek nie odpowiedział zupełnie życzeniu. Zwyczajnie oszczędność czasu i kosztów jest mała, albowiem wszyscy świadkowie będąc powoływani na pierwszy dzień sądu, wypada, że część z nich musi być przytomną przez cały czas trwania *assize*.

Mali przysięgli są prezydowani przez wielkiego sędziego. Po wprowadzeniu obwinionego, *clerk of indictement* czyta akt oskarżenia. Sędzia pyta się obwinionego czy się uznaje za winnego, *guilty*, czy za niewinnego, *not guilty*. W pierwszym razie, sędzia po stosownych uwagach, odséła go do więzienia i wyrokuje sam bez przysięgłych i bez obrońcy. W drugim razie, wyciąga losem 48 przysięgłych. Następują dwojakie rugi: *chalenge to the array*

albo *chalenge to the polls.* W Anglii, gdzie nie ma prokuratora królewskiego, zastępuje go zwykle adwokat poszukującego. Ten to adwokat wyszczególnia okoliczności zbrodni, i na dowód, że mówi prawdę, wprowadza i wypytuje się swych świadków. To się nazywa *examination.* Następnie adwokat obwinionego czyni *cross-examination*, to jest, wprowadza świadków innych albo wypytuje się pierwszych, starając się wprowadzić ich w sprzeczność z sobą. Przez cały ten czas, sędzia jest milczącym i bierze tylko notatki, z których potém czyni przysięgłym krótkie i suche przedstawienie całéj sprawy. Winę albo niewinność decydują mali przysięgli, a sędzia stosuje karę. Wszystko to dzieje się w obec licznych słuchaczów, szczególniéj kobiet, których przytomność zamienia sąd kryminalny w uroczystość. Dodać należy, że sala i ławy sądowe posypane są liściem jodłowym, że stół sędziowski jest ozdobiony w kwiaty, że wielki sędzia i pisarz mają bukiety u piersi. Jest to uroczystość smętna, lecz wielka, bo kształci wyobrażenia mieszkańców, uczy odwagi cywilnéj i obowiązków ważnych, albowiem dotyczą życia bliźniego a sumienia przysięgłych. Procedura względna i litościwa odejmuje w Anglii sądowi kryminalnemu urok traiczny; obwiniony uważany jest nawet bardziéj za nieszczęśliwego niż za zbrodniarza. Takie okoliczności paraliżują drakonizm dawnych praw angielskich. W Anglii np. każda kradzież, wyższa szylinga, jest karana szubienicą, a kradzieże liczą się tysiącami. Sędzia złagadza więc karę, pod warunkiem otrzymania potwierdzenia królewskiego, ale kiedy okazuje się potrzeba przykładu, wyrokuje szubienicę bez wahania się, przez co pogrąża złoczyńców w trwogę śmiertelną.

Kiedy jeden wielki sędzia przewodniczy sprawom kryminalnym, drugi przewodniczy sprawom cywilnym. W Anglii nieznane są różnice między atrybucyami sądów, jak się to dzieje we Francyi. Prywatny może się udać do któregokolwiek bądź z trzech wielkich sądów w Londynie, *courts.* Sąd wydaje *writ venire facias*, to jest, daje rozkaz Szerifowi, aby powołał dwunastu przysięgłych dla

rozsądzenia sprawy i następnie oznacza dla stron termin stawienia się, *nisi prius* jeden z wielkich sędziów nie przeniesie się do *circuit* w którym strony mieszkają. Ostatni przypadek jest zwyczajnym, dla tego *the court of civil pleas* zwie się także *court nisi prius*. Tym sposobem strony, świadkowie i przysięgli nie potrzebują się przenosić. Inaczéj się dzieje jeżeli sprawa jest trudna i ważna. Wtenczas obrony odbywają się w Londynie, przed kratkami, *trial at the bar*. Sprawy cywilne sądzą się jak kryminalne, z różnicą, że nie ma już wielkich przysięgłych tylko mali. Zastosowanie przysięgłych do spraw cywilnych, napotykało wszędzie wiele trudności. Anglicy uniknęli ich sprowadzając wszystkie sprawy nie do wykonania umowy, jak we Francyi, lecz do kosztów. To czyni, że jak przysięgli kryminalni odpowiadają: *guilty* albo *not guilty*, tak przysięgli cywilni odpowiadają: *for the plaintift* albo *for the defendant*.

Administracya sprawiedliwości w Anglii polega przedewszystkiém na zapewnieniu się o bezstronności sędziego i na przenoszeniu bezstronności nad umiejętność prawniczą. Dla tego przysięgli cywilni decydują zarazem o *czynie* i *prawie*, wyjąwszy, gdyby sędzia był proszony o *special verdict*. Bezstronność sędziów angielskich jest wielka, bo ich zdobi nauka i uszanowanie dla praw. Są to pospolicie dawni adwokaci, którzy okryli się sławą. Wybiera ich rząd, ale szacunek dla legalności jest tak wrażony w wyobrażenia publiczne, że rząd nie śmiałby mianować sędzią adwokata miernego. Jednakże, największą podstawą bezstronności sprawiedliwości angielskiéj są przysięgli. W Anglii jest zasadą że, jak w polityce prawa muszą być uchwalone przez lud, czyli przez deputowanych, tak w sądownictwie stosowane być powinny przez przysięgłych. Przysięgli uważani są za uosobistnienie ludu. Wielki sędzia mówi do nich, że są narodem, *which country you are*. W takim stanie rzeczy, jurysprudencya jest niepodobna. Jednakże, wielcy sędziowie, za pomocą *new trials*, potrafili wpłynąć na kwestye prawne i usunąć błędy, jakie mogłaby sprowadzić

nieumiejętność przysięgłych. W Anglii jak administracya tak i sądownictwo, nie mają nic artystycznego; wszystko tu zależy na pośpiechu, na oszczędności i bezstronności. Przysięgli są uważani za twierdzę ludu, za niezdobyty Gibraltar konstytucyi angielskiéj. Zdarza się nieraz, że w niemożności rozsądzenia wszystkich spraw na rokach, sędziowie zdają pewną ich część adwokatom. Wtenczas oberża zamienia się w dom sądowy, do którego powoływane są strony i świadkowie.

Zastosowanie przysięgłych do *assize* sięga odległéj starożytności i zasady, na mocy któréj każdy winien być sądzony przez równych sobie. Dla tego to Izba Lordów sądzi sama swych członków oskarżonych o zbrodnią, wyjąwszy przypadku wyraźnego zrzeczenia się przywileju i poddania się pod sąd przysięgłych. W obu jednak przypadkach, oskarzenie czynią wielcy przysięgli. Jeżeli parlament jest zebrany, Izba Lordów sądzi oskarzonego w całém gronie i w podwójnym charakterze: małych przysięgłych i wielkich sędziów. Nie ma tu już rugowania sądzących; tylko przed wprowadzeniem sprawy, kanclerz wzywa aby się oddalili ci, którzy czują niechęć przeciw oskarzonemu. Taki sąd zwie się *sądem królewskim w Parlamencie.* Jeżeli nie ma parlamentu, król, na wiadomość o oskarzeniu Lorda przez wielkich przysięgłych, mianuje Seneszala, który powołuje na sąd dwunastu Lordów, a czasem i dwunastu sędziów. I tutaj nie ma rugowania. Taki sąd zwie się *sądem wielkiego Seneszala.* Seneszal odegrywa rolę wielkiego sędziego, a Lordowie rolę przysięgłych. Za mniejsze przestępstwa, Lordowie sądzeni są przez przysięgłych. Wyjątek stanowi, kiedy są oskarżeni przez Izbę gminną. Wtenczas sądzeni są przez sąd królewski w parlamencie. Toż samo dzieje się z oskarzonymi ministrami, sędziami i jenerałami.

Antoni Szymański.

(Dokończenie późniéj.)

Synowie Gedymina,

przez Kazimierza Stadnickiego.

Lwów 1849.

Niniejsza praca ma ograniczeńsze rozmiary, aniżeli Piasty, o których daliśmy wiadomość. Tu autor nie miał myśli przedstawienia wielkich kierunków naszéj historyi. Jest to tylko monografia synów Gedymina, do któréj atoli weszły ważne i zajmujące poszukiwania, kiedy i jakiemi sposoby Polska wcieliła ziemie nazwane ruskiemi: Halicz, Włodzimierz, właściwe Podole. Autor bardzo trafnie uważa, że monografia, że wyjawienie pojedyńczych przedmiotów, że historya rodzin ułatwia poznanie ogólnych dziejów. Temu nie zaprzeczamy, tylko nie radzilibyśmy przestępować miary. Mieliśmy zawsze, i zachowamy podejrzenie ku niespodziewanym nowościom, czyli odkryciom, mającym zmienić, czyli sprostować to, co dotąd historya twierdziła, to co wstąpiło do sumienia narodu jako pewność. Takiemu śmiałemu a zajmującemu przedsięwzięciu, szczęście rzadko towarzyszy.

Autor mówi: *zawikłana sprawa Podola,* ale obawiamy się czyli zawikłania nie zwiększył, czyli nie rzucił cieniów na to, co dotąd dosyć jasności miało, co nosiło znamiona historycznéj dowiedzionéj prawdy. Podrzędne trudności rozwiązano uczciwie i zupełnie trafnie. Dla téj strony poszukiwań mamy uszanowanie, ale co do ogól-

nych i wielkich stosunków Polski, Rusi i Litwy, zdaje się nam, że wprowadzono dziwne pomięszanie, bez potrzeby i bez usprawiedliwienia. I w *Piastach*, i w *Synach Gedymina,* Pan K. S. udziela zbyt szczupłego miejsca polskiemu działaniu, nawet się nie ukrywa z tém swojém uczuciem. Czegóż albowiem nie mówi przeciw Polsce? Prawo ruskie, litewskie, a może nawet i mongolskie zwyciężył *spryt* polski. Matactwami, narzucaniem się, Polska wprowadziła do swéj jedności ludy Halicza, Włodzimierza, i Podola. Założenie téj okazałéj jedności ma być nieczyste, niemoralne. Czyż takie zdanie nie wychodzi na wyraźne usprawiedliwienie rozrywającym i przeciwnym namiętnościom ruskim, moskiewskim, i Bóg wie jakim jeszcze! Czyliż naprzykład Pan Dyonizy Zubrzycki nie dowodzi najpoważniéj, że nawet Władysław książę Opola, był dziedzicem Rusi, że Polska nałożyła ujarzmienie, że popełniła przywłaszczenie. Na to dążenie ścieśnienia naszych historycznych granic, przekreślenia naszéj świetnéj przeszłości, wydarcie naszych błogosławionych posług Słowianom i człowieczeństwu, nie zgodzimy się nigdy. Jest zdumiewające, jest rażące słyszeć Polaków rozumujących na korzyść tych, co utrzymują, że rozbiór miał bardzo wiele słuszności. Co wzięły *spryt* i *przemoc,* spryt i przemoc odebrały, odzyskały. Ujarzmialiśmy dawniéj, a teraz nas ujarzmiono. Tego w *Synach Gedymina,* wyraźnie nie ma, ale to koniecznie wynika z pierwszych oceneń.

Pan K. S. wyrzuca Narbuttowi, Stryjkowskiemu i Karamzinowi zagmatwanie historyi Narymunta. Nie bronimy ich. O synach Jawnuty, Narbutt, Paprocki, Niesiecki, tudzież Kojałowicz, zostawili pomięszane wiadomości, które uczony autor zamierzył wyjaśnić i uporządkować, co téż wedle nas bardzo pomyślnie wykonał. Kiedy jednak autor oburza się na Długosza za to, że miał być nieprzychylny Jagiellonom, na Stryjkowskiego za to, że we swych kronikach Polakom za wiele sprzyjania okazał, na obudwu, że nie podają pewnych świadectw o Rusi, jego zdanie nie przekonywa nas wcale. Długosz jest zawsze

sprawiedliwy, objawia delikatne moralne uczucie, przed żadnemi nie skłania się wielkościami; co do czynów mianowicie, godny on wszelkiego zaufania. Ma błędy, ale nie téj natury. Możnaż utrzymywać, że Stryjkowski zanadto się pokazał przychylny Polakom, on który narzeka, że Litwa nie ma mądrych senatorów, którzyby umieli się postawić przeciw Polsce wymagającéj zwrotu ziem ruskich. Stryjkowski dawał pierwszeństwo zdobyczom litewskim a zaprzeczał prawu polskiemu, ubolewał nad tém, że Polska lud z nią jeden rozerwany chwilowo przez najazdy Litwinów, Waregów i Mongołów, spajała napowrot, że przywracała to co było, wzmacniała się włączeniem swojéj własnéj starożytnéj narodowości. Szanowny autor ma odmienne pojmowanie. Po pięciu wiekach spólnictwa chwały i swobód, żalom ruskim usiłuje nadać jakieś znaczenie, podpiera żywioły rozerwania przyniesione zewnątrz, i mimo wiedzy podkopuje dzieło miłości, które Polska ciągle wyobraża poświęcając się i cierpiąc. Przypuściwszy żeby dokonano osłabienia polskiéj jedności, żeby do naszego sumienia jako narodu wprowadzono zwątpienie, pytamy, kto z tego skorzysta? Czyli Polska? Nie. Czy Litwa i Ruś? Także nie. Dla Rusi i Litwy, dla tych żywiołów, które jeszcze nie przyjęły polskiéj natury, niemamy nowéj metody zbawienia. Trzeba bezwarunkowo obstać przy czynach dokonanych 1340, 1386 i 1569, a których podstawa założona jest w najstarożytniejszych podaniach naszéj historyi. Czyny 1340, 1386 i 1569, nie były nowościami, nie stworzył ich *spryt* polski. Nie; wyszły one naturalnie, uczciwie, i koniecznie z najgłębszych natchnień polskiéj i słowiańskiéj narodowości. Istnieje w niektórych umysłach skłonność romansowa, poetyczna, podróżowania po bezdrożach, po urwiskach, chociaż przed ich okiem posuwa się łatwa i pewna droga. Jest jakaś rozkosz błądzić i innych ku błędowi kierować. Téj rozkoszy nie rozumiemy i nie chwalimy.

Przypatrzmy się bliżéj tym poszukiwaniom, godnym uwagi przez to jedynie, że gdybyśmy je uznali prawdzi-

wemi, otworzyłby się przystęp ogromnym a niebezpiecznym złudzeniom, złudzeniom jakie nasuwa moskiewska dyplomacya, jakim daje zachęcenie Austrya marząca o ruskiéj narodowości ujarzmionéj niegdyś przez Polaków, a w latach 1772 i 1848 przez Niemców oswobodzonéj. Czyliż sama opieka nieprzyjaciół nie ostrzega, że w tych złudzeniach tkwi coś co polskiém nigdy być nie może? Nie podoba się wam polskie oblicze? Znajdujecie na niém rażące rysy? Zgoda! ale nieszczęście, ale konieczność mieć chce, że cofając się przed niém, zbliżacie się ku temu co stanowi zgubę Litwy i Rusi. Ofiarujecie pojednanie i powolność sile, która zawsze tym krainom groziła zatraceniem. Wyboru nie ma. Pośrednie stanowiska zniknęły. Dziś mniéj aniżeli kiedykolwiek dostrzegamy żywiołów ustanowienia ruskiéj i litewskiéj samoistności. Mądrość historycznych poszukiwań jakaż być powinna? Dopełniać, dokształcać, rozwijać, ale nie psować i do sporu pobudzać mniej więcéj zlane i zdawna pojednane stosunki. W naszéj historyi trzeba szanować i uznać to co żyło, ale nie to co życia nie miało, co wznoszeniu się polskiéj wielkości stawiało przeszkody. My chcemy takiéj Polski jaka się objawiła we swoich wszystkich warunkach i dziełach. Co nie z nami i nie w nas, jest przeciw nam. Polskę wyobrażamy sobie niby szatę Chrystusową; nie była zszywana, pruć jéj nie wolno.

Ogólne wrażenie jakie zostaje po odczytaniu rozumowań autora, o Rusi i o Podolu, nie jest ani przyjemne, ani przekonywające. Nie możemy sobie wytłómaczyć co mogło skłonić polskie pióro ku takim zboczeniom. Pan K. S. przyznaje, że Długosz znał ruskie kroniki (1), że wiele z nich czerpał, a jednakże temu bogobojnemu, najczyściéj polskiemu dziejopisowi zarzuca *przekręcanie faktów według swego widzimisię*. Jakto, Długosz rozmyślnie fałszował, pisał swoje dzieje aby pochlebić swojemu

(1) W Rzymie, biblioteka filipinów (Valicellana) posiada rękopis pierwszych siedmiu ksiąg Długosza, wolny od błędów oszpecających lipskie wydanie. Na wielu miejscach, Długosz Nestora dosłownie tłomaczy.

i polskiemu widzimisię? Świadectwo człowieka, który czytał dyplomata, który patrzał na czyny, który sam wpływał na dyplomatyczne działania, ma być podejrzane! Zobaczmyż jaka może być wartość historyczna twierdzeń autora o Rusi, o Podolu i o sposobach, któremi Polska ludy tych ziem oswobodziła i uzacniła.

Uczony autor mówi, że ziemie Bełzu i Chełmu były najdawniejszemi siedzibami Lechów, a Brześć nazywa wrotami Polski. Po za Bug, polska narodowość sięgać nie miała. Obszerniejszych rozszerzeń nie zakłada moskiewska dyplomacya. Wedle niéj dzisiejsza Rosya odzyskała tylko swoje odwieczne granice, Polska bardzo niepotrzebnie zaszła tam, gdzie jéj nie wzywały podania i tożsamość a przynajmniéj podobieństwo narodowości. Kazimierz Wielki zajął Ruś 1340 i 1349, Łuck i Włodzimierz porwał, zagrabił. Wyprawy 1354 i 1366 utrwaliły grabież, prawną chciały ją uczynić. Dopiero umowa 1366 wcieliła ziemie składające kraj znany pod imieniem królestwa Halicza i Włodzimierza. Przed 1340 i 1366 nie istniał żaden związek między ludami Polski, Halicza i Włodzimierza. Polska wzięła coś zupełnie obcego jéj historyi i jéj narodowości. Taka ma być natura wstąpienia Polski do Rusi, — zabór, gwałt, który późniéj prawem nazwano czyli zrobiono. Z tych twierdzeń idzie proste następstwo, że rozbiór zniweczył tylko dzieło przemocy, a prawo przywrócił (2). Ostrzegamy, uczony autor

---

(2) Uczony autor, który nic niewie o stosunkach Polski i Rusi przed XIV wiekiem, wie przecież że granica Polski XI wieku przechodziła Karpaty, dotykała Preszowa i rzeki Cissy. Lecz tę okoliczność uważa za nic, pomija. Pan K. S. mniema że powołanie Ludwika króla Węgrów na tron Polski przygotowano złotem. Rada polska kupiona być miała. Alež sejm wszystkich ziem polskich uchwalił wezwanie. Czy także był ujęty jakiemi darami? Trzeba podnioślėj uważać wielkie polityczne zdarzenia, nie brać ich za dzieła nędznych namiętności. Podobny sposób tłómaczenia historyi nic nieznaczy. Złoto działać mogło, nieprzeczymy, jednakże były powody nieskończenie mocniejsze nad złoto. Polska XIV wieku niezawodnie wiedziała jakie były jéj granice XI wieku, gdzie zasię-

wcale podobnych rzeczy nie utrzymuje, ale konieczność owa z czynów wynika i rozumowań, które przytacza. Co innego P. Zubrzycki, temu nie zabrakło wiedzy i śmiałości, ten najgrubiéj zaręcza, że Austrya r. 1772 odebrała swoje, przywróciła prawny, w XIV wieku przez Polaków zgwałcony porządek.

Z Podolem rzecz się ma gorzéj prawie. Wedle pana K. S. historycy polscy i litewscy mijają się na wyścigi z prawdą w kwestyi Podola. Pan K. S. polskie twierdzenia co do Podola prosto nazywa fikcyami. Z fikcyi tedy Polska wysnuła swoje prawa do Podola. Zobaczmy teraz jaką prawdę o Podolu Pan K. S. ustanawia?

Stryjkowski zamieszał rzecz o Podolu, stworzył dwóch Teodorów Koriatowiczów 1339 i 1395, kiedy istniał tylko jeden 1396, któremu Witołd Podole wydarł biorąc je pod swoje bezpośrednie zwierzchnictwo. Koriatowicze, potomkowie Gedymina, pierwsi na Mongołach zdobyli Podole, 1351 — 1363. Miał to być czyn zupełnie litewski. Podole stało się własnością litewską, do któréj Polska żadnych praw nieposiadała. Witołd nad Podolem panował samowładnie; nie uznawał nad niém polskiéj zwierzchności, był zupełnie niepodległy i do śmierci Podole we swojém wyłącznym posiadaniu trzymał. Taka jest teorya, dla któréj usprawiedliwienia uczony autor niewzbrania sobie wielkich wolności i najdogodniejszych tłómaczeń. Znajduje naprzykład, że król Władysław po większych grodach trzymał załogi. To nic. Witold na nie łaskawie zezwolił. Witold umiera. Buczacki, Drze-

---

gała jéj narodowość, pragnęła zatem powrócić ku dawnéj swéj rozciągłości. Myśl opatrzna i polityczna. Węgry były więcéj słowiańskiem państwem. Jakże nie ubolewać nad tem, że się nieugruntowało sprzymierzenie, albo zjednoczenie polskiéj i węgiersko-słowiańskiéj korony? Pan K. S. mniema, że głos narodu powoływał raczéj książąt Szląska i Mazowsza. Nie, tak nie było. Pan Szajnocha wykazał że ci książeta zepsuli się ohydnie, ulegli wpływom zewnętrznym, że wynarodowiali się chętnie, nawet zdradzali. Pono istniała ustawa niedozwalająca książętom szląskim jakiéjkolwiek polskiéj godności.

wiecki, kustosz Sandomirski, i Andrzéj z Tenczyna, przez *spryt*, *śmiałość i postanowienie*, dla Polski przywłaszczyli Podole. Miała to być *głęboka* i *zdrowa polityka*. Ależ moralność, takiéj polityki rozgrzeszyć nie może. Polska się zwiększyła. Tego uczony autor nie umie potępić, ubolewa tylko, że ogromne zwiększenie się niema sprawiedliwszéj zasady — że się spełniło tylko sprytem. Jeżeli Świdrygajło złożył hołd, złożył tylko przez strach i dopiero r. 1431 Polska do Podola założyła jakie takie prawo. Nie wpierw jak r. 1434 Podole ma polskich wojewodów. Litwa się opierała mocno przywłaszczeniu, a Polacy śmiało, kłamliwie twierdzili, że oni Podole zdobyli, że do nich Podole starożytnie należy. Litwini nie znali swojéj własnéj historyi, albo ulegali przeważnemu wpływowi. Nie śmieli albo nie umieli prawdy powiedzieć. Polacy z prostéj fikcyi zrobili rzecz, z przywłaszczenia prawo. Jednakże Litwa rozumiała choć ciemno swoją lepszą słuszność, i w r. 1453 spór o Podole, chciała poddać wyrokowi Tatarów! Takie szaleństwo znajdujemy wspomniane najspokojniéj. Chcielibyśmy zrozumieć ciąg myśli autora, ale nie możemy, albo nie umiemy. Jeżeli pogląda on na Zachód, nachyla się ku Niemcom, tym filarom ludzkości; ku Krzyżakom tym mistrzom Polski. Jeżeli się zwraca na Wschód, cóż widzi? Polska przez spryt, przez bezczelne wmawianie, przez fikcyą, łupi cudze własności, Słowian Rusi wprowadza do swéj jedności niemoralnemi środkami, przywłaszcza sobie to prawnie, co uczciwie posiadali Waregowie, Litwini, Mongołowie. Tym najezdnikom, tym ujarzmicielom, Waregom i Mongołom, uczony autor daje przebaczenie, szanuje ich lepsze prawo. Jakież miejsce dla działalności polskiéj zostanie? My takim poszukiwaniom, takim koniecznym następstwom nie możemy przyznać prawdy. Mamy wyrzec się samych siebie? I na co? Aby się skłonić przed Waregami i Mongołami, przed Niemcami, a nawet przed Litwinami, których zresztą nawet przed ich połączeniem się z nami szanujemy i kochamy? To wyrzeczenie się samych siebie, to odstąpienie naszéj przeszłości, stałyby się niejako konieczne-

mi, gdyby pomysły złożone w *Piastach* i *Synach Gedymina* przynajmniéj cokolwiek prawdziwemi być miały. Dotąd niemieliśmy przeczucia, że historya Polska dostarcza dowodów mogących usprawiedliwić grabieże lat 1772 i 1793. Zastanowienie się nad temi dowodami nie może być zbyteczne. Chodzi o bardzo wiele, o sumienność granic naszéj historycznéj narodowości, o moralność i o godność przeszłości naszéj.

Pan K. S. znajdował trudności tam, gdzie ich nie znalazłby nawet najpodejrzliwszy umysł. Czytał umowy 1383 i 1413, przytacza je nawet, a nieumie powiedzieć, jakie było ich znaczenie. Cóż wyznaje Jagiełło obrany królem Polski? *Terrasque Lithuaniae, Samogitiae et Russiae, in quibus naturali et acquisiti jure habebat dominium mirum et mixtum, ditioni suae parentes, Regno Poloniae perpetus inscripsit, univit, invisceravit, adjunxit, incorporavit.* Umowa 1813 mówi: że Litwę *cum terris dominiis ipsi subjectis et connexis, praefecto Regno nostro Poloniae, appropriamus, incorporavimus, conjunximus.* Litwa niewyłączała Podola, wszystkie swoje posiadłości wcieliła Polsce, sobie nie zastrzegła nic. Tylko jedna korona być miała, Polska. Takie wyraźne zobowiązanie określone wyrażeniami najmocniejszemi, jakże p. K. S. nazywa? To miała być *obietnica*, słowo bez ważności. Pan K. S. widział mnogie dyplomata twierdzące, że książęta Rusi i Litwy, składali hołd, przysięgali wierność, wyznawali się poddanymi. Czyjmi poddanymi, zapytuje się, czyli króla Polski czyli księcia Litwy? Lecz takiego zapytania czynić nie można. Przez umowy lat 1385 i 1413, Litwa się zrzekła swéj niepodległości, wszystko koronie polskiéj dała albo zwróciła. Nazwisko księcia Litwy straciło znaczenie rzeczywiste, prawo i władza stanowczo i na zawsze weszły do korony. Witold niebył niepodległym, tylko osobiste i dożywotne miał posiadanie. Pan K S. wątpi o tém, o czém sami Rusini wówczas wątpić nie mieli odwagi. I tak Fedko książe Ostrogski na Nieświeżu, który ujęty szlachetném postępowaniem Polaków odstąpił Swidrigajły i miał sobie nadany Bracław, wyznał roku 1434: *jurat Regno*

Poloniae et regi Vladislao fidelitatem cum posteris suis, ac ditionibus suis quae tenebat, et ad Poloniam pertinere antiquitus testatur. Uważmy wyraz *antiquitus.* O Litwie, o wielkim księciu Litwy ani spomnienia. Litwa jako państwo udzielne przeminęła. (3)

Jest jeszcze coś ważniejszego. Umowy lat 1386 i 1413, nie stworzyły żadnych nowych zobowiązań i stosunków; wymieniły to jedynie co powszechnie uznawano, co na żaden sposób odmienić się nie mogło. Temu nawet p. K. S. nie zaprzecza. Po długich poszukiwaniach, kto pierwszy poganom Podole odebrał, i jakie miało być znaczenie prawdziwe umów z 1386 i 1413, cóż twierdzi? Dwie, mówi, przyczyny wpłynęły na wcielenie Podola. Raz, sama Litwa Tatarów pokonać nie mogła, powtóre, szlachcie ruskiéj dano polskie swobody, (4) Panowie litewscy uczuli opuszczenie swoje, a pogardliwe mowy musiały ustąpić rzeczywistości (5).

Względy, które w XIV i XV wieku Litwie i Rusi nakazały wstąpić do Polski, w niéj szukać wzmocnienia i rozwinięcia, posiadały siłę niewstrzymaną, ale ich początek, ale ich loika spoczywały bardzo daleko. Związek Polski i Rusi nie był czynem nowym; był zwrotem ku temu, co przedtem istniało, był odbudowaniem i naprawieniem, był zlaniem się jednéj i téjże saméj narodowości, osłabionéj i rozerwanéj chwilowo przez wpływy zewnętrzne i nieprzyjazne. Polska XIV wieku

---

(3) Opór na Rusi i Litwie odzywał się ale nie miał żadnéj prawnéj podstawy. Polska szanowała niechęci, miała wyrozumienie dla uczuć, dla wspomnień, nawet dla złudzeń, które szybko i gwałtownie zatarte być niemogły. Nieużywała dzisiejszéj moskiewskiéj metody. Dała czas Litwinom i Rusinom, aby zrozumieli swoje położenie.

(4) Na sejmie koronacyjnym Władysław III król Polski, mówi o Rusinach, *omnem servitutem, cui erant obnoxii, nulla conditione opposita, dimittit eos caeteris nobilibus Poloniae in usu libertatum et gratiarum quarum libet parificat.* Trzy pojęcia założyły i ustaliły jedność Polski, Litwy i Rusi — niepodległość, wolność i wielkość. —

(5) Synowie Gedymina. 98—104.

spajała napowrót swoje własne rozerwane części — nie przywłaszczała, nie ujarzmiała, tylko dzieci oddalone i zbłąkane do swojego przyjmowała łona. (6) Jest to prawda naczelna, a razem prawo naszéj historyi. Jest to klucz, który otwiera i tłómaczy wszystkie jéj tajemnice przeszłe i przyszłe. Autor *Synów Gedymina* ma o tém niejakie pojęcie, życzymy, aby je miał jaśniejsze i pewniejsze. Był on już na właściwéj i szczęśliwéj drodze, ale po niéj iść nie chciał. Czemu? Niepojmujemy.

Pan K. S. wie, że nad brzegiem Wisły, Bugu i Dniepru byli Polanie. To wypadało zgłębić, zatrzymać, należało nieopuszczać najpewniéj zaświadczonéj tożsamości mieszkańców rozrzuconych nad temi rzekami. Pan K. S. nic a nic niewidzi w tym najrzeczywistszym zawiązku polskiéj historyi. Jedność Polan Wisły, Bugu i Dniepru, usiłowania trzech pierwszych polskich Bolesławów celem odnowienia i ugruntowania téj jedności nadwerężonéj przez zewnętrzne ujarzmienie, pozwala sobie najdziwniéj mianować *wieściami i gadkami ludu*. Bolesławowie najechali, zagrabili, ujarzmili, jako nas uczy pan Dyonizy Zubrzycki. Polska XIV i XV wieku nierozumiała swego działania, w swojém sumieniu nie miała swéj przeszłości. Nadrobiła sprytem, i udało się jéj oszukać Litwinów, którym najzręczniéj wyłudziła Podole i kraje za Dnieprem. Jest to nowość jakiéj przedstawić nie śmiała nawet Moskwa. W XVIII wieku Moskwa nad brzegami Berezyny stawiała swoje granice. Pan K. S., wprawdzie nie sam i nie pierwszy, posuwa je nad Bug. Ma to być zapewne historyczna bezstronność.

Cóżkolwiek bądź, rozważmy bliżéj to, czemu pan K. S. udzielił nazwanie *gadek ludu*. Niegardzimy nawet i gadkami ludu, jednakże pierwotna jedność Polan Wisły,

---

(6) *Ruthenorum nationes ex Polonis descendentes per longae etates Principum Polonorum regebantur et parebant imperio.* Długosz znał Nestora i kroniki ruskie. Nieulega wątpliwości że Nestor zamilczał niektóre czyny albo był sfałszowany. Przekreślono to co niepochlebiało moskiewskiéj dumie politycznéj i religijnéj.

Bugu i Dniepra czyny trzech wielkich Bolesławów, posiadały i zatrzymały znaczenie wyraźne i najściślej historyczne. Jest to nasza świetność, o któréj Polska XIV wieku miała najżywsze wiedzenie. Jest to coś przez co Polska była, i przez co zachowuje swoje jestestwo, czemu bez zatracenia saméj siebie zaprzeczyć nie może. Jest to pierwsze twierdzenie Polski, początek i dopełnienie jéj życia.

Uczony autor, stosunek Polski do Rusi, a jeżeli wolno nazwać, prawo Polski do Rusi, uważa za wieści i gadki błąkające się między ludem, daje bardzo wyraźne zatwierdzenie mniemaniom jakoby Polska po za Bug nigdy nie sięgała, i jakoby wszystko co leży po za Bugiem należało do ruskiéj czyli rosyjskiéj jedności. Takie granice ruskiemu czyli rosyjskiemu narodowi naznaczał Karamzin, takie świeżo zakreśla Szafarzyk, wysoka powaga. My tych granic nieuznajemy. My jedność Moskwy czyli Rosyi przed XVII wiekiem uważamy za proste uroszczenie. Rosya szczęściu którego nigdy nieprzeczuwała (7), grabieżom potwornym i niemoralnym, chciałaby koniecznie wynaleść starożytny początek, podstawę prawa bardzo dawnego. O starożytnym początku dzisiejszéj Rosyi, historya milczy. Na teraz przedmiotu niezamierzamy wyczerpywać, nadejdzie czas ku temu. Tylko ogólnie wskażemy jakim czynom, jakim pewnikom historycznym dano nazwisko *gadek*.

Szanowny autor był bardzo blisko prawdy. Wie, że nad brzegami Wisły i Dniepru byli Polanie, z téj wiedzy przecież nic niewyprowadza, nawet nieprzeczuwa, że za tym postępując promieniem, można łatwo i loicznie ustanowić jaki był stosunek Rusi i Polski, — stosunek, nie mistyczny, nie przedhistoryczny, nie w ciemném zamkniony podaniu, ale nieprzerwanie się ukazujący we wszystkich

(7) Upowszechniono mniemanie jakoby Piotr pierwszy napisał testament, a w nim wykazał sposoby któremi Rosya ma osiągnąć panowanie nad światem. Taki testament nigdy nieistniał. Moskiewska przebiegłosć testament wymyśliła — a głupota i nikczemność europejska przyjęły wymysł.

wiekach naszéj historyi. Jedność Polski i tego czemu najezdnicy dali sami cudzoziemskie nazwanie Rusi, była stanem prawnym, normalnym, narodowym, a Rosya występuje jako rozerwanie i zaprzeczenie téj jedności, jako złe, które w sumieniu ludów Polski i Rusi nigdy nie miało podstawy i nieznajdzie jéj, przynajmniéj dopóki się nieprzemieni i nie przejedna przez przyswojenie sobie polskiéj myśli. Stawiamy niektóre skazówki dalszym poszukiwaniom autora, więcéj rzeczywistym i bardziéj polskim.

Długosz zupełnie zgodny Nestorowi, twierdzi, że narody ruskie wyszły z Polan i Polaków. Cała dzisiejsza Rosya uległa Słowianom. Był to jeden kraj i taż sama narodowość, atoli bez ścisłéj politycznéj jedności. Dawni i nowsi pisarze rosyjscy niemogli zaprzeczyć temu początkowi i temu pochodzeniu. To musiał przyznać nawet Karamzin, pod innemi względami najśmielszy fałszerz. Wiedział niepodobieństwo odrzucenia podań i opowiadania Nestora. Długosz rozerwanie się związku Polan Wisły i Dniepru naznacza w VII wieku. Co mogło być do tego powodem? Napływ Bulgarów, Kozaków, a późniéj ujarzmienie przez Waregów, trwające najdłużéj i najstateczniejsze. Ten raczéj wewnętrzny aniżeli zewnętrzny związek Polan Wisły i Dniepru zachodnio-wschodnich przedłużał się, żył, nie był nigdy stanowczo zniweczony. Nestor Polanin atoli nieco nadpsuty greckim obrzędem i wpływem, maluje Polan jak naród moralny, wykształcony, wyższy nad inne Słowiany i mający nad nimi duchowe pierwszeństwo (8). Byłże to stan może rycerzy a może kapłanów, na podobieństwo indyjskich Braminów, albo niemieckich rodów z których wyłącznie rządców i naczelników wybierano? Jakiekolwiek zresztą znaczenie Polanom przypuścimy, przynajmniéj jest rzeczą niezawodną że oni kierowali Słowia-

---

(8) Karamzin uważa, że Nestor nienawidzi Rusinów, i niemoże sobie wytłómaczyć czemu Rusini dla Nestora niebyli Słowianami, ale Waregami, Niemcami, barbarzyńcami, najezdnikami.

nami Wisły i Dniepru, że ich łączyli, że byli pośrednikami ich jedności. To nie gadka, albo ciemne podanie, lecz najdokładniejsza pewność historyczna, czyn, który się ukazuje w całéj naszéj historyi pod zarysami najwydatniejszemi, czyn, co pozostał najgłębiéj w naszém sumieniu. Włodzimierz nie Słowianin ale Wareg, Normand Niemiec w r. 985 zajął chwilowo ziemie czerwińskie. Był to najazd zewnętrzny. Germanizm ze wschodu i zachodu, posuwał się przeciw Polsce i na jéj wytępienie. Stopniowo wszystkie ziemie Polano-Słowian przyjęły zwierzchnictwo normandzkie które szanowało wewnętrzny rząd, zostawiło nawet narodowych książąt mniéj więcéj niepodległych. Waregowie nakładali jedynie podatek i czasami brali słowiańskie wojsko. To co Karamzin pisze o samowładztwie waregskich kniaziów, o jedności rosyjskiéj monarchii w IX i X wieku jest snem, a właściwie najzuchwalszém zmyśleniem (9). Początkiem rosyjskiéj historyi jest zaprzeczenie i ujarzmienie Słowianizmu. W téjże saméj chwili Polska się zawiązuje i przyjmuje posłannictwo walki przeciw zewnętrznemu ujarzmieniu nie tylko jéj narodowości, ale i wszystkich Słowian. W tém posłannictwie zamyka się cała wielkość naszéj historyi, wytłómaczenie naszych świetnych i traicznych losów. Polska usiłowała i dotąd usiłuje przywrócić jedynie to, co było, porządek narodowy, pojęcie słowiańskie. Pytamy, jest że to *gadka,* bajka snująca się z ust ludu który niewiedział co wymawiał. Że byli i są polscy pisarze mający bardzo ciemne widzenie zasady i dążeń naszego bytu, tego mamy opłakane dowody. Ale Polska nigdy się nie wypierała swego sumienia, nigdy niezatarła swojéj wiedzy. Takimi być musimy, jakimi byliśmy dotąd, albo nie będziemy. Walka zaczęta 985 nie upadła 1850. Albo Polska i wolność Europy, albo Rosya i duchowy upadek

(9) Karamzin wyznaje że Jaropełk (942—980) nad częściami kraju które on dziwnie nazywa dzielnicami, niemiał władzy, że inni kniaziowie byli niepodlegli, że przeto nie było politycznéj jedności państwa. Nie istniała ta jedność i przedtém i późniéj.

Europy. To jest teraz najwidoczniejsze i nieuniknione. Przyszłość człowieczeństwa jakakolwiek ona będzie, zależy od Polski, jéj zbawienie zbawi wszystkich. Po stanowczém zniweczeniu żywiołów polskich, zniweczenie posunie się wszędzie, nastąpi powszechny kataklizm.

Bolesław Wielki pokonał związek Waregów i Niemców 1017 i 1018. Cała Ruś przyjęła Polskie zwierzchnictwo, zwyciężona raczéj łaskami aniżeli orężem. Bolesław tylko odnowił stan rzeczy, który dawniéj istniał; Słowianie przezwani Rusinami nieokazywali przeciw temu zjednoczeniu żadnéj niechęci, uważali je za prawdziwe oswobodzenie. Niezawodnie żyło jeszcze naówczas mocne uczucie jedności Polan, Wisły i Dniepru. Jakież Polacy przynieśli panowanie? Zwracali albo dawali wolność, odsuwali zewnętrzne ujarzmienie. Słowianie zostawieni samym sobie rozumieli i szanowali dobrodziejstwo, łagodne prawdziwie braterskie zwierzchnictwo, a może tylko sprzymierzenie. (10).

Bolesław spaniały odnowił zwierzchnictwo raczéj zawieszone aniżeli zniweczone podczas zaburzeń za Mieczysława II., i wewnętrznéj odnowy za Kazimierza I. Opór Waregów ale nie Słowian bardzo słusznie nazwał bun-

---

(10) ***Boleslaus patrem se magis quam victorem egit... Princeps et populi Russiae, modestia et virtute Boleslai regis, Poloniae magis quam armis victi perseverabant in fide.*** Długosz sub an. 1018. Czyli takimi byli względem słowian Waregowie i następcy Rurika! Polska szanowała miejscowe urządzenia, nieskładała mechanicznéj jedności, piastowała kierunek swobodnéj jedności Słowian. Co Polska chciała i założyła 1018, chce i teraz. Rusini dawali Polsce podatek i czasami wojsko przeciw zewnętrznym nieprzyjaciołom. Trudno niewidzieć głębokiéj różnicy między Polską a Rosyą. Rosya narzuca jedność, przeszkadza swobodnemu rozwijaniu się życia. Polska odwrotnie. Są to doskonałe przeciwieństwa. Pan K. S. przytacza wyrazy ruskiéj kroniki — „ a u Lachów taki zakon, aby na wojnie niezabijać.“ Braci jeńców życie szanowano. Polska niesplamiła swéj historyi ani materialném ani duchowém zabójstwem. Nie tak Rosya dawna i nowa. Władzcy rosyjscy cudzoziemcy przez krew albo przez moralne pochodzenie, czuli że nie byli Słowianami, nigdy się znarodowić nie mogli. Ujarzmiali przeto i wytępiali.

tem (11). Bolesław spaniały był prawdziwym naczelnikiem. Izasławowi dał księstwo Kijowa, a synom Izasława, Włodzimierzowi Smoleńsk, Światopełkowi Połock i Nowogród, Jaropełkowi Wyszogród, ale warunkowo jako swoim hołdownikom (12). Słowianie łudzeni przez Kniaziów Waregów i przez wschodnie wyznania, wichrzyli przeciw polskiéj jedności, która przecież rozszerzała się stopniowo, rozwijała się i wzmacniała, przekonaniem, spokojném nawyknieniem, udzielaniem polskiéj swobody. Jaropełk kniaź Kijowa 1134 wyznał, że panował jako hołdownik, że był niewolnikiem, że dawał podatek, że walczył pod znakami polskiemi. Wyrazy w ustach Warega i Niemca, prawdziwe i wytłómaczone. Słowianin Polanin nigdyby ich nie był śmiał wymówić. Zwierzchność polska nie była ani jarzmem ani niewolnictwem. Słowianie Dniepru i wyżéj, każdéj chwili kiedy swe życzenia swobodnie wynurzać mogli, dowodzili, że bardzo właściwie pojmowali swój stosunek do Polski, sposobem jakim i my teraz pojmujemy.

Włodzimierz przez Mikołaja wojewodę Krakowa przywrócony na księstwo Halicza, jakież przyjmuje zobowiązanie? Przysięga za siebie i za swoje potomki posłuszeństwo Polsce, *subjectio et obedientia* mówi Długosz. Póniéj zmieniono warunki. Włodzimierz tylko dożywotne dostał panowanie, a po jego śmierci księstwo Halicza do królestwa Polski wcielone być miało. To zaprzysięgli i mieszkańcy księstwa znakomitsi, *milites*. Ruś przeto we XII wieku niekłopotała się uczuciem swéj niepodległości, nie chciała jéj, wiedziała że z Polską stanowiła jedność, nie twierdziła o swojéj oddzielnéj i rzeczywiście samoistnéj narodowości. Był to czyn przyjęty powszechnie i uznany nawet dyplomatycznie. Umowa Staréj Wsi (1193) między Polską a Węgrami najwyraźniéj stanowi,

---

(11) *Ad recuperandam universam Russiam* (s. a. 1070) Jerzy książe Włodzimierza poddał się r. 1073 *Pincipem Gregorium in potestate regis una cum coeteris castris et terris futurum et deditionem facturum*, oświadczali jego wysłańcy.

(12) *Universa Russia pacatu vectigalia magna instituit... Kioviensis terrae attribuit gubernationem.* (s. a. 1075).

że Ruś do Polski należy (13). Po skonie Włodzimierza czyż Haliczanie przeczyli prawu polskiemu, czyż odrzucali wcielenie, czyż utrzymywali, jako teraz gdzieniegdzie jest obyczaj, że Polska wniosła ujarzmienie, że przeszkodziła rozwijaniu się ruskiéj narodowości? Bynajmniéj. A Kniaziowie, pomnijmy zawsze Waregowie, nieprzyjaciele Słowian i Polaków, o cóż błagali pokornie, nikczemnie, a zawsze zdradziecko? Oto aby Polska któremu z nich księstwo jako lenność nadać raczyła. Wierzyliż oni że naówczas była jakaś rosyjska monarchia, jakaś jedna rosyjska monarchia, jakieś państwo Rosyi, o których Karamzin tak upornie wspomina, fałszując ciągle przy najlepszéj wiedzy że fałszuje? Oczywiście że nie.

Haliczanie poddawali się jako prawemu władzcy, *dominum legitimum*, sami błagali o wcielenie jako o dobrodziejstwo. Przeciw narzucaniu Kniaziów waregskich, których doskonale znali, walczyć nawet chcieli. Na radzie polskiéj wniesiono myśl wcielenia, wysłuchano prożby Haliczan, i fatalnie Polska odrzuciła własne dobro; zawierzyła przysięgom Romana. Lecz czegoż Roman nieprzyrzekał? Wyznał, że brał księstwo Halicza nie jako swoje prawo ale jako dobrodziejstwo. Miał tylko zarządzenie czasowe (14). Wzięto przeciw niemu wszystkie ostrożności. Roman przysiągł wierność Polsce a przyjął zobowiązanie rządzić powierzonym sobie ludem słusznie i sprawiedliwie. Haliczanie ubolewali (15), przepowiadali, że Polska nakładała im wytępiciela, a przeciw sobie nieprzyjaciela wznosiła. Roman mianowany księciem Włodzimierza i Halicza (16) przez wspaniałość Polski, prawie natychmiast okazał i Haliczanom i Polakom czém był isto-

---

(13) *Ut Bela Hungariae Rex Regiones Ruthenorum ad Poloniae Regnum spectare permittat.* Długosz.

(14) *Non jure sed precario, non in proprietatem et titulum sed in procurationem et regimen temporaneum.* (Dł. s. a. 1198).

(15) *Non sine Halicensium amaro cruciatu* (i b).

(16) *Ex concessione et munificentia etiam Halicensium adeptus principatum, fidem et subjectionem jure jurando se serviturum obligaverat* (ib).

tnie. Haliczan jakoby wcielony szatan prześladował, wytępiał; uważał on ich za zbrodniarzy dla tego, że Polakami być pragnęli. Roman wypowiedział Polsce wojnę. A jakie miał zamiary? Takie same zupełnie, jakie teraz Rosya wykonać usiłuje. Roman zapowiadał zniweczenie i Polski i katolicyzmu (17).

Na początku przeto XIII wieku Ruś Halicza i Włodzimierza życzyła sobie wcielenia do Polski, wzywała o nie jako o najwyższe dobrodziejstwo. Była namiętnie za odnowieniem narodowéj jedności zerwanéj przez Waregów. Znikały nawet jéj religijne niechęci. Włodyka Włodzimierza Romanowi błogosławieństwa odmówił. Bitwa Zawichostu stoczona i wygrana 19 Czerwca, dała zatwierdzenie przepowiedni Władyki Włodzimierza. Jakże niepowtórzyć jéj słów, teraz szczególniéj kiedy myśl polska gdzie niegdzie zbłąkana, chciałaby wyjść ze swéj istności, i rwie się ku Panslawizmowi, ku Rusi i ku Rosyi nawet, i znajduje nie wiemy jakie roskosze, kiedy swojemu dawniejszemu bytowi złorzeczy. „Nie będę błogosławił „Kniaziowi Romanowi zaczynającemu bój niepobożny, niosącemu przeciw Polakom wojnę niesłuszną i przeklętą. „Polacy, często w obronie Rusinów walcząc przeciw narodom barbarzyńskim, narażali się na niebezpieczeństwa, „i glowy swoje na śmierć ofiarować nawykli.“ Władyka miał prawdziwe słowiańskie uczucie. Rozumiał wolność i wyższość Polski, miał dla niéj miłość. Wojna w XIII wieku przeciw Polsce była przekleństwem, bratobójstwem.

Nawet Karamzin czasami miewał sumienie, i wyznał że w XIII wieku ludy dzisiejszéj południowéj Rosyi odłączyły się zupełnie. Dziękujemy za to przyznanie temu najsubtelniejszemu Moskalowi, jaki kiedykolwiek istniał. Lecz Karamzin mniemał że przed XIII wiekiem, była jedna ruska czyli rosyjska monarchia, że księstwa Kijowa, Włodzimierza, Halicza, były jéj nierozdzielnemi częściami. Czyny, które wymieniliśmy dowiodły, jako w tém mniemaniu Karamzina niema żadnéj prawdy. Atoli dla dumy, dla wi-

---

(17) *Se non solum Poloniae Regnum vastaturum sed et paginam divinam Latinorum exterminaturum.* (s. a. 1205).

dzeń Rosyanów mamy wyrozumienie, my tylko niepojmujemy wartości i natury takich ze strony Polaka poszukiwań, wedle których wynikałoby, że mielibyśmy obowiązek wyprzeć się tego co nasze było, co najdawniéj wchodziło w skład duchowy naszéj narodowości.

Kończąc, raz jeszcze oznaczmy stan rzeczy wskazany dowodami. Ludy Wisły, Bohu i Dniepru najstarożytniéj, przedhistorycznie składały jeden naród, stanowiły jedność. Był mniéjwięcéj ścisły związek tych Słowian pod kierunkiem Polanów. Oleg przez mord Askolda i Dyra ujarzmił Kijów 882, a 883 i 885 Siewierżanom i Radymiczanom nałożył zwierzchnictwo. Karamzin twierdzi, ale tylko twierdzi nie dowodzi, że Podole i Wołyń ulegały Olegowi, o dzisiejszém królestwie Halicza nawet twierdzić nie ma odwagi. Włodzimierz w r. 985 porwał grody czerwińskie (18). Lecz 1018 Bolesław Wielki zdobył Kijów i nad kniaziami ruskimi odnowił Polski zwierzchnictwo. Waregskie ujarzmienie trwało najwięcéj 136 lat. Najpodobniéj Słowianie robili to co robił Nowogród, wzywali, przyjmowali kniaziów, ale nie składali swego gminowładztwa, zatrzymywali narodowych urzędników. Po 1018 do 1772 z małemi przerwami przewaga Waregów a późniéj z nich duchowo narodzonych kniaziów moskiewskich stanowczo upadła. Ludy Rusi i Polski we świetnéj i zacnéj jedności przetrwały 654 lat. O ziemiach posunionych odległéj, tam gdzie daleko późniéj Moskwa powstała, nie mamy zamiaru mówić. Lecz o Kijowie, o Podolu, o Wołyniu, Haliczu i Przemyślu niema żadnéj wątpliwości. Te kraje i Polska doskonale wiedziały czém były względem siebie. Ich związek, ich jedność nie opierały się na *gadkach* włóczących się między ludem. Nie. — To jest poważna i wielka historya. Chwilowo przypuśćmy, że Polska dopiero 1340 czyli 1386 prawnie kraje ruskie posiadać zaczęła i do 1772 albo

(18) Konstantyn Porfirigenita, naoczny, spółczesny świadek 949 mówi. *Belochrobati proprio Principi parent.* Był nim Ziemomysł ojciec Mieczysława I. Zamieszanie po strąceniu Popielów, gruntowanie się nowéj rodziny Piastów, osłabiło związek Słowian i naczelnictwo Polaków.

1794 posiadała. Otóż jeżeliby przeciw tak długo trwającemu świętemu posiadaniu, jakieś dawniejsze prawa uznawane być miały, pytamy: jestże jakie państwo któreby potrafiło utrzymać swoje stare granice? Ze wszystkich społeczeństw europejskich Polska najłagodniéj, najmoralniéj ustanowiła jedność swojéj narodowości i materyalnéj potęgi; gdzieindziéj przeważały wojna i rabunek. Przytém jest coś może i ważniejszego. Gdyby było dozwoloném niweczyć polskie prawo posiadania uświęcone wiekami i umowami najuroczystszemi, w takim razie nie znalazłoby się niewzruszonéj i nietykalnéj podstawy dla prawa osobistéj własności. Co do nas, mniemaliśmy zawsze, że z czynu rozbioru Polski można wyprowadzić i usprawiedliwić wszystkie gwałty i zbrodnie przeciw człowieczeństwu. Ten wzgląd polecamy uwadze autora który o kilka wieków posuwa rozbiór naszéj ziemi, i mniema jakoby podstawa naszéj jedności na jakiéjś niemoralności spoczywała. Było czystém naszéj historyi sumienie. Przeto zdumiewamy się kiedy nas kto chce przekonać, że są na niém czarne plamy.

Dziękujemy panu K. S. za sposobność jaką nam dał przedstawienia naszych własnych widoków o Rusi. Rzecz to nie obojętna teraz, kiedy objawiają się usiłowania, nietylko ze strony naszych nieprzyjaciół ale i ze strony swoich, by ścieśnić granice historycznéj Polski. Napotykamy od pewnego czasu wiele nauki, wiele pracy i wiele zręczności, by wikłać i przeczyć. Wynurzemy przeto życzenie, aby przystępujący do ołtarza naszéj przeszłości odebrali konieczny dar widzenia twierdzeń, które nasza historya nakreśliła rysami okazałemi i jasnemi. Uwaga nasza ma charakter ogólny, wymierzamy ją raczéj przeciw tu i tam ukazującym się dążnościom, aniżeli przeciw temu albo innemu imieniowi. Oceniając pojęcia i kierunki, osoby szanujemy, co więcéj, o czystych chęciach tak pana K. S. jako i większéj części naszych pisarzy historycznych, szczerze przekonani jesteśmy.

Wiadomości bieżące.

Piśmiennictwo.

Pamiętnik Wojciecha Domańskiego. *)

.... Z czasu, kiedy do szkół XX. Pijarów w Warszawie chodziłem, to tylko przytoczę, że spółuczniami moimi byli trzéj Rosyanie, Potemkin, Sulima i Kochowski, przysłani do Warszawy z Petersburga na edukacyę jeszcze przed ogłoszeniem konstytucyi 3. Maja. Ostatni był dobrym uczniem, ale dwaj pierwsi byli leniuchy i brutalni. Nazywaliśmy ich łapimuszkami. Zachowywali ściśle swoją religię, ale z resztą w niczém się od nas nie różnili i nosili taki sam mundur jak konwiktorowie.

Przez rekomendacyę szambelana Gaszyńskiego, weszedłem mając około lat 15 do szkoły rysunków w zamku królewskim umieszczonéj. Szkoła ta kosztem króla dla ośmnastu uczniów urządzona, zostawała pod kierunkiem Tokar-

---

[1) Wspomnienia te przeznaczone były do *Pamiętników Polskich* które przed kilkoma laty Xaw. Bronikowski w Paryżu wydawał. Po ustaniu tego pisma zostały nam komunikowane. Wojciech Domański żyje jeszsze w Hiszpanii, gdzie syn jego służy w wojsku i ma stopień oficera. Po upadku Napoleona otrzymał był w Hiszpanii, gdzie się ożenił i za staraniem księcia Czetwertyńskiego, naówczas posła Rosyi w Madrycie, urząd konsula rosyjskiego. Wplątany w sprawę Hlusowicza pułkownika, który podobno na Syberyi zakończył życie, wtrącony do więzienia, winien tylko poświęceniu kobiety swoje ocalenie. Wykradziony z zamknięcia dostał się do Paryża, gdzie do roku 1849, pomimo bardzo podeszłego wieku, trudnił się strojeniem fortepianów. (*Przyp. Red.*)

skiego. Nie był to konwikt, ale była to tylko szkoła externów.

W téj szkole widywałem codziennie króla, który przez naszą salę przechodził do sali snycerskiéj. Roboty moje zwracały jego uwagę i razu jednego tak mu się podobały, że mi powiedział: *Dobrze, aplikuj się, jak zrobisz postęp, poślę cię do Rzymu.*

Stanisław August nosił się po francuzku. Na fraku jego jaśniała zawsze gwiazda, a na głowie miał wielką perukę z harcapem. Uderzyło mnie to, że ile razy przez wązkie schody i drzwi do naszéj sali wchodził, dwaj szambelani zasłaniali perukę jego od strony muru, jak gdyby z obawy, żeby się nie dotknęła. Oprócz szambelanów, było zawsze kilka osób w jego orszaku. Nie słyszałem go nigdy inaczéj mówiącego jak po polsku.

Inna rzecz która mnie uderzyła, był szpicek mały, nieodstępny króla towarzysz. Niekiedy biegł przed nim, najczęściéj był na jego ręku. Był to podobno prezent Katarzyny. Razu jednego w czasie niebytności Tokarskiego pozwoliliśmy sobie swawolić. Każdy opuścił swój stolik i bawił się z innymi. Tymczasem zawołano, że król idzie; każdy czém prędzéj do swego stolika, ale nim jeszcze zdążyć mogłem, już piesek króla był w sali; z pośpiechu wywróciłem mój na trzech nogach oparty stolik, który padając uderzył pieska. Właśnie kiedy skowyczał, wszedł król, który go podniósł i rzekł tylko: *Co to za swawola!* Łagodny, spaniały, przyjemny, lubił malarstwo, snycerstwo, budownictwo, nauki. Świadkiem galerye, budowy, obiady czwartkowe. Tylko muzyki nie widać w nim było wielkiego miłośnika.

Ile razy potrzebowaliśmy chleba do wycierania rysunków, żądaliśmy go od służącego przyłączonego do naszéj szkoły. Przyniósł nam zawsze bułeczkę opieczętowaną w papier. Pytaliśmy się o przyczynę tego; odpowiedział, że od czasu procesu Angielki która króla chciała otruć, ostrożność tę zachowywano.

W téj szkole byłem półtora roku. W roku 1794 rozchodziły się rozmaite druki obudzające ducha przeciw uciemiężeniu obcemu, i wieści o mającém nastąpić wyrznięciu przez Moskali, co umyślnie było rozgłaszane przez spiskowych, żeby lud oburzyć i do obrony przysposobić.

W kilka dni po wybuchnieniu powstania wszyscy uczniowie ze szkoły przyszli do króla z prośbą o uwolnienie ich ze szkoły, a gdy na mnie koléj przyszła, podałem także moją prośbę. *A ty czego chcesz?* zapytał mię król. *Proszę o pozwolenie wnijścia do kawaleryi*, odpowiedzia-

łem. *Cóż ty mały będziesz tam robił*, rzekł znowu król, *jak zobaczysz kozaka z brodą, umrzesz ze strachu.—Dawid był mały, a nie przestraszył się Goljata*, odpowiedziałem. Król lubo bardzo był wtenczas zmartwiony i niechętny temu co się działo, przyrzekł nam, że nas zarekomenduje. Jakoż wszystkim nam przysłał listy do rozmaitych komendantów. Ja miałem list do majora Karwowskiego w pułku 5 ułanów.

Kiedy huk dział na ulicach słychać było, zapalono świece, uklękli rodzice, odmawiali litanie i mnie kazali się modlić. Dom był zamknięty; pomimo tego około południa wziąwszy pistolet przelazłem ze służącym mur i wyszliśmy na ulicę Freta. Tam spostrzegliśmy dwóch Moskali biegnących; służący porwał mój pistolet, strzelił, zabił jednego, drugi uciekł. Potém poszliśmy ku arsenałowi, gdzie wyrzucano broń. Chcieliśmy także się uzbroić i musieliśmy czekać nim się nam dostały dwa ogromne karabiny. Ciągle jeszcze słychać było strzały. Powracając słyszeliśmy pogłoski że Francuzi idą nam w pomoc, a na potwierdzenie téj baśni wynoszono z gmachu Sakramentek koszami trójkolorowe kokardy.

Za powrotem do domu ojciec zamknął mnie i kazał pilnować, żebym się znowu nie wymknął. Areszt ten trwał kilka dni i dopiero gdy się zupełnie uspokoiło, pozwolono mi wyjść z domu.

Z listem króla do Karwowskiego, dwoma końmi i stoma dukatami, wszedłem jako towarzysz do pułku piątego ułanów, złożonego najwięcéj z Ukraińców. Pułk ten wraz z pułkiem Mirowskim robił przed rewolucyą najczęściéj służbę u króla. Pieniądze na umundurowanie moich szeregowych, oddałem kapitanowi.

Ponieważ tu wspomniałem o towarzyszu i szeregowych, nie od rzeczy będzie przypomnieć jaka była różnica w nowszych organizacyach wojska stałego. *Towarzysze* byli to młodzież szlachecka, *Szeregowi* należeli do stanu włościańskiego. Towarzysze ekwipowali się sami i dawali fundusz na ekwipowanie każdy dwóch szeregowych. W czasie pokoju towarzysze tworzyli pierwszy szereg, szeregowi dwa szeregi za nimi, tak, iż za każdym towarzyszem znajdowało się dwóch szeregowych, którzy razem byli ich ordynansami. W czasie wojny towarzysze tworzyli oddzielne szwadrony. Niezawisłe od towarzyszów i szeregowych były stopnie **Namiestnika**, który odpowiada stopniowi sierżanta, ***Porucznika, Kapitana, Rotmistrza***. Mundury towarzyszów z cieńszego niż szeregowych sukna, były w naszym pułku: kurtki zielone z czerwonemi wyłogami, czapki czwo-

rograniaste czarne z piórami czarnemi, rajtuzy czarne z zielonemi lampasami. Uzbrojeni byliśmy w pałasze, pistolety i dzidy z chorągiewkami czerwono-zielonemi. Szeregowi mieli podobne mundury co towarzysze, tylko z grubszego sukna i wyłogi ciemniejszo-czerwone. Uzbrojenie ich było: szabla, karabinek i pistolety. Dzid nie mieli.

Pułkownikiem tego pułku był *Koenig*, rodem Sas, ale po polsku nie źle mówiący i uczuć prawdziwie polskich. Surowy, ale sprawiedliwy, kilkakrotnie dawał dowody swojego poświęcenia dla sprawy polskiéj. W jakim stanie musiał się znajdować skarb publiczny, dosyć powiedzieć, że przez cały czas mojéj służby, oprócz racyi, grosza jednego nie otrzymałem.

W parę dni po mojém prezentowaniu się u pułkownika i po złożeniu pieniędzy, ubrano mnie w mundur i jako szesnastoletniego towarzysza oddano, niejako w opiekę, dwom starszym towarzyszom, mojemu imiennikowi i Kozłowskiemu. W koszarach pokazano mi konia, dano mi broń i zaraz nazajutrz kazano wsiąść na konia i ruszyć z oddziałem wykomenderowanym do więzienia, zwanego Prochownią, dla eskortowania Kossakowskiego. Biskupa tego wyprowadzono z więzienia przy ulicy Mostowéj w pantoflach, gatkach i kaftaniku, bez żadnego nakrycia na głowie. W tym ubiorze prowadziliśmy go śród tłumów i okrzyków ludu przez Stare-miasto, gdzie już trzech innych było powieszonych, przed kościół XX. Bernardynów. Kossakowski chciał wnijść do kościoła, ale mu tego nie pozwolono. Zatrzymano się z nim przededrzwiami kościoła, z kąd biskup wyszedł i zdjął sakrę klęczącemu Kossakowskiemu. Wkrótce potém wykonano wyrok, także śród okrzyków.

W tym dniu widziałem po raz pierwszy naczelnika Kościuszkę, jadącego ze świtą i oddziałem kawaleryi narodowéj przez Krakowskie-Przedmieście. Miał na sobie sukmankę białą krakowską, czapkę krakowską z kitką zieloną z piór.

Nazajutrz po téj egzekucyi wyszliśmy na kwatery do Czerniakowa, gdzie prawie przez miesiąc uczyliśmy się musztry, a dla wprawy koni do pływania, przebywaliśmy często Wisłę, co późniéj było mi bardzo użyteczne i może ocaliło mi życie.

W miesiąc potém otrzymaliśmy w Czerniakowie rozkaz połączenia się z dywizyą jenerała Sierakowskiego, co też w drodze się stało. Dywizya ta była już w Białéj, kiedy otrzymała rozkaz spiesznego powrotu do Warszawy, gdzie lud znowu zaczął wieszać. Lubośmy konie spie-

sznym pochodem dobrze zmęczyli, przybyliśmy już za późno; już wisieli i ci których lud popowieszał, i ci których Kościuszko za wieszanie obwiesić kazał.

Po krótkim na Pradze odpoczynku, gdzie przybyli do mnie rodzice i koniecznie z wojska odebrać mnie chcieli jako zbyt młodego, i od których nalegań tém tylko się uwolniłem, żem prosił aby mnie naprzód wysłano, wyruszyła znowu cała dywizya ku Słonimowi. W ciągu tego pochodu mieliśmy tylko kilka utarczek z kozakami, w których i ja miałem udział. W dywizyi naszéj, około 7,000 ludzi wynoszącéj, były dwa batalıony kosynierów, pułk tatarski, nasz pułk, Mirowscy, kawalerya pińska, kilka małych oddziałów piechoty i kilkanaście dział, pomiędzy któremi było działo dwudziesto-cztero-funtowe, ciągnione przez ośm siwych i pięknych koni, wziętych czy darowanych ze stajni króla. Marsze były nagłe, uciążliwe, śród ciągłych deszczów, i często brakowało żywności i furażów. Wiele koni padło nimeśmy do Słonima doszli. Ludzie byli zmęczeni, bo ani razu w tym pochodzie nie byliśmy pod dachem.

Pod Słonimem zatrzymaliśmy się nad rzeką, za którą stał korpus moskiewski. Nazajutrz przeszli Moskale rzekę, rozpoczął się wnet ogień działowy, kozacy napadli na nas z boku, ale zostali odparci, poczém jenerał Sierakowski, czy to dla przemagającéj siły, czy dla tego, że otrzymał rozkaz od Kościuszki, zaczął się cofać. Moskale niepokoili nieco w tém cofaniu się tylną straż naszą, którą trzymali Mirowscy z kawaleryą pińską.

Ze Słonima szliśmy nieustannie aż do Maciejowic.

O bitwie pod Maciejowicami nie wiele mogę powiedzieć, bo dywizya nasza formowała tam lewe skrzydło, a pułk mój był na samém skrzydle, gdy tymczasem bój główny odbywał się na prawém i we środku.

Przybyliśmy pod Maciejowice w wilją bitwy z rana już po wejściu słońca i stanęliśmy obozem na górzystém polu, otoczoném lasem i z jednéj strony ku dolinie krzakami zarosłéj, spadzistém. Mój szwadron kończący lewe skrzydło, znajdował się w równéj linii z całą dywizyą.

W południe wysłany byłem na placówkę w ową dolinę krzakami zarosłą i błotnistą, o kilkaset kroków wprost naszego obozu. O północy przybył do nas patrol z zaleceniem wielkiéj ostrożności. Od niego dowiedzieliśmy się że Kościuszko jest w obozie, co nam wielką sprawiło radość.

Jak tylko dnieć zaczęło, usłyszeliśmy mocny huk dział i wnet placówka nasza ściągnięta była do szwadronu. Ca-

ły obóz stał już pod bronią. Obok mego szwadronu szlusującego lewe skrzydło znajdowały się dwie armatki z batalionem długo rozciągniętym, ale słabym, bo co dwóch żołnierzy z ręczną bronią liczono w nim jednego kosyniera.

Przygotowani do boju staliśmy prawie do południa bezczynnie. W téj chwili pokazała się czarna chmura, pioruny bić zaczęły i ogromny deszcz lunął; ale wkrótce burza ta ustała i słońce znowu się pokazało.

Jeszcze w ciągu téj burzy spostrzegliśmy jazdę moskiewską, która wychodziła z doliny. Prawie w tém samém miejscu, gdzie stałem był na placówce, uformowała front tyłem do nas. Burza widać nie dozwoliła Moskalom dojrzeć nas. Korzystał z tego mój komendant szwadronu i niebawem zakomenderował: *Wiara! Dzidy do attaku! Marsz, marsz!* W największym pędzie i tak silnie wpadliśmy na nieprzyjaciela, że nim jeszcze zdążył front ku nam zrobić, już każdy z nas dzidę wpakował w Moskala. Nieprzyjaciel zdołał zaledwie odpowiedzieć kilku wystrzałami, lecz żaden nie uciekł, bo których my nie ubili, tych dokonali kosynierzy którzy za nami szybko pospieszyli. Była to boczna straż złożona z kozaków, dragonów w niebieskich mundurach i szaserów, razem przeszło 150 ludzi. Z naszych tylko kilku było rannych od pałaszy. Po tém spotkaniu, które nie trwało więcéj jak kwadrans, wróciliśmy na naszą pozycyą, gdzieśmy stali jeszcze przeszło godzinę, ciągle słysząc na prawém skrzydle wielki huk dział i wrzawę. Kule wielkiego kalibru przerywały nam niekiedy szeregi, kilka granatów pękło tuż przed nami i jeden wóz z amunicyą wyleciał w powietrze.

Przy téj sposobności muszę tu nadmienić, iż nie wiem z kąd późniéj wyraz *hura!* w wojsku naszém powstał. W bitwie pod Maciejowicami nasi krzyczeli w attaku tylko: *Wiara!*, a Moskale krzyczeli: *hura!*

Podczas kiedyśmy większego attaku ze strony téj doliny gdzieśmy Moskali wykłuli, oczekiwali, przypadł do nas oficer od kawaleryi narodowéj z rozkazem i krzyknął: *Wiara za mną!* Natychmiast ruszyliśmy za nim, lecz zaledwie upędziliśmy tysiąc kroków, spotykamy od strony, gdzie największy wrzał ogień, pędzących ku nam oficera sztabowego i księdza Dominikana z pałaszem w ręku i krzyczących żeśmy zginęli, bo Kościuszko zabity. W téj saméj chwili chmara Kozaków z dwóch stron nam zabiegała. Zwróciliśmy się ku tym, co nam zabiegali odwrót i uderzywszy na nich, otworzyliśmy sobie drogę ku lasowi, którego gęstwina zatrzymała pogoń kozaków.

Przybyliśmy do obozu Ponińskiego o północy i lubo byliśmy zmęczeni i głodni, ze wzgardą przyjęliśmy racye i furaż, bo powszechne było przeciw Ponińskiemu szemranie. Zarzucano mu, że lubo słyszał ogień naszéj bitwy, nie przybył nam w pomoc.

Z rana cały połączony obóz ruszył ku Warszawie. Pod wsią Kobyłką stanęliśmy uszykowani do boju pod lasem naprzeciw szerokiéj łąki, także lasem otoczonéj. Noc przepędziliśmy spokojnie, ale z rana zaczęli nas attakować Kozacy z wielką siłą. Kilka wystrzałów działowych zmusiło ich do odwrotu, poczém cały nasz obóz cofnął się do Pragi, zkąd trzeciego dnia wykomenderowany byłem na placówkę za bateryami na przeciw kępy Saskiéj. Staliśmy tam w cichości ciemnéj nocy za rowem osadzonym spiczastemi kołami drewnianemi, a o kilka kroków daléj były okrągłe tak zwane wilcze doły dla zatrzymania napadu kawaleryi.

Nadedniem usłyszeliśmy wrzawę bardzo daleko od nas ze strony Szmuloskiego domu. Wnet usłyszeliśmy strzały w saméj Pradze. Komendant placówki wysłał jednego towarzysza do bateryi którą szwadron nasz asekurował, dowiedzieć się o stanie rzeczy. Towarzysz powrócił wkrótce z wiadomością, że ani bateryi, ani swadronu już nie zastał. Puściliśmy się zatém galopem do Pragi bez spotkania żadnego. Dopiero na placu targowym jegry moskiewskie zaczęły do nas strzelać. Zwróciliśmy się w inną ulicę ku Wiśle, tam znowu spotkaliśmy Kozaków, którzy się przedzierali ku mostowi, śród ognia naszych z ręcznéj broni. Brzegu Wisły się trzymając, przedarliśmy się przez tłumy ludu, kobiet i dzieci, na prawą stronę mostu i zatrzymaliśmy się niżéj młyna.

Była może godzina 10 z rana. Moskale byli już w całéj Pradze, a massy ich piechoty z artyleryą maszerowały wprost ku brzegom Wisły naprzeciw Warszawy. Ludność Pragi z rozmaitemi wozami cisnęła się na most w połowie przerwany, i w ciżbie najokropniejszéj szukała na nim swego ocalenia, niestety nadaremnie! Komendant nasz nie widząc innego sposobu ocalenia oddziału, przemówił do nas, że potrzeba się rzucić w Wisłę i wpław ją przebyć. Jedyny, ale słaby ratunek, bo lubo widzieliśmy przed sobą wielu już płynących, ale nie mało było takich, którzy już tonęli. Jedni bez siodeł, inni z siodłami, puściliśmy się więc i zaraz z brzegu w wielką głębinę. Przepłynąwszy sto kilkadziesiąt kroków, konie nasze oparły się przecie o piasek i odetchnęły nieco. Ale tuż za nami strzelano już z ręcznéj broni i dział, a przerażający krzyk ludu, który Moskale na brzegach i w domach kłuli, przejmował nasze ser-

ca. Puściliśmy się na drugi głęboki nurt Wisły i jużeśmy go prawie przebyli, kiedy wylądowanie na brzeg z powodu tratew i balów drzewa stało się niepodobném. Trzeba było puścić się z wodą, aż prawie do Mostowéj ulicy, gdzieśmy nakoniec na brzeg się dostali. W téj przeprawie kilku z naszego oddziału utonęło.

Nie zastałem rodziców w domu. Byli w kościele Panien Sakramentek. Śpiewy błagalne z wystawieniem Najświętszego Sakramentu pocieszały lud strapiony, który świątynię tę napełniał.

Trudno i niepodobna mi opisać uczucia, które poczciwi rodzice moi łzami wyrażali. Klęska publiczna zakrwawiała ich serca, widok syna ocalonego wyciskał im łzy radości.

Od siedmiu miesięcy nie byłem pod dachem; byłem przytém zgłodniały. Żądałem pożywienia i spoczynku. Tylko com się położył, dostałem gorączki, która wnet zamieniła się na malignę. Przez miesiąc byłem bez nadziei życia. Nie widziałem, co się wtenczas działo z Warszawą. Mojego konia wygnano na ulicę, mundur wyrzucono, aby żadnego śladu nie było, żem się w domu rodziców znajdował.

Po dwóch miesiącach, kiedy po raz pierwszy z domu wyszedłem, najsmutniejszy widok ze wszech stron mnie otaczał. Praga już tylko się czerniła. Warszawa była jak gdyby kirem pokryta. Króla już wywieziono. Biblioteki i galerye pakowano. Na ulicach zgiełk tryumfującego żołdactwa.

Ciekawość zaprowadziła mnie na dziedziniec Saski dla widzenia musztry i parady, które Suwarow codziennie odbywał. Było to w Styczniu; mróz był tęgi. Oddziały wojska, które przychodziły na musztrę, składały się ze wszystkich trzech broni, ale z tych piechota najciekawszy przedstawiała widok, bo nigdy w życiu mojém nic podobnego nie widziałem. Marsz wielki, który musiał być wynalazku Suwarowa i po nim może wcale nie był używany, na tém się zasadzał, że żołnierz nie prosto maszerował, ale za każdym krokiem w bok się wykręcał, raz w prawo, drugi raz w lewo, za każdym krokiem wyciągając ile możności nogę, tak, iż widok masy tym sposobem maszerującéj, miał coś dziwacznego, szalonego. Marsz krótki, drobnym krokiem, ale w biegu, komenderował Suwarów wtedy, kiedy dwie kolumny przeciw sobie udawały bój na bagnety; a co jeszcze więcéj w tych musztrach mię dziwiło, że Suwarów znajdował się na czele piechoty z gołą, mało siwych włosów mającą głową, bez munduru, w saméj koszuli.

O tym wodzu moskiewskim nadmienię, że kilka razy rozchodziły się pogłoski, iż miał zamiar, ile razy się upił, ponowić w Warszawie okropności pragskie, ale podobno inni jenerałowie od tego go wstrzymywali. To było powszechnie wiadome, że z rana wypijał na czczo wielką szklankę wódki, potém tarzał się na słomie i kazał się zimną wodą polewać, poczém znowu rozgrzewał się szklanicą wódki.

Ceremonia Jordana, na którą także Suwarow z kościoła Ś. Ducha na cerkiew zamienionego, w tym czasie się udał, nie mniéj mię uderzyła. Dnia tego był wielki mróz i Wisła zupełnie była zamarznięta. Suwarow wyszedł z cerkwi z gołą głową na brzeg Wisły, gdzie się ceremonia odbywała, i od godziny jedenastéj do pierwszéj stał tam nieporuszony. Po skończoném nabożeństwie przystąpił do popa, który naczerpnąwszy zlodowaciałéj wody, wylał mu jéj na głowę pełne naczynie. Suwarow ani się wzdrygnął, ani się otarł i znowu z procesyą pieszo powracał do cerkwi, a woda, która z głowy ściekała, zamieniła mu się na sople.

Mój pobyt w Warszawie nie zapewniał mi jednak spokojności. Musiałem się ukrywać, bo Moskale wszystkich dawnych wojskowych wyszukiwali i do Moskwy wywozili. Szukając więc niejako schronienia, wyjechałem bez paszportu do Lwowa, gdzie miałem rekomendacyę do hr. Dembowskiego. Ale i tam nie było dla dawnych polskich wojskowych bezpieczeństwa, bo Austryacy brali ich do wojska, albo jak się wyrażali, w kamasze. Hr. Dembowski wyrobił mi paszport do Wiednia, dokąd wyjechałem mając od rodziców wyznaczony fundusz na tę podróż. Lubo fundusz ten nie był wielki, mogłem jednak żyć tam spokojniéj, gdyż w Wiedniu była wielka taniość, za dukata bowiem na miesiąc miałem mieszkanie i stół. Zdarzyło się, że stanąłem w tym samym domu gdzie mieszkał Mozart i gdzie była fabryka fortepianów. Tam za pośrednictwem księcia Jabłonowskiego miałem sposobność poznać tego wielkiego kompozytora i obeznać się z fabrykacyą fortepianów, co we 40 lat potém, kiedy na starość na utrzymanie życia trzeba było pracować, bardzo mi się przydało. Mozart zawsze jednakowego i wesołego humoru, pracowity i bezinteresowny, bywał na dworze i grywał tam z obowiązku, za co skąpy dwór austryacki płacił mu tylko dziesięć dukatów miesięcznie.

Po dwuletnim pobycie w Wiedniu powróciłem do Warszawy gdzie zastałem Prusaków, którzy obchodzili się lepiéj z mieszkańcami jak Moskale. To tylko nie podobało

się, że koniecznie kazano uczyć się po niemiecku. Nie byłem jednak w Warszawie kiedy Prusacy stolicę tę wojsku francuzko-polskiemu musieli ustąpić. Znajdowałem się wtenczas w Galicyi u krewnego Swiniarskiego. Tam dowiedziawszy się o wypadkach wojennych, stworzony jak gdyby do życia wojskowego, bo ucinałem wierzby grubości ramienia jednem cięciem i uskramiałem konia najdzikszego pochwyciwszy za uszy, a nadewszystko przejęty świętością obowiązku względem ojczyzny, nie wahałem się na chwilę. Kupiłem parę koni, skrycie przebyłem granicę i wróciłem do Warszawy od strony Pragi, gdzie tymczasowo konie zostawiłem, a sam ze służącym tegoż samego wieczora około godziny jedenastéj, przeszedłem most. Był to właśnie dzień przyjazdu Napoleona, całe miasto było w radości hsuto oświecone, a zdarzenie chciało, żeśmy połączyć mogli okrzyki nasze z okrzykami ludu w chwili kiedy Napoleon do zamku wjeżdżał.

Przybyłem do Warszawy w celu zaciągnienia się do wojska. Miałem z sobą list od Swiniarskiego do oficera polskiego, który był w sztabie Murata. Oficer ten posłał mnie do jenerała Dąbrowskiego. Ten wypytał się mnie z któréj części Polski jestem, a gdy mu pokazałem dowody mojéj służby za Kościuszki, dał mi rozkaz do Wincentego Krasińskiego z poleceniem umieszczenia mnie w wojsku w stopniu porucznika.

Formował się właśnie wtenczas regiment Białostocki ułanów, którego pułkownikiem był Krasiński. Oficer ten wybierał do tego pułku szczególniéj młodzież szlachecką i z jeńców albo dezerterów rosyjskich tych co byli dworzanami. Zakład tego pułku był między lipami za zdrojami i znajdowało się w nim dwudziestu kilku ludzi. Nad tym oddziałem objąłem zaraz komendę. Natychmiast więc zająłem się ich umundurowaniem i uczyłem ich jeżdżenia konno i musztry. Wybór munduru tego pułku zostawiony był pułkownikowi. Zapytał mię więc jaki zdaje mi się właściwy. Doradziłem mu mundur pułku w którym piérwéj służyłem, i on na to przystał. Były to kurtki zielone z czerwonemi wyłogami, rajtuzy czarne z czerwonemi lampasami, czapki czerwone z orłem polskim i piórem białém. Uzbrojenie było: dzida z chorągiewką czerwono-zieloną, para pistoletów i pałasz. Ponieważ to wszystko była młodzież dobrze się mająca, więc każdy ulan miał lekką szlifę z tkaninek srebrnych i takąż przepaskę do ładownicy i podobnyż pas. Prawie taki sam mundur miał pułk, w którym za Kościuszki służyłem. Oficerowie tém się tylko różnili od żołnierzy, że przy szlifach mieli frandzle cieńsze, lub grubsze.

Był to słowem pułk szlachecki, a lubo Białostok był jeszcze w ręku Moskali, dano pułkowi temu to nazwisko, bo dobra Krasińskiego były najwięcéj w Białostockiém. Każdy do pułku tego wchodzący dostarczał swego konia i ubierał się swoim kosztem. Formacya tego pułku szła bardzo powoli z powodu zapewne wielkich kosztów ekwipowania się, tak, że w przeciągu kilku miesięcy zaledwie kilkudziesięciu składało ten zakład i to jeszcze byli pomiędzy tymi, co nie mogli mieć koni. Zupełna formacya tego pułku nie przyszła do skutku, bo gdy w tymże czasie Krasiński mianowany został pułkownikiem pułku strzelców konnych, otrzymałem rozkaz udać się z tym zakładem do pułku, który stał w Sieradzu, tak, iż nasze mundury białostockie i bogate ozdoby na nic się nie zdały i wnet na mundury strzeleckie miały być zamienione. Tegoż dnia kiedyśmy do Sieradza wyruszyli, zaprosił Krasiński do pałacu swego cały zakład na śniadanie, na które także przybyło wiele znakomitych osób. Po śniadaniu otrzymawszy polecenie abyśmy w porządku maszerowali, wsiedliśmy na koń i ruszyliśmy do Sieradza.

Tam przybywszy, zameldowałem się dowódzcy pułku strzelców Dembińskiemu, który z wojska francuzkiego przeniósł się był do wojska narodowego. Widać, że to był oficer stojący o swoich podkomendnych, i że musiał znać niedbałość pod tym względem nowego swego pułkownika, bo zaledwieśmy przybyli zapytał mnie, za ile dni żołd nam się należy. Zadziwiło mnie to pytanie, bo od początku formacyi tego pułku Białostockiego, ani ja, ani moi podwładni grosza jednego nie otrzymaliśmy; ale za to bywaliśmy u pułkownika na balach i wieczorach. Dembiński dowiedziawszy się, żeśmy żołdu nie pobierali, kazał nam wypłacić go za cały miesiąc i wyznaczył nam kwatery.

Ale nazajutrz zaraz przychodzi do mnie i do Dembińskiego rozkaz, aby cały oddział do Sieradza przezemnie przyprowadzony, natychmiast do Warszawy wracał. Bo właśnie w tym dniu otrzymał Krasiński od Napoleona nominacyę na pułkownika gwardyi i oddział mój przeznaczył na początkowy jéj zarodek.

Przybyliśmy więc na powrót do Warszawy, gdzie Krasiński uwiadomiwszy nas, że formuje pułk gwardyi Napoleona zaproponował mi, abym dał z siebie przykład abnegacyi i wszedł do tego pułku na brygadyera, czyli wachmistrza. Moim podwładnym radził wnijść na prostych żołnierzy, ale ci nie mając chęci zamienić srebrne towarzyszów szlify na niciane, równie jak ja propozycyą tą byli zdziwieni. Nie wahając się odpowiedziałem, że nie wi-

dzę ważnego powodu do degradowania mnie z porucznika na wachmistrza, dziękuję mu za obietnicę bliskiego awansu i proszę, aby mi pozwolił odpowiedzieć mu późniéj stanowczo. Wszyscy moi podwładni, którzy się za kadetów uważali, odpowiedzieli mu również, że nie mają ochoty służyć w gwardyi i że wolą wnijść do innych pułków, gdzie spodziewają się zostać od razu podoficerami lub podporucznikami. Nadaremnie wystawiał im Krasiński, że gwardya złożona będzie ze szlachty, że to będzie dla nich zaszczytem znajdować się w pułku gwardyi; wszystko nic nie pomogło. Tylko ci, co własnych koni nie mieli i co z pułków rosyjskich byli zawerbowani, przyjęli tę propozycyą.

W kilka dni potém straciłem ojca. Ta okoliczność i propozycya wspomniona były powodem, żem się udał do Krasińskiego i dla obudwu tych przyczyn prosiłem o dymisyę. Nie mogąc inaczéj, zgodził się na nią. Wkrótce potém odebrałem ją. Oto jéj kopia wierna:

Garde impériale française. Régiment de Chevaux-légers polonais.

Varsovie, le 22. Août 1807,

(Tu herb familii Krasińskich sztychowany).

Vincent Corvin Comte Krasiński, Colonel Commandant ledit Régiment, decoré de la croix de la legion d'honneur, Chevalier de l'ordre de Saint-Jean de Jérusalem.

(Powyższy tytuł sztychowany).

A Monsieur le lieutenant Domański.

J'ai l'honneur de Vous annoncer Monsieur que Votre démission et les raisons que Vous avez donné de ne pouvoir pas entrer dans la Garde, sont acceptées par Sa Majesté.

Le Comte Krasiński.

Przytoczyłem osnowę wierną téj dymisyi, jako dokumentu szczególniéj malującego ówczesne wyobrażenia i usposobienia. Uderza najprzód użycie języka obcego w dymisyi dla oficera polskiego przez pułkownika Polaka, a nadewszystko wyobrażenie herbu familijnego na dokumencie, który przecież był aktem albo władzy wojska, albo rządu. Czy orzeł polski nie byłby był właściwszy na akcie urzędowym odradzającéj się Polski? A jeśli pułkownik Krasiński uważał, że pułk gwardyi Chevaux-légers należał do wojska francuzkiego, dla czegóż nie używał w swoich pismach urzędowych orła złotego? Gdyby każdy pułkownik herbu swojego do dymisyi używał, w jakiém przykrém położeniu znalazłby się pułkownik nie mający herbu? Dokument ten

nosi także na sobie cechę wielkiéj nieformalności, bo i nadużywa władzy, która tylko do ministra należała, i plątą cesarza Napoleona w postępowanie nieporządkowe. Dla tego to podobno ministeryum, pomimo téj dymisyi nie uważało mnie za oficera dymisyonowanego, jak to późniéj zobaczymy.

Oddając mi tę dymisyę pułkownik, nie szczędził grzeczności, żałował, że go pozbawiam oficera, na którego wiele liczył, i aby mi dać dowód swojéj życzliwości, oświadczył, że teraz, kiedy się do pokoju się zbliża, jeśli mi idzie o awans, mogę z tą dymisyą i listem jego wnijść do wojska rosyjskiego, a otrzymam dwa stopnie wyżéj. Odpowiedziałem, że chcę służyć ojczyznie, nie Rosyi, ani Francyi.

Upłynął mi potém zaledwie miesiąc śród zatrudnień domowych, które spowodowała śmierć ojca mego, kiedy w tém ogłoszono publicznie ze strony ministra wojny, aby wszyscy oficerowie nieczynni polscy zgłosili się do ministerstwa i wchodzili do wojska.

W tym samym czasie otrzymałem osobiście wezwanie od jenerała Rautenstrauch, abym się prezentował w biórze wojenném. Tam oświadczył mi, że jest rozkaz, abym, jako oficer nie zostawał w nieczynności i wszedł do którego z regimentów polskich, które się formują w Wrocławiu.

Ponieważ w tym czasie krążyły pogłoski o mającym wybuchnąć w Warszawie jakimś ruchu, którego celu nie oznaczano z pewnością, niechciałem ściągnąć na siebie podejrzenia i odpowiedziałem, że lubo po wziętéj dymisyi nie liczę się do wojska, jednak przyjmuję rozkaz i chętnie udam się do Wrocławia dla wnijścia do którego pułku polskiego. Nazajutrz zaraz dostałem rozkaz, paszport i pieniądze i z dwoma innymi oficerami Łopacińskim i Ignatowskim pocztą wyjechałem do Wrocławia.

Przybywszy do tego miasta udaliśmy się natychmiast do sztabu marszałka Davoust, gdzieśmy złożyli nasze rozkazy i paszporty. Przyjął nas oficer polski do sztabu marszałka odkomenderowany, pan Zader, i poszedł natychmiast po rozkazy do marszałka. W półgodziny powrócił i uwiadomił nas, że marszałek daje nam rozkaz udania się do Francyi dla służenia tam w formującéj się legii nadwiślańskiéj, będącéj na żołdzie francuzkim.

Rozkaz ten niezmiernie nas zdziwił. Przyjechaliśmy do Wrocławia dla służenia w wojsku polskiém, które tam się miało formować, a tu nam każą jechać do Francyi. Odpowiedziałem, że nie mamy zamiaru i nie życzymy sobie służyć Francyi i wolimy powrócić do Warszawy. Odpo-

wiedź ta zdziwiła także Zadera, przybrał minę surową, oświadczył, że nie słuchamy rozkazu i poszedł udzielić marszałkowi naszą odpowiedź. Nie długo czekaliśmy na powrót p. Zadera. Marszałek kazał nam powiedzieć, że jeśli nie chcemy jechać do Francyi, każe nas żandarmami do Warszawy odesłać. Pan Zader nie tail nam nieprzyjemności naszego położenia, zdawał się ubolewać z powodu takiego zagrożenia i zostawił nam chwilę czasu do namysłu.

Z narady naszéj wypadło, że trzeba jechać do Francyi, żeby nie być traktowani jak jakie włóczęgi. Uwiadomiliśmy o tém postanowieniu naszém p. Zadera; ale on na tém nie poprzestał. Po odmówieniu pierwszém uważał za rzecz konieczną podać do marszałka prośbę z oświadczeniem, że namyśliwszy się, prosimy go o pozwolenie wzięcia służby francuzkiéj. Sam p. Zader pomógł nam do napisania téj prośby. Pozwolono nam zabawić w Wrocławiu trzy dni, poczém dano nam pieniądze na drogę i rozkaz udania się do miasta francuzkiego Sedan.

Podróż nasza przez Saksonią i Niemcy, aż do Frankfurtu nad Menem była prawdziwie rozkoszną. Wszędzie dawano nam najwygodniejsze kwatery i sute obiady, a w Dreznie posunięto grzeczność do tego stopnia, że plackomendant sam nas odwiedzał i zapraszał to na teatr, to dla zwiedzania osobliwości miasta. Podróż przez Saksonią odbywaliśmy w karetach, lub wygodnych powozach i to wszystko bezpłatnie. Wszyscy plackomendanci mieli od króla saskiego, naszego księcia warszawskiego, rozkaz przyjmować przejeżdżających wojskowych polskich jak najgościnniéj, a pocztmistrze i oberżyści mieli podobny rozkaz od plackomendantów.

Wszystkie te wygody urwały się nagle, jakeśmy tylko Frankfurt nad Menem minęli i w granice Francyi wjechali. Zapłacono nam wprawdzie koszta przepisane podróży, ale nikt nas nie zaprosił, nikt nie przyjmował. W kwaterach zastawaliśmy tylko wodę, ogień i światło. Zostawiono nam wolność odbywania podróży dalszéj pieszo, bo tylko na taką podróż etapową dano nam pieniądze. Musieliśmy więc własnych pieniędzy dołożyć, żeby do Sedanu dojechać.

W Sedanie komenderujący jenerał francuzki wyznaczył nam kwatery w koszarach podług stopni. Zastaliśmy tam zakład polski, którego dowódzcą był major, późniejszy jenerał Falkowski, a szefem sztabu Hłusowicz. Zakład ten pułków pieszych pomnażał się przybywającymi jeńcami polskimi z wojska austryackiego i rosyjskiego i przez trzy miesiące ćwiczył się nieustannie w musztrze.

Organizacya naszych pułków w Sedanie uskuteczniała się podług porządku francuzkiego. Nie było już rozróżnienia towarzyszów i szeregowych, ale byli tylko żołnierze prości, podoficerowie i oficerowie. Dawniéj towarzysze mieli czapki czworograniaste, mundury cieńsze, pasy do ładownic i przepaski z galonów srebrnych, cyfrę Stanisława na pasie od ładownicy i tworzyli pierwsze szeregi. Szeregowi byli za nimi w dwóch szeregach o kilkanaście kroków, mieli okrągłe kołpaki, grube mundury; nie było na nich żadnego śladu srebra. Formowali niejako oddzielny korpus w boju... Słowem, w nowéj organizacyi, odznaczenie szlachty, jako takiéj, nie było znane. W czasie pokoju szeregowi byli to służący do usługiwania towarzyszom, do chędożenia ich koni. W nowéj organizacyi i szlachcic musiał być prostym żołnierzem. Co do administracyi, każdy żołnierz w Sedanie dostawał książeczkę, w którą wpisywano jego żółd i efekta. Ekwipowanie żołnierzy należało do skarbu. Co do karności, towarzysz dawny nie ulegał był karze cielesnéj; w razie przestępstwa karany był więzieniem, a w rzadkich przypadkach z łańcuszkami. Bicie szeregowych kijem w plecy było bardzo rzadkie, tak, że nawet jednego przykładu nie pamiętam. W regimentach polskich, które się w Sedan formowały, obowiązywały prawa francuzkie, a zatém bicia wcale nie było. Sami żołnierze wymierzali czasem za małe uchybienia bicie trzewikami, ale to nie była kara kodeksowa.

W początkowéj organizacyi za Księstwa Warszawskiego, zdarzały się przykłady, że szlachta, jak przyprowadzała swoich ludzi, zostawała oficerami; ale późniéj takich przykładów nie bywało. Słyszałem, że pod Toruniem zsadzili byli Francuzi z koni parę tysięcy szlachty i szeregowych na dawny sposób na początku Księstwa Warszawskiego uorganizowanych, i oddali konie wojsku francuzkiemu, które wielki wtenczas miało ich niedostatek. Szeregowi poszli byli do piechoty, a dla zaspokojenia towarzyszów porobiono ich oficerami. Ale to był przykład wyjątkowy.

Może nigdy i w żadném wojsku punkt honoru nie był tak wygórowany, jak w naszym zakładzie Sedańskim. Najmniejszy cień obrazy stawał się przyczyną do pojedynków. Kiedy teraz nad tém naszém usposobieniem ówczesném się zastanawiam, nie mogę go czemu innemu przypisać jak fałszywości naszego położenia. Każdy z nas służył Napoleonowi w nadziei odzyskania ojczyzny; służalstwo dla pieniędzy albo stopnia, było u nas powszechnie w obrzydzeniu. A tymczasem, jak pierwéj we Włoszech,

tak teraz używano nas w Hiszpanii dla celów nam obcych. Podniesieniem uczucia honorowego do najwyższego stopnia, protestowaliśmy niejako przeciw mimowolnemu przeznaczeniu. Chcieliśmy pokazać, że nikomu nie wolno było obwiniać nas o upodlające służalstwo.

W miarę jak nowi żołnierze byli wymustrowani, posyłano ich natychmiast z Sedanu do Hiszpanii dla uzupełnienia trzech pułków piechoty legii nadwiślańskiéj, pierwszego, drugiego i trzeciego, które tam w ciągłym boju będąc, nieustannie nowych uzupełnień potrzebowały. Tym sposobem wyruszył naprzód oddział z 500 ludzi złożony, a następnie po wydanéj mi nominacyi przez francuzkiego ministra wojny, wyruszyłem i ja w marcu 1809 na południe z oddziałem 800 ludzi i w stopniu porucznika. Dowódzcą tego oddziału był kapitan Maszeski, który już pierwéj wojował w Hiszpanii i tylko dla ran w Sedan zostawał. Liczono nas wszystkich ośmnastu officerów w tym oddziale.

Szliśmy przez Orleans, Bordeaux i Bajonnę. O tym pochodzie to tylko nadmienię, że prawie we wszystkich miastach, przez któreśmy przechodzili, oberżyści wydzierali nam bilety kwaterowe, aby mieć nas u siebie. Jak tylko do jakiego miasta bataljon nasz przyszedł i bilety kwaterowe officerom rozdawano, natychmiast otaczały nas kuchciki, prosząc o bilety, które do domów prywatnych były adresowane. Była to sympatja pozorna, a rzeczywiście chciwość, bo nas nielitościwie zdzierali. W Orleanie oberżysta jeden kazał sobie zapłacić pięć franków za szklankę mleka. Odwołano się nawet do sądu żandarma, ale ten był za oberżystą, bo officer polski żądał mleka w godzinie, w któréj go trudno było dostać. Innemu officerowi dano bilet kwaterowy w domu prywatnym; oberżysta widząc to, wyrwał mu bilet z ręki i zaprosił do siebie, gdzie zaraz zapytał go, co będzie jadł i pił, a gdy officer mu odpowiedział, że je gdzie indziéj, gdyż u kwatermistrza mieliśmy obiad zamówiony, natychmiast i ton oberżysty się zmienił do tego stopnia, że wyniósł rzeczy jego z oberży i kazał mu szukać na bilecie zapisanéj kwatery. O domach prywatnych tego powiedzieć nie mogę; tam przyjmowano nas, jeśli nie bardzo gościnnie, to przynajmniéj nie brano od nas pieniędzy.

Kiedyśmy się zbliżali do Chatellerault, miasta pamiętnego w dziejach wojska polskiego z wydarzenia, które nasz pochód było już poprzedziło, stanęliśmy przed miastem w alei. Wnet wybiegło ku nam mnóstwo mieszkańców obojéj płci, i wszyscy cisnęli się do komendanta Maszeskiego, ofiarując mu *na pamiątkę* to scyzoryk,

to nożyczki, to inne drobnostki żelazne. Maszeski, który już znał chciwość handlarską tego z wyrobów żelaznych sławnego miasta, chciał z mieszkańców zażartować i nadstawił dłoń, którą natychmiast zapełniono rozmaitemi stalowemi drobiazgami, poczém Maczeski zamknął ją i obracając się do mieszkańców rzekł: *J'accepte et je garderai avec plaisir ce souvenir de votre amitié.* Kiedy tylko to wymówił, natychmiast zrobił się wielki zgiełk i krzyk. *Comment, vous n'achetez rien!* wołano i pochwycono dłoń jego ze wszystkich stron, i w oka mgnieniu rozszarpano te *suweniry*.

W Bajonnie tamtejszy jenerał odbył przegląd naszego oddziału i był z niego kontent, poczém z oddziałem ułanów polskich przez St. Jean de Luz wkroczyliśmy do Hiszpanii, a mianowicie do Nawarry. Od tego czasu pochód nasz odbywał się z wszelkiemi ostrożnościami wojennemi, jak w kraju nieprzyjacielskim.

Irun było pierwszém miastem hiszpańskiém, do którego weszliśmy przez most drewniany wystawiony nad rowem, oznaczającym granicę dwóch krajów. Kwatery i żywność były tu już bezpłatnie z rozkazu dawane. Officerom dostały się dosyć wygodne kwatery, ale biednych żołnierzy umieszczono w jakimś gmachu, który służył widać od dawna na noclegi przechodzących wojsk, rannych i jeńców, bo był pełen najplugawszego robactwa.

Na owym mosteczku koń mi się potknął, zrzucił mnie i skaleczył, zkąd moi koledzy żartobliwie nie zaniedbali wyprowadzać złéj dla mnie wróżby. Niestety! Nie mylili się.

Uderzyła mnie nagła różnica kraju. Mieszkańcy ponurzy, budowa domów odmienna, ulice ciasne, powietrze inne, cieplejsze, wonią wionące. Przyczynia się do téj woni zwyczaj palenia rozmarynem.

Pomimo ponurości mieszkańców, przyjmowano nas prawie ze szczerością, zapewne dla ujęcia nas, a kobiety które fizyognomią i długiemi, prawie do ziemi sięgającemi włosami, różnią się od Francuzek, widząc nie po raz pierwszy przechodzących Polaków, ubiegały się w grzecznościach. Zdarzało się, że z nami w rozmowy polityczne się wdawały. Wtedy z przymileniem wyrzucały nam, że ich kraj nachodzimy i żałowały, że nie należymy do wojska hiszpańskiego, że się nie bijemy za ich narodową sprawę. Czy to było ich uczucie, czy im kazano tak mówić, tego nie wiem; ale słowa ich im tylko bezkarnie uchodzić mogły i dla tego w mężczyznach tylko domyślać się mogliśmy podobnych uczuć. Kiedyśmy z miasta wychodzili,

mieszkańcy po obudwu stronach stojący, widocznie nas rachowali.

Z Irun pochód nasz pośród gór obok przepaści i przez wązkie dróżki, albo ścieżki, lubo to było w sierpniu, nie był wesoły. Szczególniejszy smutek był mnie opanował i tylko nowość widoków, tu szczyty gór okryte śniegami, tam tysiące owiec wydających się na pastwiskach jak mrowie tam znowu wodospady rzucające się z szumem w bezdenne przepaści, przerywały go cokolwiek. Słuch mój uderzało nieznane skrzypienie kół, które czasem o milę i więcéj, zapowiada zbliżanie się wozów. Na odgłos ten wozy z przeciwnéj strony idące, aby się nie spotkać na wązkiéj drożynie, albo w wąwozie, skręcają gdzie mogą zawczasu i zatrzymują się, dopóki tamte nie przejdą.

Razu jednego szczególne polowanie w tych górach hiszpańskich rozerwało cały nasz oddział. Byliśmy na spoczynku w miejscu, z którego w pewnéj odległości pasło się małe stado krów. Trzeba wiedzieć, że krowy w górach a szczególniéj w Pireneach, lubo jak wszędzie, należą do zwierząt domowych, są bardzo dzikie. Pomimo tego pozwolono kilku ułanom puścić się ku nim i zająć kilka na pożywienie oddziału. Byłto widok prawdziwie ciekawy, jak nasi ułani uganiali się po najspadzistszych ułomach za temi krowami. Zręczność naszych żołnierzy, zwinność i siła polskich koni, pokazały się wyraźnie. Pomimo tego tylko jedna krowa padła otoczona lancami. Wszystkie inne rozbiegły się, a nie było czasu uganiać się za niemi.

W tym pochodzie przez góry spotkaliśmy oddział huzarów francuzkich, który szedł w naszym kierunku. Ponieważ upały niezmiernie nam dokuczały, komendant huzarów doradził nam, żebyśmy nocą maszerowali, a w dzień odpoczywali, na co nasz komendant przystał. Pierwszéj zaraz nocy zmieniliśmy dawny porządek pochodu. Około północy żołnierze nasi spostrzegli kilku z tych huzarów, wynoszących barany z ogrodzenia, które się znajdowało nie daleko drogi. ***Polonais, voilà des moutons!*** zawołali huzarzy francuzcy, którzy byli się już w nie zaopatrzyli. Ponieważ w czasie wojny zwykle takie zabory uchodzą, komendant nasz nie wzbronił naszym zajrzeć do szopy i w kilkanaście minut każdy żołnierz miał na tornistrze barana żywego. Z tym pakunkiem uszliśmy jeszcze parę godzin, gdy komendant dla zgromadzenia nieco rozciągniętych szeregów, kazał stanąć. Korzystając z tego żołnierze, zabrali się do zabijania baranów, poobcinali im głowy i nogi, wyrzucili bebechy i zatroczyli resztę na tornistrach. Wydarzyło się, że jeden zamiast barana wziął

psa, który baranów pilnował, i przez dwie godziny go dźwigał. Pies, czy ze strachu, czy że był natury potulnéj, leżał na tornistrze spokojnie. Dopiero kiedy żołnierz chciał go oprawić i zabierał się do ucięcia mu głowy, pies zaczął szczekać i uciekł. Omyłka ta rozweseliła oddział, ale zasmuciła bardzo wiarusa. Z rana zatrzymaliśmy się na spoczynek, na którym żołnierze co do szczętu na śniadanie wszystkie barany zjedli.

Dopiero po dwóch dniach pochodu zeszliśmy z tych gór w kraj mniéj górzysty, gdzie się już inny pokazał widokrąg: pola uprawne, lasy oliwne i korkowe, zarosłe szałwią, rozmarynem, lewandą i innemi pachnącemi trawami, drogi obszerniejsze, wsie i miasteczka. Upały ciągle nam dokuczały. Mieszkańcy chronią się od nich goląc głowy i obwiązując je chustkami. Dla chłodu także strzygą sierć mułów używanych do robót rolniczych i do powozów. Śpiew tamtejszych mieszkańców ma swój oddzielny charakter, melodie ich, podobnie jak słowa śpiewu, nigdy nie mają końca, zostawiając zawsze coś do przeczuwania i do domyślania się.....

(Tu przerywa się niedokończony pamiętnik Wojciecha Domańskiego).

Pisma Klemensa Protasza. Tom pierwszy. Kijów, w drukarni Teofila Glücksberga, 1850.

Najnowsza szkoła literatury w Kijowie wydała znowu sporą księgę zbiorową, z któréj dosyć kilka kartek przeczytać, by poznać jéj źródło, sposoby i cele. Właściwie jest to tylko nowy numer *Gwiazdy*. Ten sam wątek, ten sam styl i strój zewnętrzny, a jeśli tytuł zmieniony, to zda się jedynie dla możności sypania śmielszych i hojniejszych pochwał poprzedniczce, czy téż sobowtórowi. Jakoż Protasz ogłasza, że *Gwiazda Kijowska* stała się *prawdziwą gwiazdą naszego zbawienia*. „Nikła (dodaje on) w zakątku horyzontu, gdzieś tam niedostrzeżona *Gwiazdka*, błyśnieniem swojém rozproszyła nagromadzone jak w *Jerozolimie Wyzwolonéj* przez szatanów ciemności. Pierzchły, a *Gwiazda* pełnym zajaśniała blaskiem. Ona to stała się rzeczywistym *vox populi* organem, od którego jak od trąb Izraela gromu niebotyczne mury *Chananejskiego*, bałwochwalczego *Jerycho*, sklecone z arystokrackich pstrocin i błyskotek, z popiołu *autodafów* i plugastw jezuickich, runęły i w gruzach się zagrzebały, daj Boże bez powstania! Gwiazda zwiastowała przyjście na świat Zbawiciela; Gwiazda przewodniczyła mędrcom do jego kolebki; z ukaza-

niem się gwiazdy usłyszano głos wołającego na puszczy: Torujcie drogę Pańską. Królestwo Boże się zbliża.“ Wybornie. Do wypełnienia najwyższéj szczytności brak tylko owego:

Je n'ai fait que passer, il n'était déjà plus.

Tym sposobem, kiedy w Warszawie, jak wiadomo z dzieła p. Majorkiewicza, społeczeństwo polskie po raz pierwszy dopiero poczyna się pojmować w pismach Gabrielli, i t. d., w Kijowie błysła nam długo oczekiwana *Gwiazda Zbawienia* w konstellacyi Gryfa, Fischa i Dołęgi, i oto wedle ręczeń Protasza zbliża się z nią Królestwo Boże, jak z ową gwiazdą, która zwiastowała przyjście na świat Zbawiciela. Wątpić nie można, bo zwiastunów tych jest legion cały, tak bowiem mówi Fisch o Gryfie, Gryf o Fischu, Dołęga o jednym i drugim, siebie nie przepominając, a Protasz o wszystkich trzech razem. I powtarza się w tém gronie owa scena, jakby żywcem ze wzoru podobnych literatów przez Bogusławskiego ujęta, któréj ciągłym motywem jest: Ja wielki i tyś wielki, tośmy wielcy wszyscy. Cóż to za ciężka atmosfera musi otaczać tę gwiazdę, jeśli w niéj taka *propria laus* nie *sordet*. Próżność i samochwalstwo naszych poczynających a najczęściéj samozwańczych talentów, po tylekroć już razy była nam powodem do smutnych uwag, iż tu nad niemi rozwodzić się nie myślimy. Poprzestaniemy na napomknieniu jak podobne uroszczenia same siebie neutralizują, bo jeźli przed *Gwiazdą Zbawienia* pierzchły już ciemności, jeźli bałwochwalcze Jerycho runęło i w gruzach się już zagrzebało, to po cóż szturm ten nowy, po co takie pastwienie się nad pokonanym już nieprzyjacielem, po co to grube i ciężkie dzieło Protasza, które już rozproszone ciemności na nowo rozprasza, niewolniczo powtarzając bez żadnéj nowości ani w argumencie ani w sposobie, wszystko to co już *Gwiazda* po wielekroć z dzieła pp. Sue i Génin przetłómaczyła? Po co? chyba że zwycięzca wpadł w niepowściągliwy zapał bohatera, którego Dryden tak opisuje:

The king grew vain,
Fought all his battles o'er again,
And thrice he routed all his foes, and thrice he slew the slain.

Wtém próżność w królu wzmaga się junacza,
Na powrót bitwy już wygrane stacza,
Rozpierzchłych wrogów trzykroć w jassyr bierze,
Trzykroć zabija zabite rycerze. (1)

---

(1) Zarozumiałość i samochwalstwo poczynających autorów jest jedną z głównych przywar naszego czasu. U nas tém mniéj ona za-

Zobaczmyż teraz jakiemi to drogami *Pańskiemi* prowadzi nas do zbawienia *Gwiazda*, a raczéj nowy jéj satellita? Protasz zajmuje się trzema głównie przedmiotami. Pochód otwiera *Szkoła Mężów*, komedya *naśladowana* i *przestosowana* z Moliera, Z tego wywięzuje się *Gawędka* o kobietach w ogólności, a w szczególności o jakiéjś awanturze małżeńskiéj, któréj Protasz był *prawie naocznym świadkiem*. Autor chyba dla tego nadaje tak wielką ważność téj awanturze i jéj obmierzliwe szczegóły aż przez dwa artykuły rozprowadza, aby usprawiedliwić umieszczone przy końcu uroszczenie (jakżeż wszystkim innym podobne!) że nie poprzestaje bynajmniéj na żądaniu pisarza francuzkiego, który powiedział o swoim dziele: Une mère en permettra la lecture à sa fille, ale stanowczo domaga się dla pism swoich:

Qu'une mère en prescrit la lecture à sa fille,
Qu'un père en prescrit la lecture à son fils.

Co do ogólnych zdań w téj pierwszéj części pod nazwą *Gawędka* zawartych, na niektóre zgodzićby się mo-

---

sługuje na pobłażanie, że wspólne nieszczęścia i potrzeba jedności usposobićby wszystkich powinny do jak największéj pokory. Weźmy pod ścisłą rozwagę co w tym względzie mówi o Francyi p. Albert de Broglie. Oto jego słowa:

„L'irritable vanité poétique, illustre dans tous les temps, est devenue aujourd'hui un véritable fléau populaire. Autrefois quand „l'homme heureusement doué par la nature sentait s'éveiller en lui „les premiers aiguillons du talent, il apercevait en même temps de- „vant ses yeux des corps constitués, des dignités héréditaires, des „grandeurs de tout genre, qui l'étonnaient de leur élévation; il sen- „tait peser sur sa tête une société régulière avec ses traditions et ses „doctrines, et ce poids salutaire doublait en la contenant l'élasticité „du génie. Aujourd'hui sur notre terrain mis à nu, quiconque s'élève „un peu a tout de suite la tête par dessus tout le monde; il n'aper- „çoit plus que des fronts inclinés devant le sien. De là ces dévelap- „pemens monstrueux de la vanité. La pression atmosphériqe manque „partout autour de nous, et l'ame des poètes formée d'une matière „plus volatile qu'aucune autre, est la première pour mettre au jour „ces prodiges d'une ébullition spontanée. Aucune règle morale ne „supplée, je le sais bien, aux contre-poids naturels d'une societé bien „organisée. La raison publique, quand elle fait un effort sérieux et „que'lle s'appuie surtout sur d'éternelles vérités, n'est pourtant pas „tout-à-fait impuissante. Discussion politique, jugement historique et „philosophique, critique littéraire, il est temps de convier solennelle- „ment toutes les forces de cette raison à une croisade contre le mal „qui nous déborde."

żna i nawet zalecić uwadze kobiet, gdyby nie ta nieszczęśliwa rubaszność w myślach i stylu, za którą zdają się na wyścigi ubiegać pisarze Kijowscy, jak np. „Termometr łask Heroiny ciężki tylko kruszec do wysokości podnosi, lubo i zwykły termometrowy kruszec nie jest jéj obcym.“ Autor wyprowadza ostateczny wniosek, że jeźli Molier się nie mylił mówiąc: „C'est un sexe engendré pour damner tout le monde,“ czyli jak tu przepolszczono: „Płeć ta płaczem i ludzkiém potępieniem żyje,“ to zbłądził w wystawieniu skutków mężowskiéj surowości i łagodności, bo „często zdarza się widzieć u Makarych (surowy Sganarelle) najprzykładniejsze, a u Arystów najgorsze żony.“ Mizantropowi temu, a raczéj Mizogynowi, odpowiada jakiś *preux chevalier* w *Gawędzie na Gawędkę*, długiéj a słabéj obronie kobiet, w któréj uderzającém jest tylko przyznanie się piszącego, iż Pisma Świętego nie miał pod ręką (str. 161). Daléj idzie ***Konkluzya***, która jednak sprawy nie konkluduje, bo przy końcu tomu znajdujemy ***Jeszcze słówko o gawędkach***, czyli odpowiedź na przysłane uwagi względem owéj małżeńskiéj katastrofy. Jaką miarę zachowuje w sądach, najprzyzwoitszy nawet pisarz z tego ciągu artykułów o kobietach, dostatecznie da poznać następujące końcowe zdanie: „Wrodzona próżność, skłonność do egzalta„cyi, do zajmowania sobą i pozyskiwania oklasków publicz„ności, działanie imaginacyi, forma i obyczaj, obowiązu„jące kobiétę do okazów czułości i sentymentalności, do „troskliwego czuwania nad chorym mężem którego w du„szy radaby jak najprędzéj pogrzebać, do płakania na „jego pogrzebie i przywdziewania po nim żałoby: oto rze„czywiste bodźce większéj części chwalebnych czynności „kobiecych. Wiadomo, iż te wszystkie egzaltacye i czuło„ści kończą się najczęściéj kuglarstwem i farsą. Trafnie „przyrównaćby można kobietę do kanarka wyuczonego „śpiewać po pozytywce, który póty melodyjnie śpiewa, póki „go pozytywka wyuczyła, a śpiew zakończa ciurkaniem.“ Zapytaćby się można, zkąd taka zawziętość na kobiety, czy ją tamtejsze usprawiedliwiają obyczaje, czy zdolną jest zapobiedz emancypacyi kobiet, a sprowadzić ich reformę, jak to sobie autor obiecuje? Na dwa ostatnie pytania każdy łatwo odpowie, do pierwszego nie znajdzie klucza, tylko ten, co poznał myśl i cel do którego wszystko Protasz odnosi, to jest, zamiar zniweczenia szlachty polskiéj i kościoła katolickiego. „Wiadomo (mówi on) że „kobiety rodzą się ***arystokratkami***. Nieprzezwyciężony pociąg ku arystokracyi czują. Wszakże płeć żeńska równie „jest dumna, próżna, samowolna, uparta, egoistyczna, ka-

„pryśna, niewdzięczna, burzliwa, gwałtowna, interesowana, „nbiegająca się za błyskotkami, jak arystokracya. Wysi„loną kobiet, ledwie że nie mimowolną dążnością, tworze„niej pomiędzy samemi sobą rozróżnień, kast i koteryi. „Cóż dopiero rzeczywista arystokratka! Wiadomo, że z py„chą arystokratki, żadnego arystokraty, żadna *ludzka* py„cha, a chyba szatańska zrównaćby się mogła.” Gdzieindziéj religijność niewiast polskich autor przypisuje modzie. „Płeć (dodaje)

„Samą swą słabością zazwyczaj tak silna,
„Łudzona lada blaskiem, nowości przychylna,

„wrodzony ma pociąg kn błyskotkom, affektacyom, kon„torsyom, egzaltacyi. *Pietatis, gratia plaena. Pia, nata.*” Niegodziwe to szyderstwo autor kończy płaskim konceptem. Ostrzega czytelników, nieumiejących po łacinie, żeby niedopuścili się omyłki „tłumacząc sobie wyraz łaciński Pia przez francuski *la Pie.*“ Niepotrzebowaliśmy zaiste tych nowych dowodów, że kobiety są ostatnią spojnią i najmocniejszym węzłem narodowości a samoistności naszéj, i ztąd główną na siebie nienawiść jéj wrogów zwracają. Godzi się przytém zanotować, że ile razy Protasz uderza, w którą z najszacowniejszych stron naszego społeczeństwa, to czy prędzéj czy późniéj zawsze znajduje umizg do Moskali. Opisawszy pod koniec *konkluzyi*, jak patryotki polskie obchodziły się z Prusakami i Austryakami, dodaje naostatek:“ Ale Rosyanie, Rosyanie! Ci potężniejszy widać mają „magnes do przyciągania żelaznych serc amazonek pol„skich, jak Niemcy. Kto był w Warszawie w 1813 i 1814. „roku ten pomni, jak podówczas Rosyanie nie tylko laura„mi ale i mitrami skronie swe wieńczyli.“

Rozprawa o *poezyi*, gładko i malowniczo, lubo bez ładu skreślona i dziwnie przy końcu przerwana, stanowi drugi przedmiot w téj książce zawarty.

Trzecim naostatek i rdzennym całéj pracy, na który autor czy autorowie wszystkie swe zasoby umiejętności i dowcipu, pożyczone od *Gwiazdy* wypotrzebowali, jest rzecz o arystokracyi i jezuityzmie, szeroko przez dwa artykuły rozwiedziona. Nie myślimy podnosić aktu oskarżenia przeciw Jezuitom w tysiąc tu i jednym artykułach o wszelkiego rodzaju zbrodnie wystosowanego. Wszystkie te zarzuty znane są już dokładnie publiczności równie z uporczywych a namiętnych powtarzań jednéj, jak złagodnych a zwycięzkich odpowiedzi drugiéj strony. To co było złem w kierunku nadanym przez Jezuitów, wyjątkowe nadużycia, nieszczęścia sprowadzone przez zbytnią gorliwość, już dawno dowiedzionemi zostały, i już nie są przedmiotem

sporu między ludźmi dobréj wiary. Zapalczywi oskarżyciele, bezwzględni potwarcy, niezadowolnieni z wyroku zapadłego przed trybunałem rozumu i nauki, przenieśli dziś sprawę do wyższéj, jak mniemają, instancyi, przed ciemny Vehmgericht imaginacyi i fałszu, przed którym prawda niema opieki, a potępienie zemsta przed progiem ogłasza. Historya i krytyka porzuciły już ten przedmiot, jako dostatecznie oceniony, a romans porwał go na swą pastwę. Jeszcze na końcu 18go wieku, gdy w piśmiennictwo angielskie poczynały się wkradać powieści o Jezuitach, Samuel Johnson, surowy i gorliwy protestant, ale człowiek rozsądku, powiedział: „Henceforth let no man say, come, I will „write a disquisition on the history, the doctrines, and the „morality of the Jesuits, at least let no man say so, who „has not subdued the lust of story-telling. Niechajże od„tąd nikt się rzec nie ośmieli, dajcie, ja wam zaraz napi„szę rozprawę o historyi, naukach, i moralności Jezuitów, „a przedewszystkiem niechaj nikt tak niepowiada kto w so„bie nie stłumił chętki gadania bajeczek.“ Jeżeli taki wyrok wydał Johnson na śmiałków swego czasu, którzy brak nauki chcieli zastąpić imaginacyą, cóżbyśmy dopiero dziś po tylu romansach i bajkach rzec powinni? Runie kiedyś cała ta fantasmagorya, a na białym dniu okaże się jakie sprężyny w niéj działały, kto nią kierował. W Polsce, gdzie spór ten najmniéj ze wszystkich krajów ma podstawy w rzeczywistości, gdzie na przedzie działa sama imaginacya, owe z tyłu sprężyny coraz jawniejszemi się stają. Dzieło niniejsze nie mało przykłada się do ich odkrycia. Oto kilka ogólnych wyrażeń, z których widać czém jest miecz sprawiedliwości w ręku Protasza i czyje to koło obraca ten wzburzony potok zapalczywości przeciw Jezuitom: „Śmiało można powiedzieć, że jeźli widomą głową „zakonu był jego *jenerał*, to niewidomą *sam arcy-szatan*. „Na co tylko może się ośmielić wysilenie hipokryzyi, chy„trości, kłamstwa, bezczelności, szalbierstwa, oszukaństwa, „intrygi, podstępów, omamienia, demoralizacyi, występnych „knowań, chciwości, fanatyzmu, intolerancyi, przesądów, za„bobonów, *wszystkiego* dla uprzątnienia zawadzających im „przeszkód nie wahali się używać. Wojowali ogniem i „mieczem, trucizną, królobójstwem, którego konieczność, „gdy tego dobro religii wymaga, w pismach swoich uprawnili. Pod zasłoną tajemnicy spowiedzi podżegali święto„kradzkim sposobem penitentów swoich do królobójstwa, „mężobójstw, mordów, otruwań i wszelkiego rodzaju zbro„dni. Oparli się zawyrokowanéj przez papieża kasacyi „swojego zakonu. Mianowicie w Rosyi pod tarczą łagodnéj

„tolerancyi rządu uorganizowali nawet swoją hierarchię. Po-
„dobnie jak szatan, dźwignął się potém zakon Jezuitów z tąż
„samą pychą, z tąż samą zatwardziałością, z tąż samą prze-
„wrotnością, chytrością. Tajemny to Jezuitów zarząd na-
„rzucił jarzmo inkwizycyi w dziewiętnastym wieku Hiszpa-
„nii i Rzymowi. Ich tajemne machinacye uorganizowały
„w dziewiętnastym wieku rzeź protestantów we Francyi.
„Zaburzyły cały ciąg panowania *restauracyi*, zniechęciły ku
„niéj naród i odwróciły od niéj opinię publiczną, skłoniły
„rząd restauracyi do owych to zgubnych *ordonansów* przy-
„pieczętowanych wiadomą lipcową katastrofą. Pod rządem
„lipcowym tajemne lecz nie mniéj silne działanie wywołało
„ów głośny romans *Żyda wiecznego*, tak obmierzliwy a je-
„dnak rzeczywisty obraz ich *machiawelizmu*. Wiadomo
„jak wspaniałemu rosyjskiemu rządowi zawdzięczyli udzie-
„lony sobie, gdy ich zewsząd wyganiano, przytułek i opie-
„kę. Z ich naukowych zakładów w Rosyi wysypały się
„roje zasadami ich napojonych Lojolistów." Tym to try-
bem cokolwiek się złego od trzech wieków gdziebądź wy-
darzyło, autor składa na karb Jezuitów. Tym którzy zna-
ją niższe szkoły angielskie, wiadomo jest, iż w każdéj kla-
sie znajduje się tak nazwany *whipping-boy* (souffre-douleur,
chłopiec do chłosty). Cokolwiek zdrożnego się przytrafi,
czy który student zbroi, czy nauczyciel przyjdzie w złym
humorze, chłopiec ten za wszystko skórą swoją odpowia-
da. On jest przedmiotem figlów i pastwą całéj rozpustnéj
klasy, on konduktorem, w który żółć i gniew profesora u-
derza, on tarczą osłaniającą przekroczenia możniejszych u-
czniów, których nauczyciel ukarać nie śmie. Takim to
whipping-boy stał się Jezuita w naszym wieku. Gdzie go
niema, jak w Rosyi, tam sobie ustrojono lalkę, straszydło,
i dopiero poczęto ją chłostać, wyziewać na nią całą nagro-
madzoną żółć nieznajdującą upustu w żadnym innym kie-
runku, a to wszystko w ostatecznym rezultacie dla odwie-
dzenia publicznéj uwagi od rzeczywistego złego, od skarg
na prawdziwego winowajcę, co więcéj, dla przywiedzenia
Polaków do uznania jak *łagodnym i wspaniałym* jest rząd
rosyjski. I zdałoby się, że nie Moskwa lecz Jezuici gnę-
bią Polskę, nie Kozak z kańczugiem lecz Jezuita z sztyle-
tem grozi patryotom, nie Sybir lecz inkwizycya stoi na za-
wadzie *postępu*, nie *łagodny i wspaniały* Bibikow, ale krwio-
żerczy królobójca Roothan (2) samowładnie w Kijowie pa-

---

(2) Nie kładziemy przed nazwiskiem dzisiejszego jenerała Jezui-
tów zwykłego miana *Ojciec*, gdyż autor poczytuje Jezuitom za zbro-
dnię, iż się *Ojcami* zwać pozwalają w obec słów Chrystusa, który

nuje. „Z dwojga złego wybierając (mówi autor) wolelibyśmy „żyć pod rządem sułtańskim, jak pod rządem żarliwéj „ortodoxyi.“ Wniosek oczywisty, jakże daleko miléj żyć pod *łagodnym* rządem rosyjskim. Tak uporządziwszy się z Jezuitami, autor idzie daléj, usprawiedliwiając tylokrotnie przez nas powtórzone przekonanie, że co się tyczy doktryny, walka ta zwróconą jest tylko pozornie przeciw Jezuitom, a w rzeczy saméj godzi na cały kościół rzymsko-katolicki. Jakoż dając rys powstania i wzrostu powagi papiezkiéj, powiada, że szatan pychy owładnął papieżami, że nie przebierając w środkach ku utrwaleniu najdespotyczniejszéj między despotycznemi władzy, przeistaczali i nakręcali w tym celu prawdy religijne, że tenże to szatan podszepnął im przyznanie sobie nieomylności i uorganizowanie duchowieństwa w korporacyą, w stan w stanie bezpośrednio zależny od zwierzchności duchownéj, a bezzależny od *krajowéj*. Pod niebiosa zatém wynosi *reformę*, która to *ciężkie* i *ohydne jarzmo* zrzuciła. Jéj przypisuje wiek złoty w Polsce. Zdaniem jego dla tego tylko lud w Polsce jéj nie przyjął, że był w najgrubszéj pogrążony ciemnocie i zaledwo z postaci do ludzi podobny. Niezważając na anachronizm wyrzuca Lojolizmowi, że *ani jednéj żony nie dozwala mieć duchownym*. Również, niby tylko Jezuitów, ale w istocie cały kościół zaczepia, kiedy oskarża pierwszych o wprowadzenie ograniczeń w czytaniu pisma Sgo. Utrzymuje że z tego powodu ogół katolików usycha i umiera z pragnienia, kiedy przeciwnie ogół wyznawców reformy orzeźwia się i czerstwieje, że ztąd także katolik poszukuje słowo Boże nie z duchem zbudowania lecz ciekawości, a czyta je z duchem analizy, protestant zaś, obowiązany prawem religijném do odczytywania całego pisma, bierze je w rękę z pełnością wiary, przekonania, czci i zbudowania. Przyznaje protestantyzmowi utrwalenie wyższéj moralności, a co najpocieszniejsza, stawia mu za chlubę jako fakt niezaprzeczalny, że kiedy między katolikami jest pełno herezyi i niedowiarstwa, protestantyzm okazał się niedowiarstwu nieprzystępnym, a *odszczepieństwa nieznane są reformie*. Chcielibyśmy przeprowadzić autora z tém twierdzeniem przez cały poczet co chwila pomnażających się sekt w Anglii i w Ameryce, a ztaką zajadłością z sobą walczących; od Puzeistów, którym brak tylko papieża by zostać katolikami, aż do Unitarianów, którzy zaprzeczają

---

powiedział swym uczniom, że jednego tylko mają wspólnego ojca w niebie. Ciekawi jednak jesteśmy co papa Protasza na ten zarzut powiada.

bóstwa Chrystusowi, a zobaczylibyśmy jakby na tém porównaniu wyszedł protestantyzm. Tak świetnie wystawiwszy reformę i jéj błogie skutki, zaleca kościołowi przyjęcie racyonalizmu za stróża, gdyż racyonalizm stanowi całą siłę protestantyzmu. Życzy nawet poddać się *racyonalizmowi sceptycznemu*, bo „dziś gdy zamiast analizoować wojuje „słowem Bożem, gdy stał się nie antagonistą lecz opowia„daczem Słowa Bożego, cóż mu się oprze?“ Filozofii przeto wszędzie nad religią prym daje. Ona swém światłem aż na łono Ortodoxyi przeniknęła. Wystawiwszy okrucieństwo kościoła względem Hussa, powiada, że „ojcowie So„boru Konstancyeńskiego okrzyknęliby samego Chrystusa „stronnikiem Hussa, a może wraz z Hussem na stos wy„prawili. Ortodoxya rządzi się i dziś temi samemi zasada„mi, a okazałaby się taką samą i w praktyce, tylko że się „czasy zmieniły. Któż przeciw temu uorganizował prote„stacyą, jeżeli nie filozofia? Nie kościół zatém, ale ta filo„zofia, krwią się brzydzi.” W końcu jako rozjemca, taki sporządza akt wiary: „Kościół jest zgromadzenie wiernych. „Reprezentuje go duchowna hierarchia, zbierająca się na „Sobory, które rozstrzygają wątpliwości i stanowią o nich „nieodwołalnie, bo z natchnienia Ducha Śgo. Postanowie„nia jednak Soborów bywały pomiędzy sobą sprzeczne. „Któż powinien rozstrzygać? Nie papież, bo on nie jest nie„omylnym, on ma tylko pełność władzy wykonawczéj, lecz „pismo Śte, które tych postanowień jest probierczym ka„mieniem. Pismo zatém jest nieustającym soborem, a cza„sowe duchowne sobory jego tylko organem. Lecz któż „stanowić będzie o zgodności lub niezgodności z pismem „ustaw soborów? Kto? Rzeczywisty organ rzeczywistego „kościoła, — nie *reprezentacyi*, ale rzeczywistego zgroma„dzenia wszystkich wiernych, — *opinia publiczna*.“ Jak widzimy, już tu nie chodzi o Jezuitów, przeciw którym walczono tylko by wprawić rękę i sił doświadczyć. Już opoka, na któréj kościół stoi, usunięta. Już papież obalony, albo co gorzéj, zredukowany na prostego, przytém zapewnie odwołalnego ministra z władzą tylko wykonawczą, śledzącego dla utrzymania się każde drgnienie swéj mistrzyni, to jest opinii publicznéj. Ta zaś zmienna, namiętna, kapryśna, wstępuje na tron apostolski, wykłada znaczenie słowa Bożego, stanowi dogmata, rządzi sumieniami, kieruje wszystkie wole, nie znając innego stróża krom racyonalizmu, osobliwie sceptycznego, któremu *już dziś nic się oprzeć nie może*. Wszystko to byłoby arcy śmiesznem i dziecinnem, niegodnem wzmianki, gdyby z poza teoryi nie wyzierał zamiar podstępnie wiodący do uznania schizmy

i samodzierżstwa. Opinia publiczna jest nieujętna, nieokreślna, sama ani wprost działać, ani swych wyroków wykonywać nie może. Potrzebuje reprezentanta, coby jéj cochwilną wolę formował, zmieniał w prawo i czuwał nad onego wykonaniem. Któż zdołałby być takowym reprezentantem, jeźli nie władzca polityczny? Miałżeby on w każdym wątpliwym przypadku zbierać głosy? Niepodobna. Byłożby mądrze, gdyby zawsze szedł za liczebną większością? Sam autor wciąż powtarza, że gromada jest to *wełykij ale durnyj czołowik*. Nie, — nie pozostawałby żaden inny dlań środek, jeno uznawszy siebie i swą władzę za bezpośredni i rzeczywisty wypływ opinii publicznéj postawić swoją indywidualną wolę, swoje *ja*, za prawo najwyższe, za organ *rzeczywistego kościoła, rzeczywistego zgromadzenia wszystkich wiernych*. Otóż gotowe prawosławie z samodzierżcą, jako głową kościoła. Nie przemawia — że dziś car do Europy, jako niewątpliwy organ opinii publicznéj swego narodu, jako tłómacz jego woli, jego przeznaczeń? Czyż nie tą samą drogą jak powyższa teorya, poszedł w Rosyi kościół grecki w zupełne dziś poddaństwo u władzy politycznéj? Naprzód odrzucono papieża. Ustanowiono synod. Wnet carowie ujarzmili go, zredukowali do znaczenia kancelaryi duchownéj, niewolniczo zapisującéj ich postanowienia, i oto dziś, ilekroć idzie o jaką ustawę, samodzierżca, jako uznany zastępca opinii publicznéj, posyła mu przez swego adjutanta wykład pisma Sgo i nieodwołalny sąd o zgodności lub niezgodności téjże ustawy ze słowem Bożem. Atoli rzec by mógł kto: prawda, takby się stać musiało w krajach nieoświeconych, gdzie właściwie dotąd niema opinii publicznéj, lub gdzie ona manifestować się ani nie może ani nie umie; — prawda, takim trybem Polska w dzisiejszém położeniu przyszłaby niezawodnie do uznania schizmy i poddania się samodzierżcy, jako politycznemu i religijnemu władzcy, lecz w krajach zupełnie wolnych teorya ta zdołałaby może utrwalić, uwiecznić jeźli nie kościół katolicki, bo taki system oczywiście obala główną zasadę onego, to przynajmniéj jakowy protestancki kościół. Odpowiadamy, że autorowi o nic więcéj na teraz niechodzi, jeno o wpływ bezpośredni na Polskę. Dostatecznem przeto będzie, jeźliśmy niezawodny cel i skutek podobnéj teoryi co do Polski oznaczyli. Lecz weźmy dla wyczerpania przedmiotu inny przykład, weźmy kraj najoświeceńszy, pójdźmy do Anglii, tam gdzie opinia publiczna najswobodniejsze ma ruchy, najraźniéj się objawia, najskuteczniéj działa, gdzie z powodu umiarkowania i spokojności charakteru mieszkańców najsnadniéj ją obrachować, gdzie

wreszcie nie zna ona żadnych gwałtownych zmian i zbytecznych fluktuacyi. Wiadomo czém się tam stał protestantyzm, taranem opinii publicznéj rozbity na sekt kilkadziesiąt, w których znacznéj liczbie ani Luter, ani Kalwin niedostrzegliby śladu swéj pierwotnéj nauki. Wszakże lubo uszczuplony o większą połowę przez odpadłe sekty, lubo mniejszość mieszkańców w sobie zawierający, utrzymał się dotąd kościół angielski, kościół Stanu, *established Church.* Czém on się stał, czém jest w istocie pod rządem opinii publicznéj, bez innéj nad sobą powagi jeno woli narodu, uczy nas tylko co wyszłe dzieło Henryka Newmana pod tytułem: *On certain difficulties felt by Anglicans in submitting to the Catholic Church.* „Kościół angielski (mówi między innemi sławny ten pisarz) niema żadnéj podstawy, „żadnéj stałości, równie mało się troszczy o to, co mówił „lub czynił poprzednio, jak dziś rano wyszłe dzienniki o swe „dawniejsze artykuły. Jego życie stanowi akt parlamentu. „Elżbieta przechwalała się, że ona nastrajała wszystkie „w kraju kazalnice, Karol zabraniał dyskutować o predestynacyi, Jerzy o Trójcy Śtéj, Wiktorya pozwala na zupełnie „nowe o Chrzcie wyobrażenia. Jako naród zmienia swe „polityczne opinie, tak téż i religijne zmieniać może. Przy„czyny, które przeprowadziły bill reformy i wolny handel, „mogą wkrótce od razu zwalić całą ortodoxyą angielską. „Anglikanizm jest religią uprzywilejowaną narodu, a zatém „kościół musi żyć podług woli narodu. Musi swoje pociągi do katolicyzmu kryć w foliałach, albo po uniwersyteckich zakątkach. Ile razy wychodzi na mownicę, biada „mu, gdyby chciał być czemś więcéj jak anglikanizmem, „gdyby się chciał odwoływać do przeszłości, do dawnych „ksiąg i reguł, kiedy dzień dzisiejszy chce mieć inną teologią wedle postępu i oświaty. Uczony starożytnik, teolog, filozof, napróżnoby chciał protestować, próżnoby cytował Śgo Augustyna, odwoływał się do kanonów, lub sprawę wedle prostego zdrowego rozsądku oceniał, — zamknie mu usta prawna formuła *La Reine le veut;* naród „angielski wystarcza sam sobie, chce być protestanckim i „postępowym, a ojcowie, sobory, uczeni, biblia, święci aniołowie i wszystko co jest nad nimi, ustąpić musi. Czemże „oni są w porównaniu z narodem angielskim. On myśli, „czyni, zaspokaja się wedle swéj praktycznéj i wygodnéj „religii, a biskupi i duchowni, czy chcą czy niechcą, muszą być wykładaczami tych reguł praktyczności i wygody. Tym to jedynie sposobem możemy sobie wytłómaczyć ostatnie królewskie co do chrztu postanowienie. Jak „prawnicy zdecydowali, tak się stało, Nie było mowy czy

„ta nowa doktryna jest prawdziwą, czy nie, lecz tylko cho-„dziło o to, o ile naród zechce ją przyjąć. Cóż jeźli ona „sprzeciwia się dawnemu wykładowi wszystkich znakomit-„szych duchownych anglikanizmu? Naród stanowi artykuł „wiary, naród też daje jego tłómaczenie wedle czasu. On „jako Bóg, jednem tchnieniem swych ust stworzył swój ko-„ściół, artykuły wiary, rytuał, — i czemużby nie miał zno-„wu jednem ust tchnieniem, równie łatwo i samowładnie, „obalić to wszystko, skoro tylko zechce. Napróżno więc „uczeni silą się na dowody i podają niezaprzeczalne fakta „na poparcie, że katolicki wykład chrztu jest prawdziwym „i dotąd tak był uważanym przez anglikanizm, napróżno „długi ciąg biskupów, nieprzerwana tradycya pisarzów, wier-„nie i pilnie tego znaczenia strzegły, — na próżno teologia „za Karola umieściła je w rytuale, — na próżno restaura-„cya objaśniła je uczonemi księgami, na próżno rewolucya „zatrzymała je w zamian za inne ustąpienia, — na próżno „wiek osiemnasty postawił je za godło i obronę przeciw „herezyi Wesleya, — napróżno było to znaczenie znowu „potwierdzone, objaśnione i zwycięzko przeprowadzone przez „ruch 1833 roku, — wszystko to bynajmniéj do sprawy „nie należy. Nam nie wolno się pytać czy to jest dogmat „dawnych czasów lub najznamienitszych pisarzy, ale tylko „czy, jak się pierwszy minister wyraził, doktryna narodowi „się spodoba. Miałżeby samoistny od siebie tylko zależny „anglik, nie mieć wolnego tylko w religii wyboru? Cóż to „szkodzi, że połowa narodu straciła chrztu Sakrament? Nikt „bowiem dziś w istocie powiedzieć nie może czy jest o-„chrzconym czy nie. Maż naród zupełnie przestać być „chrześciańskim? Jeszcze postęp do tego niedoszedł, ale „dójść może. Cóż to za smutny dzień dla tych, którzy tak „wymownie bronili dogmatów anglikanizmu w przeszłych „czasach, jeźli przeszłe czasy mogą mieć co z teraźniejszo-„ścią wspólnego? Co za dzień dla biskupa Lavingtona, któ-„ry przysłuchując się Wesleyowi każącemu o nowém od-„rodzeniu, rzekł: że metodyzm jest równie złym jak pa-„pizm. Co za dzień dla biskupa Mant, dla arcybiskupa „Lawrence, dla biskupa Mildert, dla arcybiskupa Suttona, „dla arcybiskupa Howleya, zabranego anglikanizmowi o sa-„mym świcie téj kwestyi. Olbrzymi ocean nagle wezbrał, „poruszył się, jedném drgnięciem zerwał kotwice wszyst-„kich łódek kołyszących się po jego przestworzu, zapę-„dził je na brzeg i zgruchotał. Hooker, Taylor, Bull, „Pearson, Barrow, Tillotson, Warburton, Horne, ogro-„mne potęgi w swoim czasie, zostali złamani i rozbitkami „w obec woli narodu. Jeden tylko okręt pływa swobo-

„dnie w pośród tych wzburzonych wałów, łódź Piotrowa, „Wszechmocnego arka.“ Otóż to błogie skutki reformy, oto religia pod kierownictwem opinii publicznéj. Połowa Anglików dziś nie wie czy jéj chrzest jest ważnym czy nie. Co za rozerwanie w kościele, co za udręczenie w sumieniach! Jakże się dziwić że tyle znakomitych osób opuszcza anglikanizm, pomimo głębokiego bolu zrywa z przeszłością, i przechodzi na łono kościoła katolickiego! Codzień dowiadujemy się o nowych nawrócaniach. W miesiącu bieżącym (Wrześniu) przeszedł na wiarę katolicką vice-hrabia Fielding, najstarszy syn hrabiego Denbigh, para angielskiego. Ten zaczepiony przez dziennik Times, tak mu odpowiada: „Moje wątpliwości nie były dziełem „ani jednego dnia, ani tygodnia; długo one mną miotały, „a nigdzie ani w dziełach ani w radach wyznawców angli„kanizmu nie mogłem znaleźć zaspokojenia. Ostatnie spo„ry i rozerwania w kwestyi chrztu, dokonały mego nawró„cenia, bom się przekonał że kościół angielski nie posiada „żadnego stałego i żywego autorytetu, bez którego wszy„stkie wiary i formularze będąc podległe rozmaitemu tło„maczeniu, są tylko martwą literą. Taką żyjącą i trwałą „powagę, stanowczą a nieomylną, bo pod natchnieniem „Ducha Ś. działającą, znalazłem jedynie w kościele kato„lickim. Z téj to przyczyny porzuciłem kościół anglikań„ski, równie jak z silnego przekonania, że on stracił swą „prawowierność odłączając się od jedności za czasów re„formacyi, a teraz zbiera gorżkie owoce tego co wtedy „zasiał.”

Wróćmy do Protasza. Zamiar téj książki, na pół odchylony w kwestyi religinéj, występuje niemal w całości na polu politycznóm. Oto niektóre ze zdań ogólnych: „Arystokracya jest córką podboju i uzurpacyi. Same przy„rody arystokratycznego i demokratycznego żywiołów są tak „różnorodne i wzajem się odpychające, iż nie było pra„ktyki, ażeby kiedykolwiek zbliżyły się i kombinowały „z sobą, kiedy przeciwnie monarchizm z demokracyą od „wieków *sympatyzują* z sobą. Dla demokracyi nie tylko „monarchizm, ale najwygórowańszego despotyzmu jarzmo „znośniejsze niż jarzmo arystokracyi. Monarchizm i de„mokracya są usposobione do czynienia powzajemnych „sobie *koncessyi*, Arystokracyi wyraz *koncessya* jest nie„nawistnym, obcym, nieznanym. Tak zwany despotyzm „turecki i wschodni jest najrzeczywistszą demokracyą, bo „go nie tylko jéj *koncessya* uwiecznia, lecz główną jego „cechą *niwellacya*. Rząd arystokracyi jeżli nawet świetnie„je, to zawsze jak pobielany zewnątrz grobowiec, w któ-

„rym wewnątrz sama zgnilizna i robactwo. Takim prawie „grobowcem sam wpływ i egoizm arystokracyi uczynił „Anglię. We Francyi Ludwik XI, prawdziwy Tyberyusz „francuzki, lecz reprezentant demokracyi, a po nim Ri„szelje, śmiertelny wróg i prześladowca arystokracyi, przy„gnietli jéj *hydrę* i zmiatali jéj głowy przy poklasku ludu, „pomimo tego jednak nigdy tron silniejszym, a tém samém „i Francya nigdy rzeczywiście silniejszą i więcéj kwitnącą „nie była. W Konwencyi utworzyła się arystokracya, a na jéj „czele bywszéj arystokracyi członek Barras. Tak się ona „we znaki dała demokracyi, że podobnie jak rzymska od„rzekła się rzeczypospolitéj i rzuciła także w objęcia no„wego Cezara. Następnie demokracya na ręku go z Elby „do Paryża przyniosła Znowu niepoprawiony do arysto„kracyi przylgnął. Znowu go odstąpiła i zdradziła. De„mokracya, jak czuła matka, niewdzięczne swoje dziecko „do upadłego broniła."

W tém wszystkiém trzeba rozumieć pod wyrazem *arystokracya* szlachtę, lub jakikolwiek stan odznaczony dawnością rodu lub świetnością osobistą, a pod wyrazem *monarchia* absolutyzm. Dość się to już wywięzuje z przytoczonych przykładów, z których zestawienia wypada naprzód, że stan Anglii obecny jest daleko nieznośniejszym jak jarzmo *najwygórowańszego nawet despotyzmu*, następnie, że gdy znajdzie się monarcha umiejący zmiatać głowy arystokracyi, to mu lud przyklaskuje, a kraj staje się wtedy najsilniejszym i najbardziéj kwitnącym. Ale bliżéj jeszcze z myślą swoją autor nas obznajmia w poglądzie na dzieje Polski, który oczywiście w skróceniu, ale o ile tylko być może w jego własnych wyrazach przytaczamy.

Arystokracya powstawała najczęściéj z podboju. Feudalizm nigdy inaczéj. Widać, że kraje słowiańskie dobrowolnie poddawały się obcym przychodniom, bo tylko u Słowian znajdujem arystokracyę rodową, ale nie znajdujem żadnego śladu feudalnych instytucyi, tego piętna zdobyczy. Lechici w Polsce byli przybyszami odrębnego szczepu od ludności miejscowéj słowiańskiéj. Z obrońców i opiekunów rolniczego ludu słowiańskiego przeistoczyli się w samowładnych panów, i miejscową ludność z posiadaną przez nią ziemią podzieliwszy pomiędzy siebie jak osobistą własność, w poddaństwo obrócili. Orężni ci przychodnie zajęli naprzód Wielkopolskę, a następnie siłą oręża podbili Małopolskę. Z nich szlachta, stan w stanie, od słowa niemieckiego schlacht. Być także może, że wyraz szlachcic ma styczność z wyrazem Lach. Błędném przeto jest mniemanie jakoby pierwiastkiem i źródłem in-

stytucyi stanu szlacheckiego w Polsce była zasługa i nadgroda odznaczających się i bohaterskich czynów jego przodków. Pierwiastkiem i źródłem jego albowiem jak w innych krajach tak i w Polsce była przemoc, gwałt i zhołdowanie orężem bezorężnego rolniczego ludu. (3) Naturalnym rzeczy porządkiem pierwiastkowi dygnitarze, hetmani, wojewodowie, wbiwszy się w zamożność radzi byli uwiecznić swoją wyższość nad stanem szlacheckim w swoich rodzinach. Ich domy zawsze prawie pomiędzy sobą się koligacące, uorganizowały w kraju jakby jednę wielką rodzinę. Kasta ta potrafiła uczynić wyłącznym swym udzia-

---

(3) Rozszerzylibyśmy sprawozdanie niniejsze nad wszelką miarę, gdybyśmy chcieli wytykać choćby tylko główniejsze błędy i sprzeczności autora. Tu jednak zrobić wypada uwagę na jak fałszywém założeniu autor całą swą stawia budowę, i jak dla dogodności swego systematu, przekręca fakta, domysły kładzie za rzecz niezawodną, i zaraz na wstępie sam siebie zbija. Powiedziawszy bowiem, że feudalizmu w Polsce nie było, dla tego iż nie było podboju, tymże samym tchem twierdzi, że Lechici siłą oręża zajęli Wielkopolskę a potém Małopolskę i że pierwiastkiem i źródłem stanu szlacheckiego w Polsce była przemoc, gwałt i zhołdowanie orężem bezorężnego ludu rolniczego. Możeż być sprzeczność widoczniejsza? Autor po kilkakroć powtarza, że Lechici to samo czynili, te same instytucye i zwyczaje przynieśli co Waregowie. Ani Lelewel, ani Karamzin, ani żaden znany nam historyk tak nie sądzi. Owszem, upatrują oni wszyscy w pierwszych urządzeniach waregskich silne piętno feudalizmu. Ruryk i jego następcy na Nowogrodzie i Kijowie rozdawali dzielnice mniejszym książętom prawem lenności i zawsze starali się ich w zależności od supremacyi wielkoksiążęcéj utrzymać. Stronnicy Rosyi a nieprzyjaciele Polski właśnie z téj różnicy wyprowadzają powody ładu i rozwoju pierwszéj, a bezrządu i upadku drugiéj. Jeszcze więcéj myli się autor kiedy mówi, że „Wilhelm zdobywca i Normandowie przyswoili sobie feudalizm podbiwszy Anglią.“ Tu już fakta są doskonale znajome i żadnemu sporowi nie podlegają. Wilhelm nie przyswajał sobie feudalizmu dopiero wraz z podbiciem Anglii. Przybywał tam z gotowym, od wieków między Normandami istniejącym, a w téj części Francyi, w któréj panował i z któréj potęgą na podbój Anglii się wyprawił, przynajmniéj od 150 lat silnie ustalonym. Rollo jeszcze w 911 r. otrzymał był w lenne posiadanie od Karola króla francuzkiego dzisiejszą Normandyą i Bretanią. Autor podpiera swą teoryą o pierwiastku szlachty polskiéj raz wyrazem *schlacht*, to znowu pochodzeniem od *Lach*. Zapewnie nie wiedział jeszcze o niedawno wymyślonym rodowodzie wyrazu *Szlachcic* od *źle chcieć*, bo byłby go pewnie jeszcze skwapliwiéj przyjął.

łem cały prawie dostatek i zamożność kraju, tudzież wszystkie jego dygnitarstwa, honory i dystynkcye. Powstała uzurpacya w uzurpacyi. Monopolium temu nie przestawała jednak zawadzać *monarchiczna forma rządu*. Demokracya może się pogodzić z monarchizmem, arystokracya nigdy, bo jéj naturą nie cierpieć najlżejszéj nad sobą zwierzchności. Ztąd też i w Polsce arystokracya zaledwie w zarodzie, a już wydała ducha sprzeciwieństwa *władzy*, który nie przestawał wzrastać aż póki i władzy i kraju nie pochłonął i nie zatracił. Pierwszém jego historyczném działaniem przeciw władzy było wygnanie Ryksy z Kazimierzem, tudzież opanowanie Mazowsza przez jednego z magnatów, Masława. Następnie wygnanie Bolesława Śmiałego i otrucie jego syna. Daléj domowa wojna wzbudzona przez Sieciecha. Późniéj bunt Skarbimierza przeciw Bolesławowi Krzywoustemu. Gdy podział kraju przez ostatniego nastąpił, możnowładztwo szafowało dowolnie władzą nad dzielnicami rozdrobniałych Piastów. Mikołaj, wojewoda krakowski stał się berłodawcą strącającym i wznoszącym na tron monarchów polskich. Świętopełk zamordował Leszka Białego w Gąsawie. Dzielnego Przemysława możnowładzcy za pomocą margrabiów Brandeburskich zabili. Równie sprężystego Łokietka po trzykroć z tronu spychali. Szamotulski dał pierwszy przykład, tak często późniéj przez magnatów powtarzany, zmawiania się z nieprzyjacielem na zgubę kraju. Demokracya przeciwnie, razem z monarchizmem ciemiężona przez arystokracyą, łączyła się też zwykle przeciwko niéj z monarchizmem. Dość przytoczyć umiłowanie Kazimierza W. przez pospólstwo i nadanie mu z tego powodu przez możnowładztwo wzgardliwego przydomka *Króla Chłopów*. Przeczuło także możnowładztwo, że interesem każdéj monarchicznéj władzy jest ażeby kraj był rządnym i silnym, kiedy przeciwnie siłą arystokracyi jest bezrządność i bezsilność kraju. Przeszkadzało więc wszystkiemi sposobami sprzymierzeniu się demokracyi z monarchizmem. Czemuż jednak panowanie Jagiellonów, pomimo grasującéj i pod nimi plagi możnowładztwa, zwie się złotym wiekiem, wiekiem Astrei dla Polski? Oto naprzód będąc dziedzicznymi i samowładnymi panami potężnéj Litwy, samą demonstracyą władzy i powagi powściągali samowolę możnowładztwa. Największéj jednak do odznaczenia téj epoki firmą złotego wieku przyczyniło się założenie akademii krakowskiéj. Niższa szlachta przez oświatę oswobodziła się z ohydnego jarzma arystokracyi. Co większa, oświata ta przedarła się aż w same łono arystokracyi. Gdy przejrzały ich oczy, prze-

raził je widok szkaradny *ultramontanizmu*. Wszyscy rzucili się do reformy. Przy końcu panowania Zygmunta Augusta dwóch tylko senatorów wytrwało w katolicyzmie, a przecież panowanie to było złotym wiekiem, wiekiem Astrei dla Polski. Zdaniem uczonych cudzoziemców Polska była wtedy najoświeceńszą i najszczęśliwszą ze wszystkich krajów europejskich. Lecz piekło pozazdrościło tryumfu nieba. Przyszedł fanatyzm, a nie mogąc się wcisnąć przez mur oświaty, wkradł się cichaczem w jezuickiéj sukience. Złotym wiekiem dla Polski był więc niezaprzeczenie wiek panowania *wolnomyślności* i *racyonalizmu*. Odtąd zaczyna się walka tych żywiołów z jezuityzmem, pietyzmem i arystokracyą, odtąd wiek żelazny przychodzi. Pod Zygmuntem Wazą rokosz Zebrzydowskiego. Pod Janem Kazimierzem rokosz Lubomirskiego. Radziejowscy z arystokracyą przeciągają naród na stronę Szwedów. Pod Augustem III arystokracya wszystkie sejmy zrywa. Obałamuciwszy w ciemnocie już podówczas przez jezuityzm pogrążoną szlachtę, arystokracya i fanatyzm zawiązały opłakaną i obmierzłą konfederacyę Barską.

„Dzięki jednak (mówi autor kończąc ten przegląd hi„storyczny) powinniśmy złożyć arystokracyi, że lubo mi„mowolną i interesowną jéj sprawą, sama ona oswobodziła „nas z pod swego rdzawego i krwawego jarzma, że za„wróciła nas do tego źródła *Panslawizmu*, z któregośmy „wyszli, że połączyła nasze losy z losami współbratymcze„go, najpotężniejszego i najrządniejszego na świecie na„rodu, że mamy zapewnione i stałe bezpieczeństwo naszych „osób, *honoru* i własności, którym za bywszego stanu rze„czy nieustannie zagrażały uorganizowana przez arystokra„cyą anarchia, tudzież własne jéj gwałty, zajazdy, rabunki, „zdzierstwa i grabierze.“

I my też winniśmy złożyć dzięki pseudo-demokratom Kijowskim, a iście narzędziom (bodaj czy bezwiednym) absolutyzmu moskiewskiego, że powstając na całą przeszłość Polski, wskazując na szlachtę jako na pierwiastek obcy i zaborczy, na uzurpacyą, a zatém godną wytępienia, przedstawiając protestantyzm jako prawdziwszy od katolicyzmu, chrześcianizm, jako drogę do odzyskania wieku złotego,— kładą wręcz za postęp, za cel, za najwyższe dla Polski dobro nawrót do Pansławianizmu i stopienie się, zniknięcie pokolenia polskiego w łonie najpotężniejszego narodu, pod którego rządem jedynie istnieje bezpieczeństwo osób, własności i honoru. Wdzięczni, nieskończenie wdzięczni im jesteśmy za tak jawne wystąpienie. Skraca to niezmiernie naszą pracę. Żadne z naszéj strony dowody,

żadna moc argumentacyi niezdołałaby tak dobitnie jak powyższe wyznanie okazać Moskwy zbierającéj ostatecznie całą korzyść z dzisiejszéj walki przeciw kościołowi i szlachcie. Na nieszczęście są jeszcze między nami pisarze, którzy wprawdzie niczego więcéj nie pragną jak wyswobodzenia ojczyzny, ale owiani niedowiarstwem, parci żądzą niwellacyi, nierozmyślnie prowadzą nawę naszą w tym samym co szkoła Kijowska kierunku. Niechże się teraz przekonają dokąd dążą, komu pomagają, kto i jak z ich pracy korzystać zamyśla. Znać Moskwa pewna już swego tryumfu, znać już bezpiecznie rachuje na zepsucie jednych, na ślepotę drugich, kiedy się tak jawnie z swych zamysłów wynurza. Plan oczewisty, dialektyka całego przeobrażenia gotowa. Niech tylko Polacy, przelękli marą jezuityzmu, porwani racyonalizmu ponętą, przyjmą protestantyzm, niech uczynią wyłom w kościele katolickim, a prawosławie przyjdzie samo przez się. Przekonajmy ich, że demokracya, godło tak dla nich urocze, *od wieków sympatyzuje z monarchią*, a z tą najwięcéj, która *wszystko niwelluje*, przekonajmy ich, że to tylko będzie wymiarem sprawiedliwości historycznéj, jeźli wyobraziciel czystego pansławianizmu, reprezentant i mściciel ludu przez tyle wieków uciśnionego, zmiecie głowy Lechickiéj szlachty,— a samodzierżstwo wygrało!

Patryoci polscy, jakichkolwiek odcieni politycznych, weźcie do ręki te pisma szkoły Kijowskiéj, czytajcie uważnie i zapytajcie się sumienia, ażali może być inna konkluzya jak ta, którą tu otwarcie acz nieudolnie wskazaliśmy? Czego w Galicyi dokonano w r. 1846 za pomocą Polaków, to również teraz za pomocą Polaków Moskwa zdziałać usiłuje. Tam wprost wytracono jednych przez drugich, tu podstępniejsza taktyka przez usta polskie doradza Polakom moralnego samobójstwa. Oględniejsza, w wyborze środków, lecz zbyt ufna w swe zwycięztwo, zbyt ufna w pociąg wieku do racyonalizmu i demokracyi, zawczasu odsłania swe cele. Tamci wyginęli nieostrzeżeni, tym zaś, byle tylko chcieli, łacno usłyszeć grzechotkę węża który się zbliża. Słychać ją wciąż po ukrytych ponętnie tych pism kniejach. Być może, że te pióra są równie ślepem narzędziem jak owe kosy i cepy. Zwolennicy szkoły Kijowskiéj piszą jeszcze dobrze po polsku, może jeszcze nie są zupełnie Moskalami, ale Polakami być już przestali. Są oni zaiste tém, czém być się mieni obłąkana część ludu galicyjskiego, są w całém znaczeniu *cesarskimi*.

Bigos hultajski. Bzdurstwa obyczajowe przez Izasława Błepońskiego. Tom IVty. Wilno, 1850.

O trzech pierwszych tomach mówiliśmy w zeszycie październikowym z roku zeszłego. Autor, wierny obranemu tytułowi, przerywa w tomie niniejszym powieść dawniejszą, a rozpoczyna zupełnie nową, trzecią czy czwartą z porządku. Mniejsza o to, zwłaszcza że nas ostrzegł na wstępie, iż powieść u niego *jest tylko rusztowaniem na wiatr rzuconém, aby mogło utrzymać obrazy bez ładu zawieszone.* Przyzwyczaił on nas poniekąd do jak najdziwniejszych przeskoków, nieraz rozśmieszył, czasem uderzył trafném spostrzeżeniem, lubo nigdy oswoić nie zdołał i nie zdoła, chociażby posiadał stokroć więcéj talentu, z tym rażącym sposobem, dziś na nieszczęście zbyt upowszechnionym między pisarzami wydającymi dzieła w Warszawie, Wilnie i Kijowie, który pozwala zbywać igraszką najpoważniejsze przedmioty i czytelnikowi poznać nie daje gdzie się żart kończy a gdzie rozumowanie na seryo poczyna. Czego jednak nie obawialiśmy się nawet od tak lekkomyślnego i krotochwilnego usposobienia, czego bez wynurzenia żalu i najdobitniejszéj nagany pominąć nie możemy, to téj niepowściągliwości, która jakby przez fatalną konieczność wierności osobliwie dla drugiego w tytule wyrazu, popchnęła autora w tym tomie czwartym poza wszelkie przyzwoitości granice. Opowiada on swe wspomnienia ze szkoły Krzemienieckiéj, ale miasto owych swobodnych i niewinną wesołością zajmujących opisów, które mogłyby nie jednemu czytelnikowi przyjemnie odświeżyć w pamięci własne w dzieciństwie przygody, rozwodzi się nad hultajstwami studenckiemi, często zdrożniejszemi niż zwykle żaków figle i pustoty, i rozwiesza na swem rusztowaniu obrazy, nieustępujące w rubaszności najtrywialniejszym Ostada i innych najgorszego smaku flamandzkich malarzów przedstawieniom. Styl odpowiada treści. Jedna tylko cenzura moskiewska dla wiadomych sobie celów mogła przepuścić tak nagie i ohydne wyrażenia, jakie tu znajdujemy. Ktoby chciał się przekonać jak strzeże wstydu i moralności publicznéj, jakim językiem pozwala przemawiać rząd, który w swych manifestach woła do Europy: *Uczcie się i ukorzcie ludy, Bóg z nami,* niech tylko zajrzy na stronę 205. Już nas nie dziwi łóżność ta ze strony rządu, demoralizującego we wszystkich kierunkach, ale jakież pobudki do poddania się téj dążności mógł mieć pisarz, który zyskawszy pewną wziętość literacką, nie powinien był ani publiczności ani też siebie samego lekceważyć, to jedynie zdolną byłaby wytłomaczyć ta nie pomiarkowana, a dla nas dotąd tajemnicza ochoczość, która wielu z dzisiejszych pisarzów wileńskich

i kijowskich poduszcza do schlebiania rządowi a do ciskania się na religią, na szlachtę, na staropolskie obyczaje, zgoła na wszystko co stanowiło podstawę życia narodowego w przeszłości, i co z rozszerzeniem na wszystkie stany stanowić ją będzie, skoro naród odżyje. Niektóre, że tak powiemy, zewnętrzne, pozorne dla obałamucenia przyczyny sam autor podaje, bo egoistyczna gadatliwość prowadzi go często na szerokie osobiste tłómaczenia się. Powód pierwszy: pan Glücksberg zaproponował mu kupienie czwartego tomu, lecz gdy nieprzyjazne okoliczności wywiązać mu się z umowy z całą rzetelnością nie dozwoliły, uciekł się po pomoc do gospodarskiego praktycznego rozumu, i jako ludzie *do wódki podlewają wody, do zboża domięszają pośladu i plewy, do mąki szczególniéj w podradach wapna, i cukier nakoniec obciążają piaskiem rzeczywistym, aby waga wychodziła, tak też i on pośladem i plewą pisanemi postanowił dopełnić tego, co się niektórym tylko wydaje być zdrowém ziarnem, a co wielu za istotną plewę uznaje.* Żart ten o tyle tylko zasługuje na wzmiankę o ile służyć może za przykład skromności ad captandam benevolentiam wymierzonéj, oraz za wzór humorystyczności wielce w tamtych stronach popłacającéj. Powód drugi: autor pisał ten tom czwarty w maju 1849 roku, w obec więc tak wielkich ówczesnych wypadków, wolał porzucić zadania ważniejsze, *a wspomnieniem wkroczyć w dawniejsze lata, których szczegóły obyczajowo więcéj mogą obchodzić, niż szczegóły obecne, dziś przy ważności działań publicznych dla wszystkich zwiędłe.* Jeźli słowa te mają jakowe znaczenie, to chyba to, że im ważniejsze toczą się na świecie wypadki tém wyrazniejszy na pisarzach ciąży obowiązek rozrywania *bzdurstwami* uwagi publicznéj. Jest to wszakże w zgodzie z tém, co autor dawniéj powiedział, iż nic nie zaszkodzi Polsce umysłowe bankructwo, *bo cała przykrość ograniczy się na tem iż nic umieć porządnie nie będziemy, i że nas dzieci nasze wyśmieją.* Myślałby kto może, że to ironia znowu. Ręczyć nie można, ale zdaje się że nie, boć autor nie pisałby sam takich romansów, w jakich bankructwo umysłowe swego narodu upatruje. Powód trzeci, — lecz tu musimy dać cały ustęp dosłownie:

„Czyż przy tylu miastach walących się od strzałów ar„matnich, czyż przy tylu bitwach staczanych, można pomyśleć „o zapasach Tygodnika Petersburskiego z Gwiazdą Kijowską, „lub o ucinkach Bejly, Wejly, Tetery lub Kwestarza nawza„jem sobie użyczanych? Czyż w obec tych wielkich dzieł, co „się teraz dopełniają, nie można szczerze poradzić autorom „do jakiegokolwiek stronnictwa oni należą, aby zaprzestali swych „konceptów, bo są chwile, w których największém jest głups-

„twem być zbyt dowcipnym? Czyż obraz tego rozdarcia się „powszechnego, w którém Europa jest teraz pogrążoną, nie „powinien ich odstręczyć od tych rozterek, od tego rozlewu „nie krwawego, ale atramentowego, który choć fizycznych „boleści nie sprawia, lecz plami, i te makuły tém są trudniej- „sze do wywabienia, iż częstokroć nie kto inny, lecz sam pi- „sarz naznacza niemi siebie. Smutny był w ostatnich czasach „stan w który zepchniętą została literatura nasza, co przed „kilką laty jasno świtać zaczęła. Jakaś zajadłość i zgryźliwość „wkradła się w karty i najlepiéj pisane; jakiś upór i fałszywy „wstyd niegodny znakomitych zdolności, zatrzymał nie jednego „na błędnéj scieżce i w niektórych widać że koniecznie roz- „kazują rozumowi swemu by walczył z uczuciem w głębi serca „niewygasłém, ale tylko bądź widokami osobistemi, bądź wzru- „szoną żółcią bądź inną jaką nieszlachetną pobudką tłumio- „nem. Niezgodność własnego uczucia z pismami lub czynno- „ściami, objawiająca się u ludzi odzywami sumienia, jest pier- „wszą dla każdego wskazówką, czy szlachetnie, lub niecnie „działa, czy źle, lub dobrze pisze. Jeśli który téj walki we „wnątrz siebie nie doznał, może bydź przekonanym iż jest pra- „wym pisarzem. Ale jeśli u którego sumienie choć najmniejszy „spór toczy z pismem które stwarza, jeśli czasem dozna bły- „skawicznych uniesień ku temu co piórem umiża, niech nie „wchodząc w dalsze badania pisać przestanie, niech wyrze- „knie się chwilowéj chwały, którąby mu jego usposobienia „przyniosły, lub niech sobie zaskarbia wieczystą, rozżarzając „na łonie geniusza swojego te boskie promienie łaski, co mi- „mowolnie do duszy jego wciskają się. Tak postępując, autoro- „wie będą dzielić się na ludzi mniéj więcéj utalentowanych, „ale będą w zgodzie, i istotnie gdy uznamy iż uczucie sumie- „nia jest jedne dla nas wszystkich, jakżeż pisarze kłócić się „mogą między sobą, będąc do tego dziećmi jednéj krwi, je- „dnego wychowania i jednejże mowy? Mało przeważny za- „pewne jest głos mój, aby to pojednanie nie tylko pisarzów „z pisarzami, ale onychże z własném ich głęboko zagrzebaném „sumieniem dopełnić. Lecz jeśli choć w części uskutecznić to „zdołam, jeśli nadam ruch temu potokowi zapomnienia, co za- „lewać powinien niemiłe literackie objawy, uznam niniejsze „kartki najcenniejszemi ze wszystkich które tylko kiedy pisałem."

Arcy-wybornie, — myśl i zamiar doskonały! Ale zobaczmy jak sam autor własne wykonywa przepisy, jak umie wieczystą nad chwilową przenosić chwałę, jakiego to sumienia się radzi, jakiemi środkami sprowadzić upragnione pojednanie usiluje. Wiadomo już powszechnie o co tak zacięty spór się toczy nad brzegami Wilii i Dniepru. Jerosz Bejła, obok wielu cierpkich ale rzetelnych prawd, postawił niektóre twier-

dzenia, obrażające jak najdotkliwiéj uczucia nasze narodowe. Nic szlachetniejszego jak oburzenie, z jakiem te ostatnie przyjęto, nic godniejszego pochwały jak żarliwość obudzona w wielu pisarzach do odparcia niesłusznych zarzutów i wniosków, zarówno krzywdzących przeszłość narodu, jak podkopujących najdroższe jego nadzieje. Ale zapaśnikom występującym do boju zabrakło i talentu i nauki do mierzenia się z tak groźnym przeciwnikiem. Wzięli się przeto na sposób nader łatwy, a dziś będący zwykłą ucieczką i pospolitym wybiegiem u wszystkich tych, którzy niepoczuwając się do sił dostatecznych na pokonanie przeciwnika godziwemi środkami, wolą podstępnie pognębić go w opinii publicznéj za pomocą uprzedzeń czasowych. Powstał więc okrzyk na jezuityzm i jezuitów. Wszystkie wykroczenia Bejły położono na karb jezuitów, a znowu Bejłę oskarżono o wszystko to, co tylko kiedykolwiek zawiść lub nieuctwo, od czasów Paskala aż do Eugenjusza Sue, przeciw jezuitom wymyśliły. Przymięszało się do tego trochę zachceń demagogicznych i socyalnych, więcéj jeszcze nieubłaganego gniewu przeciw wszelkiéj religii. *Gwiazda*, *Pisma Klemensa Protasza* przeniosły nad Dniepr z całym arsenałem przebiegłości i potwarzy walkę, którą na bruku paryzkim przecięła i zagłuszyła gwałtowność wybuchu lutowego. *Żyd wieczny tulacz*, w trzech osobnych tłómaczeniach rozpowszechniony, i książka pana Genin stały się kodeksem mądrości i prawd kardynalnych. Rząd z uciechą ujrzał tę odmianę frontu bojowego. Nic tak nie raduje czyhającego na zgubę innych, jak gdy jego ofiary odwrócą oczy od rzeczywistego niebezpieczeństwa a całą baczność i siły wytężą przeciw urojonym strachom. Wiedział przytem, iż jeźli rzucane lekkomyślnie pociski mają dotknąć coś rzeczywistego, to przejdą nieszkodliwie po nad głową Bejły a uderzą w podstawy spółeczeństwa polskiego, nie stępią się na jezuitach, których tam niema, ale przenikną aż do katolicyzmu, który jest i stanowi najściślejszy węzeł broniącego się od zagłady narodu. Ztąd owa niesłychana powolność cenzury, która przepuszcza do druku zuchwalstwa i cynizmy, jakich nawet niema przykładu w krajach, gdzie się myśl, czy zła, czy dobra, bez żadnéj rozpowszechnia kontroli. Świadomi tamecznych stosunków zapewniają nas, iż najzaciętsi szermierze w téj walce pochodzą z biór rządowych z pod samego boku p. Bibikowa. Ztąd téż ten ogólny upadek literatury, nad którym p. Blepoński rozwodzi swe żale. Zobaczmyż teraz ażali on na ugaszenie tych płomieni wodę czy oléj przynosi?

Z wyżéj przytoczonego zamiaru zdawaćby się mogło, że autor, jeźli obejść się nie zdoła bez wtrącenia jezuity do swéj powieści, to w celu pojednania stron walczących, przedstawi

go tak, iż nieodzierając go z zacności moralnéj i dobréj wiary, da poznać błędy, niedostatki wychowania jezuickiego, oraz niezgodność onego z potrzebami niektóremi dzisiejszych czasów. Wprawdzie autor oświadcza, iż *ostatniemi czasami przesadzonym sposobem jezuitów malowano, jak naprzykład Sue w Żydzie Tułaczu, sposobem niegodnym nawet znakomitego talentu, którym ten pisarz obdarzony*, — wprawdzie jezuita p. Blepońskiego nie jest już zbrodniarzem noszącym sztylet pod sutanną a truciznę w brewiarzu, ale pod względem moralnym nie ustępuje w ohydności najodraźliwszym wizerunkom szkoły francuzkiéj. Litanowicz nie należy do zgromadzenia jezusowego, ale jest *ukochanym wychowańcem tych zakonników. Pewnieby należał do ich grona, gdyby ich całkowicie z państwa rosyjskiego nie wyrugowano. Lecz mając tu familijne stosunki i upatrując większy dla siebie pożytek, pozostał w kraju i w świeckim stanie, ale zachował w sobie ich ducha, którego już nie na korzyść zakonu, lecz na korzyść swą obracał.* Dostawszy się do domu pana podkomorzego Ordonowskiego, zrobił go za pomocą podchlebstw, wykopywanych przywilejów i familijnych szpargałów, z szlachcica arystokratą. Wprzągł go w swe jarzmo, został wielowładnym w całym domu, a jednak wzbudzał przekonanie, iż jest najniższym sługą wszystkich. Przezorny, nigdy otwarcie nie walczył, ale przeszkodę obchodził, podkopywał się pod nią, a nakoniec obalał. Podkomorzy wysyła go z synem swym Kaźmierzem do Krzemieńca. Kaźmierz zajmuje się miłością dla młodéj, pięknéj, lecz ubogiéj dziewczyny. Przeszkadzać tym dorywczym miłostkom nie mogło być celem Litanowicza. Owszem z ich przyczyny widział możność opanowania umysłu i woli swego wychowańca. Po takiem wstępnem przedstawieniu, autor śmiesznym a pożyczonym od Paskala sposobem, nastawia samego jezuitę na wyłuszczenie wszystkich swych zamiarów i przewrotności. W liście pisanym do rodziców Kaźmierza wypowiada Litanowicz swoje zasady. Zaraz po przybyciu do Krzemieńca starał się on, aby Kaźmierz swą garderobę pomnożył i zawsze był wedle ostatniéj mody ubranym, co w połączeniu z lekcyami tańcu oddzieliło go nieznacznie od kolegów, a tak za pomocą kilku fraków i świetnych kamizelek wyrobiło się w nim uczucie wyższości nad drugimi, a żarty i przymówki współuczniów jeszcze go więcéj od nich odosobniły. Drugą częścią zagadnienia był wpływ na kierunek nauk. W zgodzie z regułami *świętych swych mistrzów z Romanowa*, Litanowicz usiłował wzbudzić w swym uczniu jak największy wstręt do książek o historyi traktujących, *dowodząc mu, że historya jest nauką więcéj domysłową może niż inne, i że to tylko z niéj jest*

prawdą, co w obecnym czasie jako spuściznę przeszłych wieków otrzymaliśmy; co więc z historyi utwierdza ten byt obecny, za prawdę uznane być powinno, co zaś tę obecność obalać pragnie, jest fałszem. Z tego względu zatrzymał go przy dziejach starożytnych, nie wkraczając w średnie i nowożytne czasy, i odstręczając go od ostatnich zawiłością przedmiotu i mnogością narodów. Nic więc o nich Kaźmierz nie wie, ale natomiast zna doskonale jakiego kształtu były krzesła kurulne, jakim krokiem Salijscy kapłanowie na procesyach tańczyli, a z średnich wieków tylko to, z jakim obrzędem rycerze przystępowali do pasowania drugich i do turniejów. *Nauka bowiem dawnych czasów, w których działania ludzkie łączą się z wiarą, już dla nas zamarłą i pogrzebioną, nie może być w niczem szkodliwą, bo śmiało o téj wierze i o tych działaniach wyrokujemy; ale nie należy wstępować w epoki, w których prawdziwa wiara z działaniami ludzkiemi mięszać się poczęła, bo nieugruntowany umysł mógłby zupełnie poplątać swe wyobrażenia. Nie badajmy czynników tam w działanie wchodzących, tak jak i czytanie biblii nie każdemu jest dozwolone. Są to zbyt święte czasy i działania, by w nie oko świeckie wglądało. Mędrsi byli dawniejsi od dzisiejszych badaczy starożytności, którzy każdą rzecz może ze wszech stron, ale nie w zbawiennem wystawując świetle, nie umieją złagodzić co było złém, utaić co zakrytém być powinno i przeistoczyć to, co dla dobra ogólnego odmiennie niż istniało wystawić należy. Inaczéj postępują rozważni i sumienni historycy. Gdy teraz lekkomyślni pisarze, pisząc o wypadkach tego stulecia wyraźnie mówią, że Bonaparte koronował się jako Napoleon cesarzem Francuzów, że zwycięztwa na swój rachunek odnosił, — to Ojciec Loriot (1) Jezuita, w dziele świeżo wyszłém, dla wychowania przeznaczoném i o tych działaniach traktując-*

(1) Nie Loriot, ale Loriquet. Nie możemy położyć téj grubéj pomyłki na karb błędnego druku. Przekonywa ona nas, o czém już dobrze wiedzieliśmy, że pisarze występujący namiętnie przeciw jezuitom, nieposiadają żadnéj nauki, ale żywią się z drugiéj ręki i lada anegdotę z posłuchu nabytą za niezawodny fakt ogłaszają. Przy téj sposobności wspomnieć należy, iż p. Montalembert w izbie głośno wyzywał by mu rzeczoną książkę pokazano. Najzaciętsi przeciwnicy przyznają iż książka ta, lubo wydrukowana, nigdy w obieg puszczoną nie była. Jeżeli autor nie mógł się wstrzymać od popisu z swemi wiadomościami o jezuicie Loriot, to mógł bezpiecznie przebaczyć pannie Korzeniowskiéj, któréj szanowne prace żadnéj styczności z dążnością jezuitom przypisywaną nie mają.

cém, nie chcąc w historyi zostawić śladu uzurpacyi tego korsykanina, zręcznie powiada że w roku 1809, Wiedeń, stolica państwa austryackiego, została zajętą przez pana Markiza de Buonaparte, Generała-Lejtnanta najjaśniejszego Ludwika XVIII, króla Francyi i Nawarry. Opisuje daléj Litanowicz jakiemi sposobami przekonał swego ucznia że są wybrani ludzie, którym jedynie udzieloném jest prawo myślenia za drugich i moc regulowania wszystkich myśli; że takimi są wyznawcy Lojoli, że największa należy im się wdzięczność, bo oni uwolnili rodzaj ludzki od mozolnéj pracy myślenia i stworzyli moralną wygodę, gdyż opatrzeni są cudownym darem zmieniania pozornego fałszu w prawdę, lub uludnéj prawdy w fałsz, zgoła że to są Talmudziści nasi, w których posłuszeństwo dla komentarzów pisma przemaga nad posłuszeństwem dla samegoż pisma, wedle których pobudki działań, nie zaś same czynności, grzech lub zasługę stanowią, którzy wreszcie jedyni, za łaską Bożą wolę Boga rozumiejąc, torują dla nas ku Niemu drogę, ozdabiając ją ile możności, i tyle tylko pilnując aby tą a nie inną drogą, źle czy dobrze, postępowano. Naostatek ostrzega rodziców, że gdyby do nich doszły wieści o jakim złym postępku Kaźmierza, to niech się nie smucą, bo to jest mniejszém złem, a byle tylko od powyżéj wyłuszczonych zasad nie odstępował, to od tamtego spowiedź go oczyści. Takiéj teoryi odpowiadać musiała zdrożniejsza jeszcze praktyka. Powieść dopiero się poczyna w tym tomie, a zatém charakter i sprawy Litanowicza nie otrzymują tu jeszcze zupełnego rozwinięcia. Tyle jednak w tym wązkim obrębie autor nagromadził szkaradzieństw, iż wątpić można aby pędzel jego mógł mieć jeszcze czarniejsze farby w zapasie. Nie lękał się Litanowicz *popędów do płci* w swym uczniu, bo wiedział, *że w najgorszym przypadku jakiekolwiek im dogodzenie prędko młodzieńca uspokoi*, ale czego się obawiał, to silnéj i cnotliwéj miłości ku jednéj tylko kobiecie, jeźli ta kobieta nie była w położeniu odpowiedniém losowi, do którego rodzice Kaźmierza przeznaczali. Dociec więc prawdy postanowił, w tym celu zapoznał się z domem, w którym kochanka Kaźmierza przebywała, i sam się w niéj rozmiłował, pomimo że *zawędzone mnichowskiém wychowaniem zmysły jego i samolubna zimność serca były obojętnemi na kształt zewnętrzny kobiet.* Już mu teraz nie tyle szło o zbawienie wychowańca, ile o odpędzenie rywala. Począł więc go źle przed kochanką i jéj matką wystawiać, najgorsze podsuwać podejrzenia. Jął go śledzić w najdrobniejszym kroku, wysyłał nań szpiegów, oskarżał przed nauczycielami, donosił do Prefekta, zgoła czynił wszystko by mu zbrzydzić Krzemieniec i od kochanki oderwać. Gniew i zazdrość jednak

tak umiał ukryć, iż się Kaźmierz o niczém nie domyślał. *Z ciała jego jedna tylko żółć obojętnie zachować się nie mogła, i ze stłumienia gorących namiętności rozbiegła się po nim, żółtą farbą pociągnęła jego twarz, zalała mu oczy, i ztąd zwyczajny zimno-słodki wzrok jego nabył jakiegoś płowego wyrażenia, plugawiącego wszelkie przedmioty na które padał.* Walka wewnętrzna była tém silniejszą, że oddawna knuł był zamiar ożenienia się z jakąś kuzynką podkomorzego, starą, wyschłą, bezzębną, z długim i tłustym, wylatującym z głębi językiem, ale posażną panną. Ani był silnym porzucić téj staruszki z swemi posagami, ani miał dosyć energii by odpędzić obraz młodéj dziewczyny od siebie. Walka kończy się na obrazie (str. 205), który jest szczytem bezwstydu, i który mógłby być zachowanym w dziejach piśmiennictwa jako przykład nad jakie to przepaście prowadzi zapamiętała nienawiść, *zajadłość i zgryźliwość*, o któréj autor tak pięknie na wstępie rozprawia. W obec tego obrazu stawiamy i zapytujemy go gdzie jest jego sumienie, gdzie jest to w głębi serca uczucie sprawiedliwości, które w innych widzi *stłumionėm, bądź widokami osobistemi, bądź wzruszoną żółcią, bądź inną jaką nieszlachetną pobudką?* Zaiste, *czas zaprzestać konceptów, bo są chwile, w których największém głupstwem być zbyt dowcipnym, są makuły tem trudniejsze do wywabienia, iż częstokroć nie kto inny, lecz sam pisarz naznacza niemi siebie.*

Nieznane są nam dzieje szkoły Krzemienieckiéj jeno z opowiadania. Nie poczuwamy się więc do możności sądzenia o ile opisywane sceny z życia studenckiego i wizerunki profesorów są prawdziwemi, lub nawet tylko prawdopobnemi. W każdym razie zdaje się nam iż obraz ks. Osińskiego musi być nad wszelką miarę przesadzoną karykaturą. Wolimy natomiast, dla zatarcia przykrych wrażeń w czytelniku, zaczerpnąć we wspomnieniach pisarza, nieskończenie wyższego talentem. Godzi się nam dla przykładu obok siebie postawić przeciwleżne sobie uczucia, — jedno drobne i mściwe, które z wspomnień swych młodzieńczych przechowuje tylko przywary i śmieszności swych przełożonych, poniża ludzi, błahym wypadkom nad poważnemi daje przewagę, — drugie wzniosłe i miłujące, które wizerunki w pamięci z czcią strzeżone podnosi, oczyszcza, i wstawia do świątyni narodowéj chwały.

Oba poniżéj przytoczone ustępy są wyjętemi z dzieł poetycznych p. Tomasza Olizarowskiego. Pierwszy jest początkiem niewydanéj dotąd części drugiéj poematu ***Bruno***, drugi czytanym był na obchodzie, którym Krzemieńczanie w Paryżu uczcili pamięć Tadeusza Czackiego na dniu 5 Września

1847. Żałujemy iż dla braku miejsca bardzo wiele pięknych obrazów opuścić nam wypadnie.

Wstęp do drugiéj części Bruna.

— w Krzemieńcu.

Ogrodów pełne miasto, leży w wieńcu
Gór potopowych: które, jak u ściany,
Skamieniałemi potopu bałchany,
U podolskiego siadłszy płaskogórza,
To wieńce tworzą, to zielone łoża:
Dokąd, jakoby pod skrzydła Anioła,
Na ciche życie przywabiają sioła.
. . . .
Patrz! Z górą Bony Liceum wspaniałe
Rozdzielić miasto chcą na dwie połowy;
Lecz wielkie chęci i nieludzkie zmowy,
Wody potoku zepsowały małe.
Potok za karę u stóp Bony płacze;
Śniegami żyje, po kamieniach skacze;
Chwyta s parowów źródła nadchodzące,
Od gór ucieka, przez pola się cedza,
Białokrynickie rozwaliny zwiedza;
Nareście, prądy topi śpiewające
W Ikwie, co z gniazda Sobieskiego niesie,
W dani do Styru, wody ciche, czyste;
A srebrne bryłki, w Szepetyna lesie,
Ludziom wyrzuca na brzegi piaszczyste. (1)

S czworgiem wież przednich, Licealne mury,
S piątą kopułą italskiéj struktury,
Białe, wesołe, miłe, uroczyste,
Wznoszą się dumnie i malownie w czyste,
Sine gwiazd stropy, po nad czernie domów.
Dzieło to sztuki, niebędąc jéj trudem,
Niedziwiąc nawet wykonania trudem,
Śród panujących przyrody ogromów,
Umie panować, umie niebyć małém.
W tém osobliwie to pobożne dzieło,
Że gdziebykolwiek w przyrodzie stanęło,
Pośród Alp samych, byłoby wspaniałém.
Tak dawny szlachcic, śród swego powiatu,
Zdał się postawą roskazywać światu. —

(1) *Ikwa*, w dziele P. A. Słowaczyńskiego, pod tytułem: Polska w kształcie Dykcionarza.

W tym dworku mieszka nasz młodzieniec dziki
Wyniósł się z miasta w zamiejskie Tuniki.
. . . .
Młody odludek, dniem w książki się grzebie,
Nocą u okna w dumy się rozkłada:
Uchem i okiem zawieszony w Niebie,
Słucha sfer grania, gwiazd poruszeń bada.
Albo téż z Nieba zdjąwszy się, na łonie
Ziemskiéj przyrody, szuka pożywienia
Dla dzieci duszy, któremi swe skronie
Lubi zaludniać — aż do przeludnienia.
Jeżeli przytem z jarów wiatr zadzwoni
S posyłką, z wieścią co się w świecie dzieje;
Jeżeli miesiąc śliczną twarz odsłoni
I uśmiech biały po nocy rozleje;
Jakby sczarować, roskochać naturę,
Jakby chciał życie wyobrazić wtóre:
Jeżeli puszczyk jęknie, lub zakwili
Kochanek róży; lub arfa Lahiura (1)
Brzmieniem przeciągłem nadmieścia rozmili;
Albo tyrolem odezwie się góra;
I psów dalekie, zagórne szczekanie
Rozbudzi w jarach oman po omanie; (2)
Albo zaświszczy i zaryczy chmura,
Po niebios puszczy, nad ziemią, jak piekło,
Z otchłani w otchłań gnana burzą wściekłą:
To za bezsenność jest już nagrodzony;
Już ma czém żywić mar swych miliony.
Sam jak pustelnik owocami żyje,
Których ma dosyć w sadzie; wodę pije,
Którą do sadu źródło mu przynosi.
Okno mu dawa widoki ponure;
Właśnie o jakie dusza jego prosi.
Nasamprzód widzi w prawéj stronie górę,
Z zamkiem na głowie — w którym lud się chował,
Kiedy Bisurman po Rusi grasował,
A Lesi grali w sejmiki a sejmy,
Z sobą w zajazdy, z wrogami w rozejmy. —

(1) O panu *Lahure* czy Lahire, nieumiem dokładnéj dać wiadomości. Wiem tylko, że trudnił się w Krzemieńcu uczeniem na arfie, i robieniem arf. Wzmianka w poemacie o arfie Lahiura nie jest zmyśleniem..

(2) Wyraz *oman*, użył Bochdan Zaleski zamiast *echo*. Przyjąłem ten wyraz; lubo jeszczebym potrzebował innego na zupełne zastąpienie echa. Oman bowiem znaczy właściwie złudę; gdy echo oznacza złudne, szczególne odbicie się głosu.

W tym zamku zgrzytał Swidrygieł burzliwy;
W braterskich więzach gnił za żywot krzywy;
Ninie ruina stercząca w niebiosa, —
Smutna dzikiego pamięć Krzywonosa; (1)
Minie samobójstw i niecności innych
Miejsce bezpieczne; wedle wieści gminnych
Skład wielkich skarbów, których strzegą czarci
Jacyś niezwykli: tak bardzo przywarci
Do swojéj straży; że nic na nich prośby,
Nic cyrografy, nic nie mogą groźby;
Niezłomny opór processiom stawią:
A pojedyńczych śmiałków srodze dławią. —
. . . .
. . . . . . Skrzydła ośmiu stuleć
Przelatywały tędy, rzadko ciche,
Zwykle burzliwe, a nierzadko liche.
S tém wszystkiem, miło jest u tych kamiennych,
Sczerniałych zębców, puścić myśl w rojenie;
Z jawnych na poły, a na poły sennych
Widzeń byłości, ujrzeć prawdy cienie,
Rzeczywistości ujaśnione licem,
Słońca prawd rzkomym zjawione księżycem.

Następne góry, wołyńskie Parnasy,
Nagie lub strojne w różnoliste lasy,
Z za pleców jedna drugiéj się wychyla,
I czém ma która chwali się, przymila.
Rodzime skarby miejscowych powieści,
S których dziś Sztuka mieć nie może cieści. (2)
Kiedyś, za sprawą swego Zorjana, (3)
Albo którego s potomków Bojana.
Jak odsłonione kaledońskie cienie,
Lub rozbudzone córki stepów, jarów,
Przed serc oblicze wyjdą na promienie,
Z nieprzepłaconą tajemnicą czarów.

W drugim widoku Liceum się bieli.
O białość murów nieraz się odstrzeli
Czarna myśl Bruna, i powróci w bieli —
Jakby wracała od rajskiego proga
Na przewodniczkę uczuciom do Boga.
W téj zbyt dla ulżeń krótko trwałéj chwili,

(1) Zamek krzemieniecki wzięli i do upadku przywiedli kozacy z oddziału Krzywonosa w 1648 roku, po nieszczęśliwéj korsuńskiéj potrzebie.
(2) Cieść, pastwa, łup, zdobycz.
(3) Zorjan Chodakowski.

S przeszłości mara przez serce przeleci;
Ogniem spomnienia życie się rozmili,
Dusza się zacznie ocieplać.... Wtém trzeci
Widok s kolei, jak Meduzy głowę,
Podstawi smętarz: ognie spomnieniowe
Opadną w przeszłość, lub w przyszłość ulecą,
Lub, gdy zostaną, zimniéj od gwiazd świecą.

Wyjątki z wiersza czytanego na obchodzie pamięci Tadeusza Czackiego.

. . . .
Miesiąc z wysokich niebios promienie rozlewał.
Zegar jęknął godzinę. Ptak Jutrzenki śpiewał.
Mary sen powtarzały. Pamięć w zapomnienie
Rzucala swe obrazy. Wolniało myślenie.
Jakieś z omamień świata w skroniach tkwiły tony.
Pomiędzy mary wkradł się sen niedopatrzony —
I znowu we śnie żyłem.
Licealne mury;
Krzemienieckie w nadziemskiém uślicznieniu góry;
Srebro płodząca Ikwa; i pola krzemienne;
I lasy śpiewające; i niebo promienne;
I ludzie tacy swoi, tak w serce wsnowani:
Wszystko to, w kształt oazy śród sennéj otchlani,
Rospoczęło widzenia i doznania moje.
. . . .
Kto jesteś? bądź wyraźnym, i zbliż się na słowo!
Zdejmij mglę ze swéj twarzy! niepojmę inaczéj
Czego chcesz, co skinienie ręki twojéj znaczy?
Wskazujesz na Liceum. Chcesz bym szedł za tobą.
Niepójdę; lub wyraźną pokaż się osobą.
Cień Czackiego! Więc prowadź choć do Aculotów (1).
Krzemieńczanin za Czackim gdzieżby pójść niegotów?
Za wielkim krocząc duchem, wszedłem do kościoła
Czarnoryżce, (2) unosząc przerażone czoła,
Skryli się za filary; krzyknąłem: złodzieje!
Gdzie jestem? Carskie wrota widzę... Co się dzieje?
O duchu opiekuńczy murów tych szanownych,
Tego przybytku nauk zacnych i starownych,
Przemów! uspokój serce, i odejmij smutek.
Tenże obywatelskich, niezwykłych prac skutek?
Też to są czcigodnego owoce żywota?

(1) Bajeczni mieszkańcy środka ziemi.
(2) Czernce, zakonnicy grecko-rosyjskiego wyznania.

Co tu znaczą ci czernce? co te carskie wrota?
I gdzieżem to wprowadzon?... Nikt się nieodzywał.
Puszczyk tylko jękł w stropie, resztę wiatr dośpiewał.
Zapaliły się świece. Pośrodku kościoła
Stał katafalk wysoki. Na krzesłach dokoła,
W profesorskich paradnych mundurach, siedzieli
Dyrektorowie szkoły śród nauczycieli.
Po prawicy wziął miejsce jenerał Kropiński;
Przy nim z Lernetem Czech siadł; Ściborski, Jeliński
Usiedli wedle Czecha. Po lewéj połowie
Wyleżyński, Moniuszko, dwaj wizytatorowie,
Z Lewickim i Jarkowskim, od ołtarza strony,
Reszta ode drzwi siadła i Jurkowski uczony;
Hreczyna, matematyk wyborny, cierpliwy;
Kołpaczkiewicz szczególny; Strzelecki straszliwy;
Jarkowski Paweł, między Liceum zaszczyty
Sprawiedliwie mieszczony; Besser znakomity;
Jenc zawcześnie zgaszony; Euzebi Słowacki,
O którego z Śniadeckim spór prowadził Czacki;
Szostakowski, Mirowski, Łuczyński i drudzy,
W nauczycielskim względzie narodowi słudzy,
Jakby s kurulskich krzeseł, szanowną dokoła
Rostoczywszy powagę, chylą z myślą czoła,
I zdają się wmyśliwać w arcy męża czyny,
Który sercem i duchem wniknął w późne syny.
Było tam jeszcze kilku młodych wieszczów polskich
Wielki poeta Maryi; piewcy dum podolskich; (3)
Leńkiewicz, który zbudził nadziei niemało,
I byłby kraj swój odział nieubogą chwałą,
Gdyby nie śmierć zawczesna, co z losem zmówiona,
Kwiaty na wpół rozwite zrywa s Polski łona.
Po bokach młódź, Czackiego *nadziei młodzianie:*
Takie zwykł dawać uczniom krzemienieckim zwanie.
Nad ich głowy nadzieje aniołami krążą:
Aniołowie miłości serc promienie wiążą
W święty węzeł, mający trwać po wszystkie chwile,
Po wszystkim świecie żywym, a nawet w mogile;
I oznaczać tak brata słowem *Krzemieńczanin*,
Jak niegdyś oznaczało słowo chrześcianin.
Tak jest! rzekłem do siebie — do swojego serca;
Nie wszystkiego cię jeszcze pozbawił wydzierca;
Pozostał ci talizman, którym się ożywiać
I święcie się pocieszać będziesz i rostkliwiać,
Słodzić gorzkie uczucia, bielić myśli czarne,

(3) Tymon Zaborowski i Maurycy Gosławski.

Budzić miłe natchnienia i pieśni niemarne.
Potrzykroć zawołałem: bracia Krzemieńczanie!
Tysiączne w odpowiedzi zbudziłem wołanie.
Głosy były serdeczne, słowa przyjacielskie;
W słowach uczucia istne braterskie, anielskie.
Tysiące serc spytało co mi jest? — płakałem;
Całe serce narazie wypowiedzieć chciałem;
Całe naraz pokazać, wydać, rozsłonecznić;
W chwilę zbić wszystko życie, i chwilę uwiecznić.
Lecz serce chcieć niezdolne od ócz niezawiśle,
Zwikłało się od widzeń, zwichnęło w zamyśle.
U wielkiego ołtarza, w bieliznie grobowéj,
Stała postać niewieścia bez ruchu, bez mowy.
Głowa ku ołtarzowi na bok przechylona;
Źrenica gorejąca w Pański krzyż wniebiona,
Ręce na piersiach, na krzyż pobożnie złożone.
Uczucia i myślenia licem wyrażone,
Lubo w martwéj powłoce, żywe są dotyła,
Że zda się, jakby tylko zamyślenia chwila,
Ku niebu zamierzone powstrzymując loty,
Rzekomie sposążyła żywéj kształt istoty.
Któż jest ta białogłowa? To błogosławiona
Omiecińska nieboszka, duszą przyrośniona
Do Krzemieńca, do Polski: dla których miłości
Nie odchodzi w edeńskie wieczne dalekości —
Na pożywanie słodkich owoców żywota,
Które siejąc na ziemi, w niebie zbiera cnota.
. . . .
Niekiedy w swéj ziemiańskiéj jawi się postaci,
Kraj, cudu spomnieniami, jak anioł bogaci.
Widziano ją, przy letniéj miesiąca gromnicy,
Klęczącą przed obrazem Chrystusa Rodzicy.
I oto, kiedy zmarli iszcząc żywych chęci,
Obchodem niecielesnym czynią hołd pamięci
Człowieka, który światło dobył i rosszerzył,
Jak gdyby Mojżeszową laską w Ruś uderzył —
Ta przyjszła, i w obchodzie wzięła udział święty,
Istny obraz modlitwy w ludzki kształt ujęty.
Pozdrowienie i pokłon dano jéj: śród cześci
Bezmowna, nieruchoma jak posąg niewieści,
Nagle ręce rozwarła, na twarz krzyżem legła —
Ze mszą wychodzącego kapłana postrzegła.
Ksiądz biskup Aloizy (4) wstrzymał nabożeństwo,
Wskazał na carskie wrota, ogłosił przekleństwo.

(4) Osiński.

Uniata Sobkiewicz, kapłan poważany,
Były proboszcz Tunicki, z probostwa wygnany
W sposób godny przekazu potomnemu światu:
Właśnie mszą miał u Trójcy świętéj majestatu,
Gdy wpadła z bagnetami prawosławna rota,
Wypchnęła księdza z cerkwi, wniosła carskie wrota
I wprowadziła popa do świętego progu
Z carochwalstwem, z obrazą i ludzi i Boga. —
Duch unii, duch święty w jego piersi wstąpił,
I do końca żywota serca nieodstąpił.
Gotów był na męczeństwo. Czacki uszanował
Przykład, wielkiego serca proboszcza zachował,
Uczynił kapelanem ukochanéj młodzi:
Zyskał opokę cnoty śród piekła powodzi.
Sobkiewicz wielką myślą przejął się, i wiele
Niósł Czackiemu pomocy w wiekopomném dziele.
Duch jego się obraził, patrząc na złoczyństwo
Najstajaszczego carstwa, schyzmy barbarzyństwo;
Wyszedł na środek nawy, rozpostarte ręce
Wzniósł do góry, zapłakał, w gniewie świętym, w męce,
Taką skargę w głos począł: „Ojców naszych Boże!
Coś tu nam na niebiosach pozapalał zorze,
A rozmnożył przybytki święte swe na ziemi,
Byś chwalon był przystojnie językі wolnemi!
Pobrane są twe domy mocą s piekieł wziętą;
Sercom skarby wydarto, i drogi przecięto
Któremi lud tutejszy zwykł zasyłać modły.
O Chryste! nowe włócznie serce Twe przebodły,
Patrząc na te tu zbrodnie, którym równych niema
Od Twego umęczenia i zbrodni Kaima.“...
Łez nowy potok wezbrał, i poczętéj skargi
Nie dał skończyć, oniemił drżące starca wargi.
Śród pomięszanych zjawień, jak ze mgły wysnowan,
Przesunął się zakonnik, głową w kaptur schowan.
Kafowéj barwy na nim s samodziału szata.
Broda już pośrebrzona, piękna, na pierś zlata;
I snaźna (5) twarz rumiana s kaptura wykwita;
I źrenica błyszcząca powieką przykryta,
Blaski z duszy czerpane na policzki leje,
Myśli i uczuć święte wyzwierciadla dzieje.
Do uśmiechu podobna treść jego oblicza,
Obecność jawi bóstwa, w niebo wtajemnicza,
W tajemnice niebiańskie licem wprowadza
Duch bogaty, zyskana w służbie Bożéj władza.

(5) Snaźny, tyle co piękny. (Wyraz dawny).

Bezwiestnie żywot jego świecki się przejawił;
Tylko powieść ktoś o nim w Porycku zostawił:
Że szabli przekazanéj w szanownéj puściznie
Nie zhańbił zapomnieniem, i zaniósł Ojczyznie
Krwią niecnych najezdników ozdobiony ładan. (6)
Wiary ojców obroną przejęty, owładan,
Oddał się służbie Bożéj, został zakonnikiem;
Zdala świata wielkiego był prawdy rzecznikiem.
Pierś jego rozgorzała prawdą nieśmiertelną;
Usta jego rozkwitły wymową rzetelną.
Cichy, skromny, pobożny, wolen od przesady,
Wiódł żywot naustronny, godny wejść w przykłady.
Nie ukrył się przed Czackim; i odtąd Krzemieniec
Zmuszon przenieść nad ustroń, Geniusza jeniec,
W pierś młodzianów nadziei przeszczepiał gałąski
Prawdy z nieba wyrosłe, krzewił cnót zawiąski.
Jak wołyńskie duch polski zapłodnił powietrze,
Tak s pamięci Wołynian Moskwicin nie zetrze
Imion s Czackim zrośnionych. Ni wiekowa stopa,
Ni strasznéj doli ręka nierzuci Prokopa
W pustynie zapomnienia. Cienie się upomną
O słusznie przynależną pamięć napotomną.
O Krzewickim Prokopie, sławnym kaznodziei,
Pamięć się nierozwieje śród zdarzeń rozwiei.
Prędzéj giną narody niźli tych imiona,
Co byli jak iglice, po których plemiona
Ściekł duch Boży, myśl wielka, lub żarzewne słowo.
Wyszedłszy na kazalnię, twarz przybrał surową
Ojciec Prokop, gdy rzucił po kościele okiem;
Świętym gniewem zapłonął; buchnął słów potokiem,
Którym o czarnoryzców tak uderzył słuchy,
Że znikli jak piekielne przeżegnane duchy.
Następnie wszczętą skargę Sobkiewicza kończył,
I w głosie podniesionym te słowa dołączył:
„Wiara, miłość, nadzieja są więc pod zakazem!
Moskale! jak wy Boga obrażacie razem.
Pocożeście bałwany wywrócili stare?
Pocożeście przyjęli Chrystusową wiarę?
Wieprze, płazy, zwierzęta dzikie i potworne,
Przeobrażone w ludzkie jestestwa pozorne,
Niepowiadajcie żeście jedno s tymi plemię,
Których niszczycie, którym wydzieracie ziemię,
Język, wiarę, i wszystką naddziadów iściznę,
By w carze znali Boga, a w Moskwie Ojczyznę!

(6) Ładan, podarek dla Bogarodzicy

W Moskwie, któréj jeśliście sami zaprzańcami;
Któréj nawet nazwiska wstydzicie się sami.
W carze, który szatańskim gniewem się zapala,
Gdy ujrzy czynność serca, choćby u Moskala.
Niestanie się jak chcecie: prędzéj Werchotury
Altaje się zejdą z Karpackiemy góry,
Jak duch polski z moskiewskim. Marne, marne trudy
Słońce zgasić potrzeba, by złączyć te ludy.
Niebaczni! wieść się dają przeciw Boskiéj woli
Niewolnicy! świat cały chcą wziąć do niewoli.
Glupcy! myślą panować nad ludzkim rodzajem,
Jak mrozy za Uralem, wichry za Altajem.
Ale kruche naczynia wypełnione carem,
Wywrócą się, rostłuką, i skorup ciężarem
Przygniotą myśl zbojecką w Moskwy pierś rzuconą
Sępów germańskich, którym *Nastajaszczéj* łono
Cary dali za gniazdo, wypłoszą za Odrę,
Do Szwarcwaldu, przetarte, trzeźwe oczy modre.
Przyjdzie zaiste pora opamiętać zdolna;
I od mocy złych duchów ludzkość będzie wolna.
Słońce oświaty wniknie w te ciemne czeredy,
Wygoni z nich szatana z carem w Samojedy.
Brońcie się od zwątpienia! wierzcie w przyjście cudu!
Zdjęty będzie płacz z twarzy i sromota z ludu.
Niech się własnego cienia przerazi złośliwy!
Uweseli się, ujrzy pomstę sprawiedliwy;
Ręce swe zmyje we krwi żyjącego w złościach,
Bespiecznie siedzić będzie w pokoju pięknościach,
W bogatém odpocznieniu. Skończą się dni smutku,
Pan przymierzy cierpienia, osądzi ze skutku;
Poda rękę, upadłych dźwignie, czas odmieni,
Biada łupieżcom! będą nawzajem złupieni.
Zstąpi z nieba na ziemię wielka gniewu możność.
Ucisk i nędza spadnie na wszelką bezbożność.
Niesprawiedliwość ludzka ujrzy sprawiedliwość.
Przebierze się i z brzegów wystąpi cierpliwość
Rospłomieni się serce i głowa ostygnie.
Hardy w proch się zaryje — nikt go niepodźwignie.
Bogacz jęknie przekleństwo na swój żywot lichy,
Jako wiele miał świeckiéj roskoszy i pychy,
Tak wiele męki różnéj i płaczu dostanie.
Przyjdzie pora zwycięstwa: przyśpiesz Chryste Panie (17).
. . . .

(7) W tém miejscu wyrażenia wzięte są z pisma śgo.

Otwórzcie się brzemienne duchami polskiemi,
Otwórzcie się mogiły, skarbce ruskiéj ziemi!
Wystąpcie dawne cienie wielkomyślnych męży,
Niezamierzchłych stulećmi, przesławnych z oręży!
Podnieście się, jak obłok podnosi się z wody!
Nasiąknione waszemi przeloty, przechody,
Powietrze wejdzie w płuca synów, raka strawi,
Co ich dusze rostacza; serca ich zaprawi
Pożądaniem cnót waszych: głowom wróci zdrowie,
Duch dźwignie się z upadku. „Wystąpcie mężowie!"
Umilkł. I zaraz jakby w blachach lwy się wstrzęsły;
Jakby ze świstem, wichrze stare zbroje chrzęsły.
Echo wielkie, zapadłe, stuleciom z pod stopy
Wyrywając się, z chrzęsty piętrzyło się w stropy.
Rozmaici rycerze wejśli do kościoła,
Jare tury, lwy, orły: u każdego czoła
Porasta zorza myśli, wszystkie tworzą razem
Jednę myśl: wszystkie twarze jednym lśnią wyrazem.
Po przodzie Kniaż Ostrogski. Tłum wołyńskich męży
Kroczy za nim, ku niemu każdy oczy pręży.
Wojewodowie ruscy, i inni dostojni,
Stąpali orszakami, rozmaicie zbrojni.
Podniosłe ich postacie i butne postawy;
Przypomnienie wiekami niepożytéj sławy;
Pancerze i kontusze; surowe wejrzenia,
Iskrzące się z pod przyłbic; a pełne natchnienia
Oblicza niepieszczone rycersko pochmurne;
Ich źrenice jastrzębie, orle lub lazurne;
Barki, na których państwa budynek spoczywał;
Piersi, o które półświat moc swą rostrzaskiwał,
Kordy nie dla niedzieli wiszące u boków,
Wszystko to do ożywczych chwytało uroków.
Zagrały myśli męskie i uczucia jare.
Pokazały się czasy wielkie, lackie, stare.
Bohaterów w obrazach stanęły żywoty,
Hojnie bogacąc pamięć dziełmi polskiéj cnoty:
Co niepatrząc na liczbę, święconemi kordy
Niezliczone gromiła tłuszcze, chmary, hordy.
A z pokoleń wywodząc pokolenia bitne,
I myśli i uczucia przekazując szczytne,
Potrafiła siedziby słowiańskiego rodu
Zachować od zalewów Wschodu i Zachodu;
Obcém jarzmem spodlone zaopatrzyć tłumy,
Złotą myślą wolności i uczuciem dumy.
— Tutaj, rzekłem, mądrości narodowéj księga:
Kto Polak, tu z zapałem niech po mądrość sięga,

Niech się tutaj naucza jak żywota użyć,
By ojczyznie korzystnie, sobie wdzięcznie służyć.
Ty, co chcesz się przemienić jakby w palmę z dębu
Pójdź, podumaj u Polski jagielońskiéj zrębu,
Powołaj do rozmowy pola i kurhany,
Uroczyszcza, klasztory, króle i hetmany:
Jeśli lwa albo orła niepoczujesz w sercu,
Niemyśl żeś jest Polakiem: już po tym probiercu
Możesz być filantropem, ubiquistą, Niemcem,
Czem zechcesz — w Polsce będziesz tylko cudzoziemcem.
Myśl odjęła mi mowę. Pojrzałem dokoła,
Nikt z żywych mnie niesłuchał. Chciałem wyjść z kościoła,
Śród żywych o żywego zawołać słuchacza:
Wtém Czacki wstaje z trumny; chęć mą przeinacza.
Napełniam się roskoszą; widzę go, usłyszę! —
Mąż ukochany przerwał w taki sposób ciszę.
„Czterdzieści lat minęło, kiedy w uniesieniu
Ojczyca, miły odkaz czyniąc pokoleniu,
Otwarłem te podwoje do nauk przybytku,
I zaszczepiłem drzewo rodzajne pożytku,
Co ogrzane sercami obywatelskiemi,
Na wołyńskiéj, kochanéj, bujnéj, wdzięcznéj ziemi,
Pod okiem mającego krew Jagiełłów rodu,
Urosło na ozdobę, na chlubę narodu.
Już nie samym mogiłom i pobojowiskom,
W dopomodze zakonom i rodzin ogniskom,
Pozostało polskiego przechowywać ducha:
S tych murów naplemienna wzięła głos otucha.
A gdy Wołyń ze swemi współ-sieroty długo
Oblewał grób ojczyzny łez tajemnych strugą;
Gdy z ubiegiem lat próżnych w nieméj patrzył męce
Na mogiłę — sypaniem, któréj nasze ręce
Nie zostały skażone — myśmy s księgą dziejów
Na jéj wierzch wystąpili, głosząc dobrodziejów:
Których na własność światu oddane imiona,
Wdzięczność z mową naddziadów zaniesie w plemiona.
. . . .
Polskę na nowym progu nadziei i chwały
Lub z wątpienia i hańby, losy zatrzymały.
Nie można bez wzdrygnienia spoglądnąć w tę stronę;
Nie można niezakrzyknąć: jak losy szalone!
A jednak bez zarzutów ciężkich, sprawiedliwych,
Nie można ócz odwrócić i niewesprzeć żywych.
Do was więc duchy polskie! których tu oglądam,
W imie żywych Polaków, odzywam się: żądam,
Byście nieśli pomocę ziemskiéj swéj Ojczyznie.

Nawet sława nie zdoła ostać się w iściznie,
Jeżeli się nie wdamy, jeśli przeszłość naszą
Pchną w zamierzch niepamięci, i serca pogaszą
Które ogniem poczętym w dziejowym zaranku,
Goreć w potrzebie rodu winne bez ustanku.
Przypatrzcie się do jakiéj dobiegają mety;
Krwi naleją nam w groby; lecz nie téj, niestety,
Którą podlane, wdzięcznie świeżą się wawrzyny,
Zmartwychwstają narody, i budzą się czyny
Bujne, śmiałe, lwie, orle, nie marne, nie podłe.
O jakom umęczony! serce me przebodłe
Wypaść raczéj chce s piersi, jak czuć i pozostać,
By oglądać okropną rzeczy przyszłych postać.
Co klęsk nowych! co nieszczęść! co zgrozy! co sromu!
Śród piekielnéj powodzi, jeśli swego promu
Nie podamy nadziei, pozostaną skargi,
Żale, klątwy, bluźnierstwa, o nicość zatargi.
Żadnéj potęgi wskrześnéj, chęci, siły żadnéj
Niebędzie przeciw sile gwałtownéj, zagładnéj.
Straszne się nawlekają na ród nasz koleje.
Potrzeba dać ratunek, ocalić nadzieję.
Pasmo sporu czas zwikłał w węzeł Gordiusza;
Niecierpliwość młodzieńcza chłopski nóż porusza.
Lecz niewie że żywotne zwikłane są pasma;
Że je tylko rozwikłać sam cierpliwy czas ma.
Bez ducha i bez serca, samą czczością marzeń
Parci, prężą się z dołu by czas pchnąć do zdarzeń;
Ale niesą gotowi na zdarzeń przyjęcie;
Za lada poruszeniem zgubią się w odmęcie.
Niedojrzałe owoce niecierpliwość zrywa:
Skosztowawszy porzuca, na szkodę pożywa.
Wypadki od natury i czasu pochodzą;
Mędrcy wiedzą ich porę, i oczyma wodzą
Tak po łonie natury jak po liczbach czasu.
Niedoświadczenie niezna różnicy upasu
Od drzewa bespiecznego, co owocem żywi
A cieniem siły krzepi. Nigdy niecierpliwi
Niedosięgną do celu: zawsze wprzód upadną
Nim się w myślach połapią, dziełem swém owładną.
Wszakże nad niecierpliwych, bądźmy dla nich słuszni,
Więcéj złego przynoszą mierni, małoduszni.
Często śród małodusznych wielka dusza kona,
Występną lub szaloną srodze okrzykniona.
Najwięcéj jadu mieści mierność nieszczęśliwa:

Na orle geniuszu poloty dotkliwa.
Poziomėj swéj przyrodzie przymuszona uledz,
Chciałaby resztę świata dostać pod strychulec.
Mierni a małoduszni nie różnią się wiele:
Garścią świat ich obejmiesz, piędzią zmierzysz cele.
Im zwykle w przeciwnościach widzą się olbrzymy;
Z niebem zrosłemi góry wydają się — dymy.
Do nikczemnego życia wciąż żywiąc powody,
Rozwodzą się z nadzieją od byle przeszkody.
Odwodzić niebezpiecznie, ostrzegać daremnie;
Byle mięso ich rosło, wolą żyć nikczemnie.
W zawikłaniu sumienia, w bezczynności duszy,
Stają się istotami, których nic nie wzruszy.
We wnętrznościach narodu są jak w morzu skały;
Jak łódź pryśnie, gdy o nich otrze się duch śmiały.
Obok nich w pyle wieków drzemie dziejów księga.
Gdzie oni, geniuszu kończy się potęga.
Ciepła w nich mało więcéj niż dla mięs wyrobu;
Ogień święty w nich zanieść Bóg nie dał sposobu.
Słońce nauk do ich głów nie dosięgnie cieplém;
Natchnienie przejdzie marnie nad ich sercem skrzeplém;
Jak śród ślepych rozwinie wyobraźni tęcze.
Umiejętności tkanki, jak w pustkach pajęcze,
Rozwiesi wróg w narodzie, by na polskie duchy,
Sam tkwiąc w środku, czatował jak pająk na muchy;
Byle im nie przeszkadzał żuć, łykać i trawić,
Może zresztą chociażby ich potomstwo dławić.
Śród nich płodzić się mogą Niemcy i Moskale,
Jak węże na Polesiu, na wschodzie szakale.
Wielkiém nieszczęściem kraju są takie jestestwa
Ich liczbę niepodobna przywieść do nicestwa;
Pomniejszyć tylko można. — Ciebiem przyzwał właśnie —
Mówił do mnie — ażebyś stąd na żywe jaśnie
Myśli me wyprowadził, i do żywych słuchów
Przeniósł rzeczone słowa przez ducha śród duchów.
Wiernych i małodusznych zmniejszyć liczbę trzeba.
Powiedz niewiastom polskim, zaklnij w imię nieba,
W imię ziemi Ojczystéj, niechaj będą skromne
Przy wspaniałéj prostocie; mniéj na większość pomne,
Więcéj na lat dojrzalszych ważność przeznaczenia.
Niechaj pomną, nowego matki pokolenia,
Że im rodu polskiego dane jest zachować
I przedłużyć jestestwo, — Polaków wychować.
Niech ze śmiałością pełnią święte powinności
Małżonek, matek, Polek. Cudny dar miłości,

Władzę wdzięków, nie w marnéj przydaną ozdobie,
Niech mają w uświęceniu, by mogły przy grobie
Pocieszyć się spomnieniem, że cnota obrazy,
A piękność niedoznała nawet cienia skazy.
Kraj potrzebuje synów śmiałych w cnocie; skromnych,
Umiarkowanych w żądzy; w sercu nieprzełomnych;
Podniesionych na duchu; życie nieść gotowych
W ojczystych gniazd obronie; natchnionych; wzorowych:
Takich, jakimi byli wielcy naddziadowie,
Jakimi rzadcy dzisiaj widzą się synowie.
A gdy pierwsze wrażenia są od matek brane;
Polki powinne prawdy w sercu zapisane
Czytać ciągle myślami, w uczynkach powtarzać,
Duszę duszą rozwijać, serce sercem stwarzać,
Nad zawiązkiem sumienia czuwać pilnie, święcie;
Powinności Polaka wykształcać pojęcie.
Odciskać na umyśle i na sercu wzory
Wieszczów jak Kochanowski, królów jak Batory,
Rycerzy zawołanych jak Stefan Czarniecki,
Kapłanów godnych cześci jak Paulin Kordecki,
Prawych obywateli jak twórcy ustawy
Powołującéj naród do życia i sławy.
Umieć z życiem społecznem pogodzić domowe.
Nie do zabaw jedynie mieć serce i głowę.
Nie brać za wykształcenie wysadność niezgrabną.
Stać się przez same cnoty przyjemną, powabną.
Nie tęsknić za miastami; nie nudzić się wiejskiém
Tak łatwo błogiém życiem, często czarodziejskiém.
Nad świętemi ogniami czuwać; kochać, wierzyć;
Religią, moralność, oświecenie szerzyć.
Sprawić żeby u świata Polki były wzięte
Jako drugie Spartanki lub Niewiasty święte;
A powiększy się liczba prawdziwych Polaków;
Zmniejszy się małodusznych mnogość i dziwaków.
Powiedz młodzianom polskim, i sam z mojéj mowy
Wydobądź treść posilną dla serca i głowy.
Potrzeba, by w narodzie uleczyć zepsucie,
Przeszłością krzepić mądrość, przyszłością uczucie.
Nie należy się patrzeć w przyszłość jak w bezedno;
Za trochę soczewicy i potrawkę jedną
Odstępować godności swojéj pierworodnéj,
Służyć sprawie narodu swojego niegodnéj.
Kto ciała nie szanuje ducha lekceważy;
Dusza tam leci w zamęt gdzie serce bez straży.
Umysł od serca, serce od umysłu kwitnie:
Kto z czuciem myśl kojarzy, czuje, myśli szczytnie;

Myślą umarza zbrodnie, czuciem cnoty wskrzesza:
Ma w życiu znak przewodny jak obłok Mojżesza.
Więc potrzeba, by wrócić stać się prawa godnym,
Poddać się rozumowi, by zostać swobodnym.
Wyryć swe obowiązki na serca tablicy,
I nieodwracać od niéj w żaden czas źrenicy.
By słońce zoczyć, każdy wydaj z siebie promień;
Iskrą z iskrami łącz się, by wybuchnął płomień.
Mnożcie się w duchu polskim, bo ten jest duch prawy.
Serce z sercem związujcie stawając do sprawy.
Jedna iskra po wszystkich sercach niech przeleci,
I myśl jedna we wszystkich głowach niech zaświeci:
Myśl Chrobrego, Łokietka i Trzeciego Maja.
Granice wasze: Rubon i ten co z Waldaja
Przez porohy limanem do Euxynu wkrocza,
I gdy go z jednéj strony do boków przytrocza,
Z drugiéj Bałtyk, sarmackiém morzem dawno zwany,
Śle gościńcem z bursztynu hołdowne bałchany.
Macie w Karpatach mocne, niebosiężne ściany.
Odra was od zachodu sprawiedliwie dzieli.
Lecz przedwszystkim potrzeba, abyście wiedzieli,
Że niebo, pełne niegdyś nad wami opieki,
Zaludniane duchami polskiemi przez wieki,
Wypustoszeje na raz, i nie będzie ducha
Któryby dopomagał, i nie będzie ucha
Któreby was słuchało, i nie będzie ręki
Któraby odganiała od waszych serc męki,
Jeżeli w sercach waszych, współziomkowie moi,
Pragnąca się osiedlić prawda nie ostoi,
Że póki do jedności nie przywiedzie zgoda,
Póty ręki pomocnéj Opatrzność nie poda;
Straszliwego wyroku niebo nieodwoła:
A klęskom czas zapobiedz niezechce, niezdoła." (8)

Aben-Hamet, dramat we czterech aktach. Kijów w drukarni T. Glücksberga 1847.

Jużeśmy nieraz żalili się na powolność komunikacyi między księgarzami polskimi. Aben-Hamet w trzecim ledwo roku do Wielko-Polski się dostał. Tak późne przybycie dramatu nie wznoszącego się nigdy nad bardzo pospolitą mierność może

(8) Mowa ta powiększéj części wzięta jest z mowy Czackiego, mianéj dnia 1. Października 1805 r. przy otwarciu Gymnazium Wołyńskiego, w Krzemieńcu.

usprawiedliwiłoby nasze o nim przemilczenie, gdyby treść jego czerpana w romansie Chateaubrianda nie zmuszała nas do powiedzenia słów kilka o niebezpieczeństwach i trudnościach przemiany powieści na dramat. Pierwszego ledwo rzędu geniuszom wolno na tę niebespieczną puszczać się próbę bo niezgłębiona przepaść, dobry romans od dobrego dramatu rozdziela.

Romansista opowiada nam czynność zupełnie dokonaną, jako wypadek w przeszłości położony, jako zamkniętą całość. Wymawiając pierwsze słowo powieści wie on doskonale jéj środek i jéj koniec, nic go też w przechodzie nie kłopoce i nie mąci; wedle swéj woli, to się wstrzymuje, to wolnym to znów szybkim postępuje krokiem, a zawsze wedle swojego osobistego zapatrywania się na rzeczy, zawsze z zupełną swoją fantazyi wolnością, bo zadaniem jego przedstawić usposobienie umysłu i wypadki, które zna poprzednio, które sądzi i wykłada jak filozof, a jak artysta grupuje. Jeżeli czasem do powieści dyalog wprowadza, to jedynie dla ułatwienia analizy charakterów. Dyalog z małym bardzo w nowém powieścio-pisarstwie wyjątkiem, nigdy w romansie do prowadzenia akcyi nie służy. Jedynym tu wyjątkiem, jak Göthe uwagę zrobił, jest romans w listach pisany. Tu listy tworzą rzeczywisty dramatyczny dyalog, bezpośrednio na akcyą wpływający, a dobry tego rodzaju utwór, *np.* Cierpienia Wertera, jest lepszym dramatem jak nie jeden dramat na akty i sceny rozdzielony.

Tak wiec romans przedstawia głównie ***usposobienia umysłu i wypadki***, dramat przedstawia wyłącznie ***charaktery i czyny***. Ruch bezustanny, rozwijający się, że tak powiemy fatalnie, z wzajemnego działania na siebie i oddziaływania charakterów, odejmuje całą wolność poecie, do obecności go przykuwa, od wszelkiéj zwłoki wstrzymuje, wszelkich rozmyślań zabrania, robi go niewolnikiem charakterów przez własną jego fantazyą do życia wywołanych. Dyalog w przedstawieniu obecnego czynu, sam czynem być musi, bo inaczéj jakkolwiek co do treści głęboki, jakkolwiek co do formy piękny, dramatycznego interesu nie rozbudzi i dramatem nie będzie. Tu każde słowo musi być krokiem naprzód, gdy w romansie wolno zawsze, a często trzeba zatrzymać się i okiem moralisty na dno ludzkiego serca zaglądać. Jak z ziarna rzuconego w ziemię mocą wewnętrznéj organicznéj siły, swojego rodzaju drzewo wyrasta, tak z charakterów osób dramatu, w koniecznem następstwie ich cnót i słabości, rozwija się organizm sztuki, a poeta notuje tylko jak się liść po liściu objawia, owoc zawięzuje, dojrzewa i opada. Romans przeciwnie jest tylko opisem uczoną ręką naturalisty skreślonym,

dojrzałéj nie pod naszém okiem rośliny. Powieściopisarz wykłada jak się rozwinęło ziarno, stara się o ile w jego mocy, natury tajemnice podchwycić, siłę organiczną wykazać. Opowiada, co było, a stara się wytłomaczyć dla czego tak było. Poeta dramatyczny nic nie ma do opowiadania, nic do tłomaczenia. Najgłębsza znajomość ludzkiéj natury, najwyższy talent analizowania ludzkich uczuć na nie wiele mu się przyda, jeśli twórczą potęgą wyobraźni z rozpierzchłych elementów, całości utworzyć nie umie, bo zadaniem jego, nie wypadkami charaktery tłomaczyć, ale wypadki z charakterów wysnuwać. Dla tego to najznakomitsi powieściopisarze, zawsze prawie lichymi byli dramatystami, dla tego tak trudno, a często niepodobna z bohatera epopei lub romansu zrobić bohatera dramatu posiadającego wysoką poetyczną wartość, a zarazem odpowiadającego wszystkim wymaganiom sceny.

Z żalem powiedzieć musimy, że bezimienny autor Aben-Hameta nie potrafił trudności swojego zadania pokonać. Z dziwną dobrodusznością, miejsca powieści których udramatyzować nie umiał, często dosłownie tłomacząc Chateaubrianda między nawiasy kładzie. I tak *np.* czytamy w pierwszym akcie. Aben-Hamet (padając na kolana i całując ziemię — był to cmentarz na którym Maurowie stoczywszy najzaciętszy i ostatni bój z Hiszpanami polegli:) Nieco daléj. (Za sceną słychać głos dzwonu wzywający na ranną modlitwę. Na odgłos dzwonu Aben-Hamet okazuje przestrach, bo Maurom niewolno było znajdować się w Grenadzie, a jeżeli który otrzymał pozwolenie od rządu hiszpańskiego, to powinien był mieszkać w domu przez rząd naznaczonym, niejako pod strażą, i nie pokazywać się na ulicy tylko w godziny naznaczone, inaczéj wolno było każdemu z Hiszpanów wtrącić Maura do więzienia, gdzie go najczęściéj śmiercią karano za przestąpienie zakazu:) W akcie drugim czytamy: (książe wskazawszy gestem na Aben-Hameta jakby się w nim domyślał jakiéjś tajemniczéj osoby, wychodzi:) Nieco dalej (Aben-Hamet i Blanka stoją wpatrując się w siebie, Aben-Hamet nie odważa się opowiedzieć Blance jakie odebrał nowiny z Tunisu, Blanka lęka się go zapytać jakie) itd. I to się nazywa pisać dramat!..

Nie mamy zamiaru wchodzić w rozbiór szczegółów dzieła, przekonani, że czytelnicy nasi od dawna znają nie zbyt ciekawą powiastkę Chateaubrianda, Le dernier des Abenceragues, dodamy tylko, że stworzony przez autora charakter Achmeta wcale mu się nie udał, a rozwiązanie tak szczęśliwie przez Chateaubrianda sprowadzone, w opłakany sposób poeta przemienił. Wiersz dość jest gładki, lecz nigdy prawdziwie poetyczny. Pełno w sztuce miejsc dowodzących szlachetno-

ści serca i duszy pisarza. Na przykład dajemy kilka wierszy z pierwszego aktu.

Aben-Hamet.

Witaj ziemio nieszczęścia, przesiąkła krwią, łzami!
Tu wielki Allah nie miał litości nad nami!
Tu Bóg chrześcian swoim zgotował zwycięztwo,
Maurowie nie ulegli, śmierć pożarła męztwo
Jaka wielka pamiątka! nikt z pobojowiska
Nie poszedł w giaurów więzy na urągowiska,
Nikt, jak miękki nikczemnik życia nie piastował,
By starcom i niewiastom przegranę zwiastował.
Cześć wam mężni rycerze, wielcy choć polegli!

Achmet.

Cześć im! oni nas w męztwie i sławie ubiegli.
. . . . Wielki prorok z nami!
Ty nie znasz matki ziemi! Twa dusza ztęskniona
Jéj pragnie, a serce lgnie do chłodnego łona
Jak dziecię do umarłéj matki. Wielka siła
Miłość ojczyzny w serce natchnieniem wszczepiła!
Jakież to twoje cele? co cię tu sprowadza?

Aben-Hamet.

Nie odgadłeś? Czy mowa zamiarów nie zdradza?

Achmet.

Twoje płonące serce ojczyzny nie dźwignie.

Aben-Hamet.

Maur nigdy nierozpacza! a serce nie stygnie,
Chyba wraz z życiem.

Bardzo wiele moglibyśmy przytoczyć ustępów pełnych równie szlachetnych myśli, często szczęśliwie oddanych, ale piękność i szlachetność myśli, jakkolwiek konieczna, nie robi jeszcze dramatycznego poety; wszystkich innych potrzebnych do tego warunków na próżno szukaliśmy w Aben-Hamecie.

Szkice Kaukazu, przez L. Dobrskiego, Warszawa, nakładem autora 1850.

Dziwną jest prawdziwie rzeczą że polacy, którzy na własnéj ziemi uwielbienie dla cudzoziemczyzny do śmiesznego bałwochwalstwa posuwają, ledwo granice jéj opuszczą i śród obcych żyć są zmuszeni, do zupełnéj natychmiast zbiegają obojętności. Ci sami ludzie, którzy bez szemrania widzieli obcych awanturników podniesionych, w kilka miesięcy, do najwyższych w swojéj armii godności, którzy nie lękają się cudzoziemcom bez wykształcenia i nauki powierzać wychowanie a zatém całéj przyszłości swoich dzieci, którzy tylko w braku

Niemca robotę najlichszego sprzętu domowego polskiemu rzemieślnikowi oddadzą, ci sami ludzie, nieszczęściami ojczyzny na mimowolną wędrówkę skazani, obojętnie największe cuda zachodniéj cywilizacyi wymijają, i zda się jednéj chwili swojego czasu zachodnim rzeczom i sprawom poświęcić żałują. Przez lat dwadzieścia emigracyi nie wyszło jedno uwagi godne dzieło przez emigranta pisane, podróżom, opisom lub historyi obcych krajów poświęcone. Gdyby nie wpływ zachodnich wyobrażeń śród których prądu tak długie lata emigracya przeżyła, emigracyjna literatura tylko tęsknotą po polskiéj ziemi o swojém źródle by świadczyła.

Osobliwość ta polskiego charakteru nie tylko na zachodzie się objawiła. Drobny wzgląd na czasy, na stosunki, na położenie piszących, najdobitniéj ogólność naszego zdania wykaże. Emigracya na zachód Europy pognana, za fizyczne cierpienia, moralną przynajmniéj wynagrodzona wolnością, pisze śmiało i otwarcie; druga daleko smutniejsza, daleko boleśniejsza emigracya, nielitościwego rządu rozkazami, między kaukazkie góry rzucona, a na domiar swego nieszczęścia zmuszona cudzą wolność mordować. — druga, którą śmiało możemy wschodnią nazwać emigracyą, odmienna w formie objawienia swoich myśli, w niczém się od pierwszéj co do ducha nie różni. Jaka tam tęsknota za ojczystą ziemią, jaka boleść, jaka rzewność! Piękność natury, niebezpieczeństwa krwawéj wojny, na jednę chwilę nawet myśli ich od drogich domowych pamiątek oderwać nie mogą, w każdym ich wierszu przebija się rozbolałe polskie serce.

W numerze VI tegorocznego *Przeglądu* podaliśmy kilka imion odznaczających się w téj nowéj gałęzi literatury ojczystéj, dziś przydajemy jedno więcéj imie P. L. Dobrskiego. *Szkice Kaukazu* zawierają mało oryginalnych utworów. Większą część książki zajmują *Wspomnienia przygód jeńca kaukazkiego,* wolny przekład z pism Marlińskiego. Opowiadanie pełne interesu, czyta się z łatwością, bo styl jest jasny i potoczysty. Wolelibyśmy tylko aby P. Dobrski zamiast rozwodzić się nad awanturami Marlińskiego u Bohuczemonów, dał nam był więcéj szczegółów malujących piękniejszą stronę charakteru górali. Wypadki w domu Gajdora które kilku wierszami zbyć należało, zajmują kilkadziesiąt stronnic, a sceny jak np. następująca rzadkiém są zjawiskiem: „Rosyanie, mó-„wił pojmany Marliński, zawsze gotowi są odpłacać w trójna-„sób za przyjaźń i życzliwość sąsiadów, jak równie mścić się „za wyrządzone krzywdy. Ogólny śmiech szyderczy był od-„powiedzią wszystkich. Od czasu, rzekł po chwili przy-„wodzca, jak słońce świeci, a stal błyszczy, nikt jeszcze nie „poważył się wskazywać kojsobulinom co mają robić, gdzie

„i po co wyruszać ze swoich siedzib, wam pierwszym za-
„chciało się wstrzymać pęd naszéj bystréj kojsu przetakiem,
„dobrze więc, strzeżcież bacznie rąk i przetaka. Wiemy my
„dobrze że twoi bracia chcą wtargnąć w naszą ziemię, zabrać
„nam nasze krasawice do swych haremów, a synów naszych
„uczyć piekielnéj muzyki na bębnach; dobrze więc, czekamy
„na ich spotkanie, a choćby u każdego z nich było tyle głów
„ile guzików na ich mundurach, nie zostanie z nich żywych
„ani jednéj pary języków, któreby wróciły i opowiedziały o tém
„jak górale umieją przyjmować nieproszonych gości. U nas
„wprawdzie mało jest miejsca do zasiewu zboża, ale aż nadto
„go znajdziemy dla pochowania głów waszych. Krzyk rado-
„śny i wystrzały z broni były znakiem powszechnego twier-
„dzenia, że to co wyrzekł ich dowódzca, pochwalają wszyscy."

To co następuje jak wymownie potwierdza nasze zdanie o polskiéj emigracyi!

„Zostawiony na chwilę z tłómaczem, wiedziony ciekawo-
„ścią, zapytałem go, jak też dawno jest w górach? Dziesięć
„lat, odrzekł westchnąwszy ponuro. I dla czegoż będąc tak
„blisko od twoich, nie poprobujesz szczęścia w ucieczce? —
„Prawdę mówiąc nie szukałem go jeszcze dotąd, bo jako
„zbieg, nie mogę myśleć o powrocie. . . . Wprawdzie znala-
„złem tu dobrych i życzliwych mi ludzi, mam nawet żonę
„i kilkoro dziatek, ach niestety! to wszystko nie może zastą-
„pić mi tego, do czego tęskni moje serce, a tém jest moja
„rodzinna ziemia Ukraina, gdzie moje najpiękniejsze dnie ży-
„cia spędziłem! Wierzaj mi, gdybym był pewnym, że po wy-
„cierpieniu nieszesnéj kary pozwolonem mi będzie położyć ko-
„ści na polach rodzinnéj strony, wierzaj mi mówię, może na
„chwilę nie wahałbym się porzucić wszystkiego co mnie tu
„wiąże, tak, wszystkiego, nawet żony i dzieci, aby tylko kie-
„dyś, kiedyś jeszcze, choć przed zgonem — w téj chwili mój
„gospodarz zbliżywszy się kazał mi iść za sobą."

Część poetyczna szkiców, prócz tłómaczeń, ma kilka rzewnością ujmujących wierszy do odległych przyjaciół i *urywki z powieści kaukazkiéj w dwóch częściach, Girey Atainka.* Treścią poematu góralska *Vendetta.* Ali zakochanemu w swojéj córce Mylecie Girejowi mówi:

Znasz Dżembułata, idź, bez jego głowy
Nie wracaj prosić o rękę Mylety.

Girey spieszy na ziemię Kabardyńców gdzie ród Dżembułatów należał do najstarożytniejszych rodzin arystokratycznych, wraca z żądaną głową, lecz Ali *nowego domaga się kołymu* (okupu danego rodzicom przyszłéj żony przez starającego się o jéj rękę). Girey skłania Myletę do ucieczki, lecz gdy ukryty w krzakach nadbrzeżnych czeka na łódź kozacką,

napadnięty, pojmany długo jęczał w więzieniu, a odzyskawszy wolność, bez nadziei odzyskania Mylety, tak żegna się z swoim przyjacielem *Przygodą*, giaurem, z którym się poznał nad brzegami Kubanu gdzie go *wabiły tęskne piosenki Przygody*

Nie! już za późno! Pamiętasz Przygodo,
Za dni szczęśliwych po ileż to razy
Wśród téj dąbrowy, nad tą samą wodą,
Jam cię tkliwemi zaklinał wyrazy...
Wzgardziłeś radą, dziś więc sam wzajemnie
Równéj ofiary nie żądaj odemnie.
Tak, dziś za późno! ale był czas błogi...
W wielkiéj Kabardzie znam zakąt spokojny,
Tambyśmy społem, tambyśmy mój drogi
Żyli, daleko od zdrad, mordów, wojny,
Teraz po stracie méj drogiéj Mylety........
Życie już dla mnie męczarniąby było.
Śmierć tylko jedna dziś moim udziałem.
Lecz pragnę, gdy już przyjdą śmierci chwile,
Gdzie się rodziłem, gdzie pierś matki ssałem,
Gdziem kochał, tam niech odpocznę w mogile.
Ty zaś, jeżeli ziści się nadzieja,
Że kiedyś wrócisz na miłych stron błonia,
Pędząc dni pośród cichego ustronia,
Wspomnij téż czasem Gireja.

W ogólności, wiersz P. Dobrskiego jeśli nieodznacza się wysokością myśli, jeśli co do formy zbyt przypomina Wallenroda, ujmuje czytelnika nieprzymuszoną rzewnością uczucia, a dla gładkości i poprawności łatwo czytać się daje.

Wizerunki obłudnych nauk w upominku dalekim braciom posłane przez Amancyusza Żarczyńskiego. Paryż 1850 roku.

Należy się zdać sprawę z dobréj książki, ogłoszonéj przez jednego z członków dawnéj emigracyi. Każdy zgadnie, że w *Wizerunku obłudnych nauk* nie może być mowa o czém innéin, tylko o socyalizmie. W rzeczy saméj, poseł Żaczyński trudni się socyalizmem, ale już nie pod względem społeczno-ekonomicznym, to jest, pod względem organizacyi pracy, równości zapłaty, obalenia procentu itd. Autor przypuszczając, że obłędność téj strony socyalizmu jest już Polsce

znajoma, ogranicza się do strony ważniejszéj, interesującéj przyszłość Polski, do strony *politycznéj*. Autor *wizerunków* lękając się nie naprożno ducha naśladowczego Polaków, zapytuje się, czy socyalizm może przyczynić się w czémkolwiek do odbudowania Polski, tego *criterium* opinii każdego prawego Polaka. Mnożąca się liczba socyalistów w Polsce kazała mu wnosić, że socyalizm może być użytecznym dla Polski; manifestacya zaś Barbesa i Blankiego, uczyniona niby za Polskę dnia 15 Maja 1848, kazała mu wnosić, że obietnice socyalistów są oszustwem. Gdzie jest fałsz? gdzie jest prawda? Aby odpowiedzieć sumiennie na to pytanie, pan Żarczyński przejrzał dzieła główniejszych socyalistów, szukając w nich myśli politycznéj, mogącéj obchodzić przyszłość Polski. Autor wypisuje co znalazł i pokazuje, że polityka socyalistowska jest zabójczą dla Polski.

Poseł Żarczyński został uderzony, że Saint-Symonizm nie mówił nic o narodowościach, lecz o indywiduach i powszechności rodzaju ludzkiego. Saint-Symoniści nie byli demokratami, lecz arystokratami, tak zwanéj intelligencyi; nie byli także republikanami, bo w ich teoryi, większość głosów była raczéj dowodem głupstwa niż rozumu; nie byli także monarchistami konstytucyjnymi, z dziedzicznością u góry, a wybieralnością u dołu; byli oni za władzą samowładną któraby mogła rozkładać tak pracę jak produkta i wyrokować o powołaniu, czyli o rozumie ludzi; byli za władzą zarazem duchowną i cywilną, za władzą despotyczną, podobną do caryzmu rosyjskiego. To nam tłomaczy, dla czego Saint-Symoniści okazywali zawsze skłonność ku Moskwie, a odrazę ku Polsce. W ich oczach, nie wolność była warunkiem oświaty, lecz despotyzm, rozkładacz pracy i produktów całego narodu. Pan Barrault, dziś reprezentant ludu i jeden z główniejszych przywódzców socyalistowskich, wydał roku 1835 dzieło pod tytułem ***Occident et Orient***. W tém dziele, po zrobieniu szumnego acz podstępnego ustępu o Polsce, w którym wyśmiewa wiarę Francyi w przyszłość Polski, przyrównywając ją do wiary chłopstwa francuzkiego w nieśmiertelność zmarłego Napoleona, pan Barrault zapytuje się czém była Polska, za którą wówczas Francya z takim zapałem przemawiała? „Była to odpowiada, przednia straż Europy chrześciańskiéj „przeciw islamizmowi i Azyi, była to nie ustająca krucyata. . . . „Wszakże od wschodu, a nawet jeszcze przed exystencyą te„go królestwa, powstało inne chrześciańskie państwo, które „szerokiemi barkami swemi, silny opór napływowi azyatyckich „i muzułmańskich hord postawiwszy, pokazało pod pewnym „względem, że ***ramie polskie nie koniecznie potrzebne było***. Ro„sya czynnym oporem swoich ludów i niezmiernym przestwo-

„rem swego terrytoryum, wstrzymała dwa straszne napady. . . .
„Polsce, bez systemu i tradycyi rządowych, nieobjawiających
„żadnych ludowych dążeń, *zabrakło właściwego niepodległego*
„*życia*. . . Biegiem wypadków upadło posłannictwo Polski i
„sama Polska, a raczéj, co jeszcze z tego posłanictwa do uskutecznienia pozostawać mogło, to same wypadki przeniosły na
„inne państwo, więcéj ku temu mające zdolności, na Rosyą."
Autor Saint-Symoński mówi daléj: „Dziwnym zbiegiem rze-
„czy, podział Polski i niepodległość Stanów Zjednoczonych Ame-
„ryki, na kilka chwil prawie przed rewolucyą francuzką nastą-
„piły. Narodowość niknąca na starym świecie i powstająca
„pełna uroku narodowość na świecie nowym! . . A Francya,
„*swojém szczęśliwém przeczuciem, swoim głębokim rozumem*
„*prowadzona*, u bram własnych opuszcza zstępującą do gro-
„bu arystokratyczną anarchiją, a bieży po za morza osłonić
„piersią swoją, kolebkę wolności ludów. Akt podziału Polski
„powiedział tylko i zatwierdził to, co dawniejsze wypadki już
„przygotowały, i dla tego wstrząsła się cała Europa, ale czyn
„pozostał. Napoleon mógłby był powiedzieć Polsce: „wstań
„i bądź, ale to słowo twórcze, padając na chaos zabytków sta-
„réj feudalnéj anarchii, nie byłoby dla tego stworzyło ani kró-
„lestwa, ani spółeczności, ani państwa. Aby ten podniesiony
„szkielet na nowo nie upadł, potrzeba było poświęcić potęgę
„Rosyi, a największy bohater świata nie może zabić tego co
„jest przeznaczone do życia, ani téż tego wskrzesić co na
„śmierć skazane. Nikt nic stworzyć nie jest wstanie bez żywio-
„łów twórczych." Po tak cyniczném wyłuszczeniu rzeczy, pan
Barrault wykrzykuje: „Zostawmy więc na stronie, jako próżną
marę, wskrzeszenie niepodległości Polski. . . Polska nie jest
już więcéj narodem . . . i ten sam los czeka także państwo
tureckie." Aby zbudować naszych socyalistów, przytaczamy
jeszcze następujące słowa: „Powszechnie wystawioną jest
„Rosya jako geniusz ciemnoty, mający na celu ujarzmienie Eu-
„ropy. Dla zaspokojenia marzeń filantropów, potrzeba aby
„Rosya zniosła u siebie niewolą chłopów; *a skądże pytam*
„*się, ta nagłość rozburzenia ustalonego porządku rzeczy?*"
Pan Barrault broni więc nie tylko Rosyi ale niewoli chłopów.

Taka była zewnętrzna polityka Saint-Symonistów, za którą poszło wówczas wielu publicistów francuzkich, szczególniéj Armand Carrel, który w Nationalu skłaniał się zawsze do aliansu rosyjskiego. Wiadomo że Piotr Leroux, dziś reprezentant ludu, był jednym z najświetniejszych uczniów Saint-Symonizmu i że od 1834, roku encyklopedycznego, był naczelnym redaktorem *Encyclopédie nouvelle*. Emigranci polscy podzielili się wtenczas między encyklopedye, w zamiarze oddania i na téj drodze usługi sprawie narodowéj. Teodor Mo-

rawski i Kalixt Moroziewicz pisywali do *Encyclopédie des gens du monde*. Michał Czajkowski do *Dictionnaire de la conversation*, Bohdan Jański i Antoni Szymański do *Encyclopédie nouvelle*. Otóż wiadomo że Jański i Szymański musieli się ucierać codziennie z Piotrem Leroux aby mogli zamieścić w Encyklopedii artykuły przychylne dla Polski. Do tego dowodu przyjaźni Piotra Leroux, pan Żarczyński dodaje inny. Zapytany raz przez jednego Polaka co myśli o narodowości polskiéj, Piotr Leroux, za całą odpowiedź, ruszył ramionami.

Piotr Leroux postępował loicznie, bo dla socyalizmu narodowości były niczém, a nawet przeszkodą. To samo dążenie okazywał Fourrier i jego uczniowie. I tutaj mało dbano o narodowości, a pokładano wszystko na jedności powszechnéj i materyalném dobru indiwiduów. Fourrier nie powiedział wprawdzie tak wyraźnie jak Saint-Symonizm że Polska należy do przeszłości i żyć nie może, ale wynosił pod niebiosa korzyści wypływające z wielkich państw, za pomocą których ludzkość zbliżała się do powszechnéj jedności. Dla tego Fourrier wielbił Rosyan, dla tego złorzeczył Napoleonowi że się nie podzielił Europą z cesarzem Aleksandrem; dla tego uważał Polaków jako nieprzyjaciół cywilizacyi, i kiedy Francya sławiła ich męztwo i poświęcenie, on ich uważał za *sponiewieranych malkontentów*. „Ci (Polacy) niekontenci ze stanu cywilizacyi, mówił, mogą zasmakować w idei przejścia do innego towarzyskiego składu, i dopomódz do założenia fundamentów, na których wzniesie się jedność globu. Okoliczności wciągnęły ich w rewolucyjne spory; w nich sponiewierani, tém chętniéj skłonić się będą mogli do tego przekonania, że stan cywilizacyi nie odpowiada wyobrażeniom wspaniałomyślności i szlachetności."

Że doktryny przeciwne narodowości wchodziły w system wszystkich socyalistów, nawet tegoczesnych, pokazuje to, sławny wykrzyknik Proudhona: „Pamiętaj, i nigdy niezapominaj, że litość, szczęście, cnota, równie jak *ojczyzna*, religia i miłość, są maskami." Proudhon od r. 1848, żartował w *Peuple Constituant* z demokratów francuzkich że za Ren biedz chcieli; żartował także z ich sympatyi dla Polski i wołał, że gdyby wojsko francuzkie przyszło do Polski, chłopi nasi przyjęliby je rotowym ogniem. Jak wszystkich jego poprzedników, tak i Proudhona, obchodził głównie interes jedności powszechnéj i interes indiwidualności. W tym zamiarze domagał się rozpuszczenia wojska i zajęcia się interesami ekonomicznemi. Jako uwieńczenie teorii Socyalistów o narodowości, uważać należy manifestacyą Barbésa i Blankiego d. 15 Maja. Manifestacya ta, dowód cynizmu Socyalistów, była zrealizawoniem,

na naszą szkodę, teorii, podług któréj ojczyzna nie była czém innem tylko marzeniem.

Po takiém wyjaśnieniu dążeń nowożytnych Socyalistów, pan Żarczyński cofa się w tył i pokazuje że podobne dążenie pokazywali Robespierre i Baboeuf, ojcowie socyalizmu. Szkoda, że w tym wywodzie, nie nadmienił iż Robespierre nazywał sympatią Francuzów dla Polski entuziazmem glupców, *enthousiasme des ignorans.* Autor *Wizerunków* nie przestał jednak na Robespierre i Baboeufie, sięgnął on jeszcze daléj i zapytał: co dało początek socyalizmowi? Słusznie on utrzymuje że socyalizm wziął swój początek w filozofii XVIII wieku. Pan Żarczyński nie powstaje na filozofią jako filozofią; powstaje tylko na ułomność materialność filozofii XVIII wieku, która, mimo wielkości uroszczenia, nie potrafiła zrozumieć dualizmu tak człowieka jak ludzkości. Człowiek jest żywym dualizmem rozumu i wiary; ludzkość także jest żywym dualizmem powszechności i narodowości. Te dualizmy trzeba zaspokoić, bo inaczéj człowiek i ludzkość stałyby się niezupełnemi. Zdrowa filozofia szanuje religią i zdrowa filozofia godzi także ideę jedności rodzaju ludzkiego z ideą narodowości.

Filozofia XVIII wieku nie postępowała tak roztropnie. Wychodząc z samego rozumu, powstawała na wszystko co się opierało na tradycyi, historyi i religii, a że na tych trzech podstawach opierała się każda narodowość, powstawała na wszystkie narodowości, szczególniéj Polską, która w ówczas zajmowała najwięcéj umysły. Wolter pokazał w całém świetle szpetność takiéj filozofii korespondując z Fryderykiem w. i Katarzyną. On się wyśmiewał nawet z narodowości francuzkiéj. Kiedy Fryderyk W. naśladując wszeteczny poemat dziewicy orleańskiéj, napisał wiersz pod tytułem: ***Konfederaci barscy i ich Matka Boska,*** w którym wyśmiewał się z narodowości polskiéj i religii katolickiéj, Wolter za to go podwalił i rzekł: „miła to zabawka zabijać ludzi a potém ich skon opiewać." Kiedy nastąpił pierwszy rozbiór Polski, zawołał: „nareszcie facecya się skończyła." P. Żarczyński podaje wiele dowodów takiego usposobienia Woltera dla Polski. Pisząc do Fryderyka W., tak się wyraził: „Myśl rozbioru Polski przypisują tobie, naj. Panie, i ja łatwo temu wierzę, bo to jest myśl genialna." Kiedy mu przysłano medal wybity na pamiątkę rozbioru Polski, napisał: „Medal jest piękny, dobrze odbity, napis prosty i szlachetny (Regno reintegrato); ale szczególniéj widok Polski, składającéj do nóg Pana swego króla Prus niegdyś polskich, prześliczny robi effekt. Dziękuję ci Naj. Panie za ten północny klejnot: na południu podobnych nie ma."

Filozofia Woltera była podła, bo jéj autor grzeszył nie tylko myślą ale czynem, bo dał się przekupywać przez Katarzynę i Fryderyka i zanurzył się w cielesnéj rozkoszy. Filozofia Woltera i Encyklopedystów była kolebką socyalizmu, bo oddawała cześć saméj indiwidualności i powszechności, bo wzgardzała narodowościami i schlebiała Rosyi. Dla tego wszyscy nasi pisarze: Mićkiewicz, Zaleski, Brodziński, Mochnacki itd. nazywali filozofią XVIII wieku *trucizną*, i ten sąd potwierdziła cała Polska. Jakim więc sposobem stało się że Mićkiewicz zrobił się socyalistą.? Rzecz bardzo prosta. Kiedy stracił wiarę i nić historyczną, kiedy rzucił się w illuminizm, wpadł w filozofią, jeżeli nie filozofią Woltera to Emmersona, a filozofia powiodła go do socyalizmu.

Postępowanie Mićkiewicza było loicznem, loika bowiem rzadko opiera się na prawdzie; ale to téż tém bardziéj ostrzegać nas powinno o niebezpieczeństwach systematów filozoficznych i abstrakcyi kosmopolitycznych. Że tak jest, dowodzi to jeszcze towarzystwo demokratyczne polskie, które karmiło się we Francyi filozofią XVIII wieku i socyalizmem. Manifest Towarzystwa z r. 1845, stawia za *criterium* szczęście indiwidualne; wyprowadza, jak Rousseau, wszystkie prawa ze stanu ustawy; gardzi katolicyzmem, który był tchem naszéj narodowości przez lat 900, i bierze za społeczny ideał polskę bałwochwalską. Trzeba było wielkiego omamienia Polaków, aby z tego manifestu nie wyprowadzić negacyi narodowości i apologii Rosyi. Wykazał to późniéj Ordęga, opierając się na przykładzieAdama Gurowskiego. Towarzystwo demokratyczne zmieniło od tego czasu jeżeli nie zasady to tryb postępowania; zbliżyło się do religii katolickiéj, wydawało nawet książeczki nabożne ozdobione w obrazki Matki Boskiéj Częstochowskiéj!!!, ale kiedy r. 1848 wybuchła rewolucya w Paryżu, wpadło w socyalizm. Ostatnie jego postępowanie było bardzo zgodne z manifestem r. 1835.

Jest coś tak fatalnego w skutkach filozofii XVIII wieku i abstrakcyach socyalistowskich, że wszystkie jéj zasady obracają się na szkodę Polski. Ktoby naprzykład uwierzył, aby Wroński, Polak szukający w Paryżu kamienia filozoficznego, ośmielił się powiedzieć że *religia mająca bydź dopełnieniem chrystyanizmu wyjdzie zapewnie z religii greckiéj*. Pan Żarczyński nie przestaje jednak na powyższéj cytacyi i wykazaniu niebezpieczeństw socyalizmu dla Polski, dotyka on jeszcze filozofii prusko-protestanckiéj, Hegla, któréj poślubiło wielu Polaków. I tutaj autor *Wizerunków* pokazuje też same niebezpieczeństwa loiki i rystematycznéj abstrakcyi. Rozbierając filozofią Heglo-słowiańską Libelta, mówi że aby znać filozofią słowiańską: „trzeba odstąpić od wiary ojców, od wiary ludu

polskiego; trzeba szamotać się z nieujętą mową słowiańszczyzny i trafić na jedyny punkt widomy, na ducha caryzmu skoncentrowanego w jedności.”

Pan Żarczyński uważa także że filozofia doprowadziła Trentowskiego do komunizmu, że autor *Ojczenaszu* mówi tylko o słowiańszczyznie a nie Polsce, że jak towarzystwo demokratyczne, szuka ideału społeczności w bałwochwalskiéj Polsce, i że w organizacyi pierwiastkowych gmin słowiańskich, widzi ideał organizacyi pracy. P. Żarczyński tak kończy rozbiór *Ojczenaszu*: „Autor nazywa komunistów utopistami, przyznaje im wszakże *prawe uczucia* i *prawe domysły*, sam ciągle o jedni, wspólni, socyalności rozprawia. Nie jest że to igraszka imaginacyi? O panowie! nie wywołujcie burzy. Burza wasza nie zabierze Polski, bramy piekielne nie przemogą jéj, ale biada ludziom co ją wywołają, biada tym co myśl narodową obałumucić pragną, a mądrość filozoficzną zakładają na tém, aby wykazać że porządek i swoboda jest jeno pod rządem niewoli i gwałtu, niesprawiedliwości i ucisku. Biada, mówi Brodziński, wam którzy czynicie rozbrat z ojcami i gardzicie Polski przeszłością, nie o zmartwychwstaniu ojczyzny myśląc, ale marząc o jakowemś onéj przerodzeniu.”

Daliśmy treść *Wizerunków obłudnych nauk* nie trzymając się ściśle porządku wykładu, ale nie opuszczając żadnéj wydatniejszéj myśli. Autor widzi niebezpieczeństwo doktryn filozoficzno-socyalistowskich, i dla tego błaga czytelników do wrócenia na drogę historyczną, drogę religijno-narodową. Ideałem dla niego w tym względzie jest Brodziński, człowiek jeszcze nie dosyć oceniony, bo był cichym, skromnym i religijnym, i wzgardzał ogólnikami zachodniemi za któremi latali wasi literaci, ale którego Polska ozdobi kiedyś wieńcem nietylko patriotyzmu lecz rozumu. Brodziński pokazał że trzeba bydź wielkim, aby nie lękać się bydź małym. Jest to tłumaczenie bardzo trafnego przysłowia francuzkiego: *il faut être grand, pour ne pas craindre d'être petit.* Znaczna część naszych wielkich autorów goni za wyobrażeniami prusko-francuzkiemi; każden z nich żyje tylko myślą obcą, oddalając się coraz bardziéj od myśli narodowéj. Wierzą oni we wszystko: w Saint-Symonizm, Furieryzm, Heglizm, Towianizm, nawet w komunizm, a nie mają odwagi wierzyć w katechizm i w *nobiscum* który cesarz Mikołaj postanowił z Polski wypędzić. Są to ludzie najgłośniejsi, ale z których w razie danym, Polska najmniéj skorzysta, bo brak im podstawy narodowéj i praktycznego życia. Przyrównaćby ich można do Jana Potockiego z czasów sejmu czteroletniego. Człowiek ten, gruntownie oświecony w rzeczach zachodnich, okazał się tak nieudolnym w rzeczach krajowych, że jego artykuły, zamieszczane w *Jour-*

nal hebdomadaire, wychodzącym wówczas w Warszawie uśmiech tylko wzbudzają. Takie to nieszczęście sprowadza zbyteczne oddawanie się rzeczom obcym.

Pamiętajmy zawsze na wyrazy Brodzińskiego: „Nad tém wrogi nasze pracują, aby niedobitych w inszy naród jaki przemienić, a od rodzinnéj przeszłości odłączyć.” „Po za Polską, po za ojczyzną, wówi poseł Zarczyński, napróżno szukać spokoju i swobody ducha.” My dodamy, że napróżno nawet szukać sławy. Pan Żarczyński napisał dobre, użyteczne i patryotyczne dzieło, bo przedstawiając niebezpieczeństwo filozofii socyalizmu dla Polski, zwrócił nas na drogę historyczną — narodową, i pokazał komu należy, nawet w przypuszczeniu federacyi słowiańskiéj, *obstinata fides* w myśl polską, jest warunkiem honoru, sławy i rozumu każdego Polaka.

Obrazy niektórych posłów polskich na sejmie rakuzkim. Poznań 1850 r.

Jest to druga część dziełka zatytułowanego: *Sejm ustawodawczy rakuzki*, z którego zdaliśmy sprawę w poszycie kwietniowym Przeglądu (*). W téj części rzecz jest o dziewięciu posłach polskich, których osobistość z rozmaitych przyczyn, okazywała się wydatniejszą, nietylko pośród ich kraju, ale w całym sejmie. Dwóch posłów nie polskich wmieszał autor pomiędzy nich dla tego zapewne, że jeden był wysłany z Galicyi, drugi zajmował stanowisko naczelnika stronnictwa czeskiego, zwanego także słowiańskiém, do którego należała część poselstwa polskiego. Nazwiska tych jedenastu posłów są następujące: Franciszek Smolka, Franciszek Palacki, Jerzy Lubomirski, Franciszek Stadion, Floryan Ziemiałkowski, Zdzisław Zamojski, Maryan Dylewski, Tytus Dzieduszycki, Adam Potocki, Waleryan Podlewski, Szymon Kozakiewicz.

Sejm ustawodawczy rakuzki, jak wszystkie ówczesne sejmy, dzielił się na różne stronnictwa; lecz podziały tu, przez wzgląd na narodowości które reprezentował, były bardziéj skomplikowane niż gdzie indziéj. Nietylko bowiem miał on w swém łonie stronnictwo radykalne, umiarkowane i wsteczne, ale nadto rozpadł się był na dwa wielkie stronnictwa: na

(*) Czytelnicy nasi mogą sobie przypomnieć zdanie jakieśmy o niém wynurzyli. Autor chcąc rozszerzyć zakres swéj publiczności co zresztą słuszna, ponieważ rzecz dotycze sejmu składającego się z reprezentantów kilku narodowości, ogłosił je świeżo w tłómaczeniu niemieckiem, pod tytułem: *Oesterreichs gesetzgebender Reichstag mit besonderer Berücksichtigung der polnischen Deputirten.* Posen 1850.

stronnictwo niemieckie i stronnictwo czeskie czyli słowiańskie.

Nie możemy tu wchodzić w szczegółowy opis działań tych stronnictw; dla łatwiejszego wszakże pojęcia przyczyn dla których posłowie nasi także się byli podzielili, przedstawić musimy w krótkości ducha i politykę, które niemi kierowały.

Stronnictwa niemieckiego była rola łatwiejsza. Oparte na kilkodziesięcio-milionowych Niemcach, używających narodowéj niepodległości i pracujących nad zdobyciem wolności i jedności politycznéj, stronnictwo to miało wtenczas jedno tylko zadanie na widoku: wolność. Będąc spokojni o przyszłość narodu niemieckiego, kwestyą unii niemieckiéj, warunki wcielenia się do niéj, zdawało się odkładać na późniéj. Utrzymanie więc, rozszerzenie i ugruntowanie nabytków rewolucyi marcowéj, było dla niego jedyném chwilowém usiłowaniem. Ztąd sympatya jego do rewolucyi najradykalniejszych, ztąd jego opozycya przeciw wszelkiemu umiarkowanemu systemowi rządowemu, który podług maksymy rewolucyjnéj, gdy nie idzie naprzód, cofa się.

Ale nie takie tylko było zadanie stronnictwa czeskiego, szło mu nietylko o wolność lecz i o narodowość. Uczonym Czechom zdawało się, iż nadszedł był czas narodowego wyzwolenia. Ztąd trudność ich położenia. Trzymać z czystymi Niemcami demokratami, związanymi w każdym razie myślą i sercem z Frankfurtem, było to puszczać na łup chciwości niemieckiéj swą narodowość; stawać zupełnie przeciwko nim, było to zaprzeczać rewolucyi, któréj jednéj Czesi i inne ludy słowiańskie podległe rakuzkiemu berłu, winne były niektóre narodowe nabytki.

Jedność niemiecka, państwo niemieckie, było to w r. 1848 coś podobnego do ziszczenia; pracowano nad tém we Frankfurcie, gdzie także zasiadali posłowie od Niemców austryackich.

Jedność zaś słowiańska, państwo słowiańskie, było to coś nie ujętego, nie oznaczonego. Windischgrätz rozpędzając zjazd pragski, nie dał mu nawet czasu do zformułowania swéj myśli w tym względzie.

Niemcom austryackim dość było robić w Wiedniu dywersye ułatwiające prace frankfurtskie, które nie mogły się odbyć na innéj drodze, jak na rewolucyjnéj, znoszącéj władzę pojedynczych królów i królików niemieckich. Niemcy austracy, mogli oprzeć myśl swą i swe życzenia na czemś już widoczném; we Frankfurcie był sejm niemiecki i władza wykonawcza niemiecka; to co tam robiono i stanowiono, odbywało się w imieniu wszystkich Niemców.

Nie tak się rzecz miała ze Słowianami austryackimi. Nikt w ich imieniu nie obradował, nie było nigdzie władzy słowiańskiéj, nikt nie pracował nad utworzeniem państwa słowiańskiego, opartego na wolności i równém uprawnieniu wszystkich szczepów słowiańskiego rodu. A wszakże zdawało się, iż odżycia jego wybiła godzina.

Czesi przychodzili z całą erudycyą przeszłości słowiańszczyzny południowéj, ze wszystkiemi marzeniami jéj przyszłości. Lecz jaki sposób ziszczenia tych marzeń? gdzie środek około którego gromadziłyby się uczucia i życzenia ludności słowiańskich? gdzie siła ułatwiająca ich wykonanie?

Czesi nie wątpili o skłonnościach stronnictwa niemieckiego austryackiego, ciągnącego do środka ciężkości państwa niemieckiego; nie wątpili także, aby władza rządząca w Wiedniu, poddała się chętnie władzy rządzącéj we Frankfurcie; nie wątpili aby panujący w Wiedniu dotąd, chciał być na przyszłość prostym porucznikiem władzy centralnéj niemieckiéj. A że mniemali, iż stary porządek ani w Niemczech, ani w Austryi nie wróci, dla tego zdało im się, iż stojąc przy władzy z całym zastępem słowiańskim w sejmie i kierując nią po swéj woli, uda się utworzyć państwo rakuzko-słowiańskie, ze starą dynastyą habsburską na czele. To tłómaczy postępowanie stronnictwa czeskiego, tak w obec stronnictwa radykalnego niemieckiego, jak w obec Węgrów; to tłómaczy wszystkie jego omyłki i błędy.

Na tym stanąwszy punkcie zapatrywania się na sejm ustawodawczy rakuzki, łatwiéj nam wytłómaczyć postępowanie na nim posłów polskich.

Było ich 102. Zastęp taki, o ile zgodny wewnątrz, mógł zawsze rzecz zdecydować, przechyleniem się swém na jedną lub na drugą stronę. Lecz nie istniała w nim jedność.

Wybory odbyły się były pod wpływem wrażeń rewolucyjnych, dla tego żywioł demokratyczny radykalny przemagał w poselstwie polskiém.

Nie wątpimy, iż w kwestyach dotyczących wyłączniéj interesów galicyjskich, narodowości polskiéj, gdyby one były przyszły pod rozbiór sejmu, całe poselstwo polskie, wyjąwszy chyba kilkunastu chłopów i księży unickich, kierowanych przez Stadiona, pokazałoby się zgodne i ściśle jedne; lecz w kwestyach ogólnych, tak socyalnych jak politycznych, w kwestyach procesu wolności z porządkiem, anarchii z organizacyą, słowem w kwestyach zasad, poselstwo polskie dzieliło się na stronnictwa, na które sejm cały się dzielił.

To znaczy, iż między posłami polskimi byli demokraci radykalni, byli umiarkowani i był ułamek trudny do scharakteryzowania, który wszakże przez ślepe swe posłuszeństwo

rządowi lub pewnym ludziom wstecznym, do stronnictwa wstecznego winien być policzonym. Składał się on z chłopów ruskich i z kilku księży unickich, ogółem około trzydziestu członków, którym Stadion wmówił był narodowość ruską, odrębną od narodowości polskiéj. Nadto posłowie polscy dzielili się na dwie części, jak reszta sejmu, z których jedna trzymała ze stronnictwem niemieckiém, druga ze stronnictwem czeskiém. Pierwszéj wyobrazicielem moralnym był Floryan Ziemiałkowski, drugiéj Jerzy Lubomirski; obaj młodzi, pełni zapału, dobrzy Polacy i zdolni.

Przez wzgląd wszakże na różność żywiołów, z których się składał sejm rakuzki, niejedność interesów kierujących temi żywiołami, podziały te nie miały nic stałego, ni wyraźnie oznaczonego; trudna tam była większość do obliczania, bo się zmieniała stosownie do kwestyi idących pod rozbiór sejmu. I tak, Czesi trzymali czasami z Niemcami, Niemcy z Czechami; równie i Polacy przekłaniali się na jedną to na drugą stronę, podług okoliczności.

To potrzebuje wytłómaczenia; tłómaczenie wszakże bardzo łatwe. Żadne stronnictwo, ani żadna jego fakcya, nie mogła mieć stałego postępowania, stałéj polityki; powiemy więcéj, nie mogła być szczerą w swém postępowaniu, w swéj polityce. Ta niestałość, ta nieszczerość, pochodziła z natury samego sejmu, składającego się z reprezentantów tylu narodowości, z których każda sprzyjała lub była przeciwną ogólnym interesom państwa austryackiego, w miarę korzyści lub szkód, jakie z jego bytu lub upadku dla siebie upatrywała.

Część Niemców, jakeśmy wyżéj powiedzieli, trzymająca sercem i narodowością z narodem niemieckim, nie wątpiąc że Austrya mająca przeszłość i organizacyą niemiecką, będzie miała takąż przyszłość, do czego w każdym razie dopomogło by jéj tworzące się państwo niemieckie, pracowała tylko nad zdobyciem i ustaleniem wolności miejscowych, i w tém łączyła się ona z posłami wszystkich prowincyi monarchii, dzielącymi jéj zasady, unikając jak w ówczas, drażliwéj kwestyi narodowości. Partyi téj chorągwią, była chorągiew trójkolorowa niemiecka.

Druga część Niemców, stanowiąca środek, przeciwna robotom frankfurtskim, przeciwna unii Niemiec takiéj jaka się przygotowywała we Frankfurcie, przywiązana do przeszłości rakuzkiéj historycznie i politycznie, łączyła się z Czechami, którzy chcieli utrzymania państwa rakuzkiego ze starą jego dynastyą; a lubo znała one życzenia Czechów co do przyszłości Austryi, uważając je za proste marzenia, korzystała z ich polityki, będąc pewną, że Austrya nie może być inną jak niemiecką; i w tém zgadzała się skrycie ze swą bracią

radykalną. Partyi téj chorągwią, była stara chorągiew rakuzka, czarno-żółta; ztąd nazwa czarno-żółtych (szwarcgielberów) dla wszystkich wyznających te zasady.

Czesi policzeni już od dawna do Niemców, jako tacy należąc do byłéj rzeszy niemieckiéj, niesprzyjali przygotowującéj się jedności niemieckiéj we Frankfurcie. Bali się oni, aby część państwa austryackiego, do któréj Czechy należały, wcielona do téj jedności, nie była do reszty pochłoniętą i zgermanizowaną. Dla tego obstawali najmocniéj za utrzymaniem całości monarchii austryackiéj, która ze względu na przemagające ludności, zamieniona w państwo słowiańskie, potrafi się oprzeć żarłoczności niemieckiéj. Czesi naturalnie w nowém tém państwie mieli mieć pierwszeństwo.

Położenie ich było najtrudniejsze. Nie mając blizkiéj przeszłości historycznéj, nie mogąc się oprzeć na niczem uorganizowaném, lub przynajmniéj wyraźnie istniejącém, jako państwo, jako naród; mając na drodze swych zamiarów wszystko do stworzenia; za nadto słabi duchem i liczbą, zanadto nawet niezgodni w widokach, chcieli otrzymać zręcznością to, co się tylko siłą otrzymuje. Ztąd ich polityka tak bojaźliwa, dwóznaczna i wyrachowana. Nie mogli oni być nieprzyjaciołmi wolności, od któréj jednéj zależało urzeczywistnienie ich życzeń; lecz że droga na którą była weszła kwestya wolności, prowadziła ich do łączenia się z ludźmi przeciwnymi narodowym ich widokom, dla tego woleli trzymać ze stronnictwem przywiązaném do dynastyi habsburskiéj, ze stronnictwem zachowawczém rakuzkiem, które ukrycie było równie przeciwne ich widokom. Co zyskali Czesi na swéj polityce, wiadomo. Nie tylko nie otrzymali państwa słowiańskiego, ale i to co ludzie których oni popierali, przyrzekli byli, to jest, równe uprawnienie wszystkich narodowości składających monarchią austryacką, jest czczém słowem. I dziś ani wolności, ani narodowości.

Co do Polaków, ci będąc tylko cząstką wielkiéj historycznéj całości, mając jeden cel z całym narodem: odbudowanie państwa polskiego, dla nich to co się działo w Wiedniu, we Frankfurcie, w Berlinie i w reszcie Europy, nie było celem ale tylko środkiem. Korzystać z okoliczności, zdobyć co najwięcéj wolności, pod tarczą których nie tylko dałoby się uchronić od wynarodowienia prowincye polskie wchodzące w skład państwa rakuzkiego, ale pracować dla przyszłości narodowéj niepodległości: oto była ich myśl i jedyne zadanie.

Na to się zgadzali wszyscy polscy posłowie (*), różnili się tylko w środkach, w któreby ich do tych wspólnych pragnień

(*) Zawsze z wyjątkiem chłopów ruskich i księży unickich.



doprowadzić mogły. Największa część trzymała się polityki stronnictwa radykalnego niemieckiego. Uważali oni, że dopóki rewolucya nie weźnie zupełnie góry w Austryi, dopóty nie myśleć Galicyi o swobodach i życiu narodowém. Jak zaś uważali następstwa rewolucyjne, jaką przewidywali przyszłość dla Austryi, jakiego pragnęli dla niéj systemu rządowego; w jakim do niéj stosunku miała pozostać Galicya i czy miała pozostać; jaki dla niéj byt naznaczali i jaki widzieli sposób dojścia do celu, choć nie wymówionego ale znanego, to nam nie wiadomo, i wątpimy nawet, aby oni sami rzecz tę jasno widzieli, aby mieli plan jaki. Zdaje nam się, iż głównym w ówczas ich usiłowaniem było burzyć starą Austryą, nie bardzo wiedząc co ztąd wyniknie dla Galicyi i dla Polski, a tylko przypuszczając, że z upadku jednego z jéj zaborców, przyszłość Polski zawsze korzysta.

Nie tak myśleli posłowie polscy skłaniający się do polityki czeskiéj. Nie widzieli oni, aby z rozbicia, z upadku Austryi, wynikła już pewna korzyść dla narodowości polskiéj, dla Galicyi. Mniemali owszem, że jeśliby prowincye niemieckie wcieliły się do jedności niemieckiéj, włoskie do włoskiéj; jeśliby Węgry wybiły się na niepodległość, Galicya byłaby zagarniętą przez Rosyą, którаby nigdy nie zezwoliła na byt udzielny téj prowincyi dawnéj Polski. Zdało im się że Austrya w dawnym kształcie już nie powstanie i że da się utworzyć państwo federacyjne rekuzkie, w którém każdy lud znajdzie zabezpieczenie swéj narodowości, swobodny jéj rozwój, oparty na wolnościach i organizacyi stosownéj do ducha czasu.

Czyby Rosya i na to zezwoliła, to inne pytanie; lecz w takim razie możnaby się bronić. Państwo południowe słowiańskie, wystąpiłoby przeciw państwu słowiańskiemu północnemu. Jakieby z wojny wynikły skutki, kto mógł przewidzieć?

Czy Rosya jest państwem szczelném i jednolitém? czy ogólne dążenie do wolności i federacyi nie poruszyłoby i jéj ludności? czy ta walka nie rozbiłaby kolosu? czy nie mógł już nadejść czas słowiańskiéj rzeszy, konfederowanéj ze wszystkich ludów słowiańskich, urządzonych u siebie podług swych obyczajów, języka, religii i potrzeb, a w któréj Polska zajęłaby należne sobie miejsce? To wszystko mogli myśleć Polacy z Czechami i ku temu dążyć. Było to może marzenie, ale marzenie z planem, którego brakło posłom polskim trzymającym z niemieckiém radykalném stronnictwem.

Na te przeto zważać trzeba okoliczności, chcąc dobrze, jakeśmy wyżéj powiedzieli, ocenić postępowanie posłów czeskich, i polskich z nimi trzymających. Autor tego nie uczynił. Sam należąc do stronnictwa radykalnego o ile pobłażania

i wyrozumiałości dla swych jednowierców pokazuje, o tyle jest surowym i niesprawiedliwym dla kolegów zasad przeciwnych.

W wypadkach r. 1848 widząc głównie proces wolności z despotyzmem, zdaje się zapominać, że Polaków życzenia nieograniczały się li tylko do wolności. Ztąd posłów trzymających z Czechami uważa za prostych stronników absolutyzmu, za lękających się następstw wolnosci, za obstających przy starych przywilejach, za egoistów itp. Dla jednego tylko Lubomirskiego okazuje się nieco względniejszym.

Odśpiewawszy hymny pochwalne dla jednych, potępiwszy drugich, pyta się autur z urąganiem Czechów i Polaków z nimi trzymających, co zyskali na swéj polityce? Nie broniąc téj polityki, możnaby spytać autora, coby była zyskała narodowość czeska i polska, gdyby Polacy i Czesi byli się trzymali polityki radykalistów niemieckich. Czy autor wierzył ich szczerości, dobroduszności i abnegacyi co do narodów podległych panowaniu niemieckiemu? Bo przecież w każdym razie przy zwycięztwie nawet strony radykalnéj, mniemamy, że Polacy musieliby poruszyć sprawę swéj narodowości. Czy sądzi autor że republikani niemieccy byliby sprawiedliwsi, szlachetniejsi i bezinteresowniejsi jak ich rodacy z zasadami monarchicznemi i konserwatorskiemi? Co w téj kwestyi zawodu ogólnego może przemawiać za polityką posłów polskich z lewicy, to chyba wypadek niewiadomy téj polityki; niewiadome zawsze ma tyle uroku, tyle prawdy, tyle pewności!

Z jedenastu obrazów posłów które nam autor przedstawił, każdy jest nakreślony odmiennemi barwami. Czy są one prawdziwe, to rzecz inna, ale trudno zaprzeczyć, aby artysta nie dowiódł pewnéj biegłości, dobitności i oryginalności w malowaniu postaci jakie sobie wyobrażał.

Odłożywszy na bok Stadiona, do którego oddania postaci każdy Polak znalazłby właściwe rysy i barwy; z rodaków przedstawił autor w najwdzięczniejszych kolorach Smolkę i Ziemiałkowskiego; i nie dziw, obaj ci posłowie należeli do lewicy, do któréj i sam autor należał. Nie gniewamy się bynajmniéj za rzeczy pochlebne które powiedział o Smolce i Ziemiałkowskim; tak mu rzadko zdarza się chwalić drugich! Przed rokiem jeszcze 1848, dali oni dowód gorliwych usiłowań patryotycznych, za które obaj byli skazani na karę główną i tylko wypadki tegoż roku, otworzyły im drzwi więzienia austryackiego. My umiemy uznać i uszanować cierpienia, szczere chęci, zasługi i zdolności we wszystkich naszych braciach, tém łatwiéj nam przyznać je tym panom, mianowicie Smolce, który powagą swą, roztropnością i bezstronnością, umiał zjednać sobie szacunek całego sejmu, a chociaż, jak

mówi autor, należał do lewicy, stanowiącéj mniejszość w sejmie, kilkakrotnie i znaczną większością był powołany na krzesło marszałkowskie.

Za to najciemniejszych farb użył autor do odmalowania obrazu Zdzisława Zamojskiego. Odmówił mu zdolności, własnych przekonań, nawet odwagi. Jakoż wyjazd jego z Wiednia i złożenie mandatu przypisuje nie powodom wyłożonym w liście Zamojskiego do wyborców, ale temu, że „w Wiedniu było niebezpiecznie. Cóż w tém dziwnego, prawi, że człowiek „słaby, przerażony proletaryatem, nie mógł spokojnie pełnić „obowiązków, nie mógł wytrzymać w mieście, gdzie proleta„ryat był uzbrojony, a do powściągnienia go, nie było tyl„ko siła moralna." — To sąd niegodny, przeciwny życiu Zdzisława Zamojskiego, który w wojnie r. 1831 dał dowody odwagi i który znany jest z rozsądku, poświęcenia, piękności charakteru i zasad ustalonych. Tacy ludzie nietylko nie lękają się wypowiedzieć swych zasad, ale gotowi są ponieść za nie wszystkie następstwa, jeśli tego widzą potrzebę; tacy ludzie nigdy się przed niebezpieczeństwem nie cofają.

Docierając przyczyny téj szczególnéj niechęci autora ku Zamojskiemu, nie zdaje nam się, aby ona leżała w tém tylko, że Zamojski należał do stronnictwa czeskiego, boć i Lubomirski do niego należał; ani w tém, że był przeciwny radykalizmowi, bo tylu innych było mu przeciwnych, nawet sam Waleryan Podlewski, jak powiada; ale że Zamojski miał wielką wadę w oczach autora, był szczerym i pobożnym katolikiem. „Pietyzm, powiada, był w duchu jego przeważnym elemen„tem." ztąd błędy jego polityczne, ztąd jego zatwardziałość w zasadach raz przyjętych, ztąd jego niezdolność ku różnostronnemu obejrzeniu przedmiotów; Zamojski wierzył i wiara ta przebija się w życiu jego, „lubił nawracać." Zamojski był pobożnym i wierzył, to dosyć; dla podobnych ludzi autor jeśli nie okazuje nienawiści, to wielkie politowanie. Politowanie też jest cechą panującą w obrazie Zamojskiego.

O polityce Zamojskiego w sejmie, o złożeniu mandatu, o powodach złożenia, można dwojako sądzić, i ku temu miał autor wolność i prawo; alež sądowi powinna przewodniczyć prawda, bezstronność i sprawiedliwość, których on się nie trzymał.

Gdyby autor był zachował te warunki w kreśleniu swych obrazów, publiczność polska byłaby mu za nie wdzięczna. Każdy z Polaków ciekawy byłby poznać w rzeczywistém przedstawionych świetle rodaków swych, którzy w takiéj liczbie posłów śród ludzi niechętnych ku naszemu narodowi, umieli zyskać poważanie, szacunek i wziętość przez swe zdolności,

odwagę i charakter; którzy pośród znakomitości na jakie Austrya zdobyć się mogła, umieli się odznaczyć.

Ale autor nie chciał czy nie umiał oddać téj przysługi; w kreśleniu swych obrazów dał się powodować znanym swym stronniczym namiętnościom, przesadził i sfałszował niektóre fizyognomie, dał wprawdzie dowód dowcipu w szkicowaniu i charakteryzowaniu, ale okazał się niewierny.

Jeśli ma zamiar przedstawić obrazy innych jeszcze posłów, życzylibyśmy mu, aby na ten ostatni warunek miał więcéj względu. Portrety fantastyczne nie mają wartości.

Polska ziemia w obrazkach, Część druga, wydanie drugie pomnożone. Poznań nakładem i drukiem Stefańskiego 1850.

Już dwa razy mówić mieliśmy sposobność o poezyach p. Lenartowicza, a cośmy o dawniejszych jego utworach powiedzieli, może się w zupełności stosować do ogłoszonéj obecnie części drugiéj ***Obrazków polskiéj ziemi***, gdzie znajdujemy te same zalety co i w części pierwszéj, ale na nieszczęście i też same wady. Poeta nazywa ten tomik ***pierwocinami prac swoich***, a w przypisaniu prosi Karola Balińskiego, a z nim całą zapewne publiczność, ***aby miał wzgląd przedewszystkiem na wewnętrzną stronę, bo cokolwiek dotąd pisał w kunszt nie bogate; być może że to co w przyszłości przyniesie, formą i słowem ozdobniejsze będzie.*** Skromność wyznania, tak rzadka w dzisiejszych poetach, ujmuje czytelnika i nakazuje pobłażanie dla wad, których pierwszą przyczyną jest zbytnia łatwość rymowania, a drugą afektowanie ludowego języka bardzo rzadko pomyślnym skutkiem uwieńczone. W ogólności, najszczęśliwszy jest p. Lenartowicz w poezyi czysto opisowéj, w potocznéj pogadance, dość szczęśliwy w kreśleniu lekkich, cichych, łagodnych uczuć serca, lecz ilekroć wznieść się chce do sfery wyższéj poezyi, ilekroć zbliży się do głębszego uczucia, do energiczniejszéj namiętności, skrzydła wyraźnie mu słabną, i mimo wszelkich usiłowań, ku zielonym go łąkom i ku szumiącym zbożami polom ciągną. Sąd nasz udowodnimy przykładem. Bardzo piękny jest obraz ziemi polskiéj w wierszu pod tytułem ***Jak to na Mazowszu***!

Po szerokiém polu modra Wisła płynie,
Pochylone chaty drzemią na dolinie,
Nad wodą zgarbiony stary dąb żylasty,
Kędy bielą płótna wesołe niewiasty.
Po łące bociany stąpają powolne,

W owsach jednostajnie brzęczą swierszcze polne.
A z borów cienistych leśnéj okolicy
Rozwiewa się wonność sosnowéj żywicy.
Po niebie obłoki jak bieluchne runo,
Słoneczkiem przeciekłe, pod błękitem suną.
Na wodzie, na Wiśle, wśród ciszy poranka
Płynie łódź flisowska, jak szara cyranka,
A za nią ładowne pszenicą galary,
Szum wioseł na falach, śmiechy i gwary.
Po boru *jagody dziewcze rwie na wrzosie*
I opiewa miłemu: Pędź głosie po rosie.
Po długiéj dolinie tęskne tony cieką
I słychać piosenkę daleko, daleko.
I gdzie się obrócisz nad Wisłą, nad Bugiem,
Brzmi nuta serdeczna za bydłem, za pługiem,
Po wodzie srebrzystéj, po zielonym gaju —
Jakby jedna dusza była w całym kraju i t. d.

Z równym talentem napisane są wiersze *Na Lipę słowiańską*, *Lirnik, Bandurzysta* przypisany Stanisławowi Szczepanowskiemu, (choć bandurzysta ten przy końcu na bardzo już rozstrojonych gra strunach), *Mazur*, *Baśń o walecznym księciu*, z któréj dla tego tylko nieprzytaczamy kilka wyjątków, że jest już znaną z Krzyża a Miecza, nakoniec częściami przynajmniéj *pogadanka o Wernyhorze*. *Sen króla Jana* ma podpis r. 1846, zapewne dla przypomnienia że był napisany przed wierszem p. Szajnochy *Jan III w Tumie S. Szczepana.* Porównanie dwóch tych poematów na jednéj myśli osnutych, najdobitniéj pokazuje słabą stronę p. Lenartowicza. Uśpiony zwycięzca pod Wiedniem, miał widzenie przyszłych losów swojéj Ojczyzny, *a gdy obraz zniknął i sen zniknął.*

Powstał, poranek świtał biały,
Mgły nad Dunajem błękitniały.
Wojsko, rycerstwo i lud mnogi
Wiódł króla, sypiąc mu pod nogi
Wawrzyn, i róże wonne, białe,
I głośno króla śpiewał chwałę.
A król co prędzéj w kościół bieżał
I godzin cztery krzyżem leżał,
Prosił Boga we łzach smutny,
By się nie sprawdził sen okrutny.

Co za ubogie zakończenie, co za różnica myśli i uczucia; jeśli go porównamy z ostatnią zwrotką wiersza p. Szajnochy.

W żałobnéj, słów bożych porażon postrachem,
Cichości, powraca król do dom.

I cały już żywot upływa mu smętnie,
I zda się krew wszystka zakrzepła mu w tętnie,
Och marnie dzień w dzień dogorywa.
Zdziwiony świat pyta: Coć królu? bo nie wie,
Że jemu w płomiennym wieszczb bożych owiewie,
Och! serce zgorzało za żywa.

Na końcu zamieścił p. Lenartowicz ***Monolog Tyrteusz***, który, z żalem powiedzieć musimy, jak nie przypomina ziemi polskiéj, tak podobno mniéj jeszcze jest obrazkiem wziętym z ziemi greckiéj. Nie ma w nim jednego słowa które prawdziwy Tyrteusz mógłby powiedzieć. Nie jesteśmy wymagającymi do tego stopnia abyśmy koniecznie od poety historycznéj ścisłości żądali, ale zdaje się nam że wiersz historyczny tytuł noszący, przynajmniéj cząstkowo charakter narodu i ducha wieku przedstawiać winien. Goethe pisząc *Iphigenią* zda się greckiém powietrzem oddychał, a Tomasz Moore do wschodniéj powieści *Lalla Rookh* przygotował się czytaniem tysiącznych relacyi o krajach wschodnich. P. Lenartowicz niezadał sobie téj pracy, jego téż Tyrteusz mówi ***o ruinach królewskiego palacu, o walącéj się bazylice***, i dodaje nawet że:

Nad wozem tryumfatora pająk rozciąga swą siatkę.

Wyrzuca daléj Lacedemończykom

...... tylko w łaźniach siedzicie
Ciała swe wonnościami, oliwą namaszczając,
Bo drogiemi paliami ze złota, z purpur kosztownych,
Okrywacie ramiona pawic, różowo-złote.

A późniéj.

Oto na urąganie gdy przyszli wasi posłowie,
Z złotemi pierścieniami starce żałośnie proszący,
Przywołano poetę, mnie z Odeonu przyzwano,
Gdziem między muzykami zasiadał pieśni śpiewając.

i to wszystko miało się dziać za drugiéj wojny Messeńskiéj!

Na próżno łamaliśmy sobie także głowę nad rodzajem wiersza *monologu*. Domyślamy się że to miał być grecki hexametr, na wzór *pieśni Wajdeloty*, z tém wszystkiem jakże skandować wiersz następujący:

Przychodzę do świątyni, nie widzę tańców nadobnych,

a takiego rodzaju wierszy pełno

W otwartéj wojnie z całym cechem dzisiejszych polskich proroków niechcemy przesądzać przyszłości, nie chcemy zawczasu mówić co p. Lenartowicz zrobić potrafi, czego zrobić nie będzie w stanie, ale wnioskując z ogłoszonych dotąd jego

poezyi, śmiało powiedzieć możemy że jeśli chce osiągnąć tytuł wyższego lirycznego poety, musi szukać głębszych uczuć; a jeżeli za dramatyczną chwałą goni, musi się gruntowniéj w historyi rozczytać, a w sądzeniu o sprawach ludzkich cokolwiek wyżéj myślą podlecieć.

Trzy kazania z powodu pożaru Krakowa i list X. Kajsiewicza do swoich krakowskich przyjaciół.

Trzéj znamienici mówcy kościelni, w trzech odległych od siebie stronach wstąpili równocześnie na kazalnicę by się użalić wielkiéj klęski krajowéj i sądy Boże podczas ciężkiéj próby przypomnieć. Każdy z nich ozwał się w odmienny, właściwy sobie sposób, a przecież każdy jedném przekonaniem o jawności kary i o potrzebie poprawy był zagrzany. Dzisiaj wszyscy możemy czytać i ku zbudowaniu naszemu rozpamiętywać pełne gorliwéj chęci wyrazy kaznodziejów: dwa głosy zostały osobno wydrukowane, trzeci umieścił *Dodatek literacki do Czasu*. O tych ogłoszeniach donosząc, niechcemy poprzestać na prostéj wzmiance, owszem główniejsze ustępy trzech kazań zamieszczamy. Oczywistą jest rzeczą że w tym razie ani porównywać mów między sobą ani ich krytycznie oceniać nie sądzimy za potrzebne.

Kazanie X. Jełowickiego w Paryżu powiedziane (*) zaczyna się jak następuje:

I zawoła Pan Bóg zastępów w on dzień ku płaczu! Tak groził ludowi Bożemu Izajasz prorok, przepowiadając zniszczenie Jeruzalem. Tak téż grozili święci nasi ludowi naszemu przez długie lata; aż oto przyszedł za dni naszych on dzień straszliwy — i zawołał nań Pan Bóg zastępów do płaczu. Od stu lat blisko Pan i Bóg nasz woła nas do płaczu, bez którego zbawić nas nie może. Klęska po klęsce jak grom po gromie na nas uderza; a my jakoby ze skały, ani się pochylim ani się zapalim ku Panu, ani zapłaczem jak Bóg chce byśmy zapłakali; a owszem, po każdym gromie coraz więcéj czerniejem i kamieniejem — i wyzywamy go złością naszą, aby nas do reszty pokruszył, i niepoprawnych starł na proch, i rozwiał. Ale Bóg miłosierny chcąc koniecznie wybawienia naszego, wszelkim sposobem do płaczu nas budzi... Nie wspomnę już o brzemieniu nieszczęść, które od lat dwudziestu na świadectwo grzechów naszych a sprawiedliwości Bożéj dźwigamy po świecie; ale oto w dwóch ostatnich latach zda się że się nad Polską spełnia już przepowiednia Objawienia Pańskiego, że aniołowie gniewu Bożego, już czteréj, zatrąbili nad ziemią naszą; bo spadły na Polskę cztery straszne plagi: głód, mór, woda i krew; a krew bratnia, która o nową pomstę do nieba znów woła.... Biada ziemi polskiéj! piąty anioł zatrąbił i Kraków w płomieniach! I po

---

(*) *Kazanie z powodu pożaru Krakowa, miane w Paryżu w kościele Matki Boskiéj Wniebowziętéj dnia 9 Sierpnia 1850 przez X. Alexandra Jełowickiego.* Paryż, u Martinet. Przedaje się na rzecz założenia kaplicy Matki Boskiéj Wspomożenia Wiernych w domu Wencla w Krakowie.

trzech dniach ta matka Polski, ta chwała, ta ozdoba Polski, w popiele. Zgorzał ten gród nasz stary, przesławny, ten królów naszych tron i grobowiec, ten pamiątek naszych skarbiec, ta świętych naszych kolebka i szkoła, to miasto święte na świętéj górze i nad świętą rzeką, co tyle razy łzami naszemi wezbrała, ten świątyń naszych przybytek, to Jeruzalem nasze, ten Sion nasz, ku któremu wszystkich oczy i serca były obrócone. Zgorzał Kraków! Zaprawdę, tym gromem ugodził nas Bóg w serce, byśmy zapłakali.

Tu mówca kreśli obraz dawnéj pomyślnosci kraju i dzisiejszéj niedoli.

Zapytajcie, woła, tych z pośród was co żyją najdłużéj; co rzekną? Oto powiedzą, że coraz nam gorzéj; i każdy z was sam to już powiedzieć może. Czegoż to dowodzi? Ach! bracia mili, dowodzi to żeśmy coraz gorsi! Wielka to prawda, wielka prawda, od któréj uznania, wyznania i zrozumienia, zależy przyszłość nasza doczesna i wieczna. Nie będę tu wyliczał szeregu grzechów ojców naszych, bo wolałbym cnoty ich wyliczać; muszę wszakże wspomnieć o trzech grzechach głównych co zabiły Polskę... *Upadliście*, rzekł Pius IX. *dla tzzech głównych grzechów, dla ucisku Unii, dla ucisku chłopów, i dla rozwodów*... Te trzy grzechy narodowe w nas grzesznych synach grzesznych ojców naszych rozrosły się bardzo, a zapuściwszy głębsze korzenie więcéj też ostów i czerni zrodziły... Ucisk unii którym grzeszyli ojcowie nasi, u nas się rozszerzył na ucisk kościoła całego. Bo kiedy ojcowie nasi przez ucisk Unii wypowiadali posłuszeństwo kościołowi w téj rzeczy, my mu we wszystkiem posłuszeństwa odmawiamy, a nietylko słuchać go nie chcemy, ale tego od Boga ustanowionego rządzcę i sędziego naszego sądzić chcemy!... Wielu co najświętszego w kościele nazywa czczą formą, nawet Sakramenty święte; i miota się na to, co w kościele Bożym najważniejsze i najpoważniejsze, miota się na Ojca kościoła całego, na Papieża, sądząc sprawy jego, jakoby, nie mówię już równego sobie, ale podwładnego, i chcąc go uczynić ze sługi Bożego sługą zmiennéj i płochéj, jeśli nie zbrodniczéj opinii publicznéj. Zdaje się że zuchwałość ludzka daléj pójść nie może. Nie czcimy téj matki nad wszystkie matki, nie czcimy tego Ojca nad wszystkie ojce, a chcemy żeby nam Bóg błogosławił...

Kościoły nasze pustkami się stały i rozlatują się w gruzy, bo ich nie podpieramy wiarą, bo ich nieopasujem miłością, bo ich nieodnawiamy nadzieją. Ze stu świątyń krakowskich, za dni naszych liczyliśmy już tylko czterdzieści. Rosły z wiarą kościoły, z wiarą upadają. Na co tyle kościołów wołają bezbożni! Na co? na świadectwo wiary i miłości naszéj, na mieszkanie w pośród nas Boga utajonego w przenajświętszym Sakramencie, na mieszkanie nas wszystkich w Bogu. Kościołów trzeba przynajmniéj tyle, aby starczyły na pomieszczenie w jednéj i téj saméj chwili ludności całéj w dni święte... Paryż co swe kościoły poburzył, dziś je znowu stawia, bo w tych co pozostały zmieścić się nie może. Kto więc kościoły buduje? Oto ci co sami są kościołami Bożemi przez ducha wiary, który w nich przebywa. Kto kościoły burzy? Oto ci co podług wyrażenia pisma świętego są grobami pobielanemi. I na nas tułaczach, których Bóg dla pokuty i poprawy z Ojczyzny wygnał, cięży ten grzech ciężki: Bóg miłosierny dla pociechy, nauki i uświęcenia waszego, na ziemi wygnania polski wam kościół otworzył: wy go zamykacie. Trudno was doń zwołać, nieprzychodzicie, chyba dla jakiéj narodowéj pamiątki, raczéj z miłości Ojczyzny jak z miłości Boga. I w tém właśnie grzech nasz najcięższy, że więcéj miłujem Ojczyznę aniżeli Boga, grzech bałwochwalstwa, przez który miłość Ojczyzny, tę tak piękną cnotę, zmieniamy w przestępstwo; boć przestęp-

stwem jest nie kochać Boga nad wszystko. Iluż to między nami brnąc w téj bezbożności, bluźni Boga, że się źle ojczyznie dzieje; a właśnie dla tego się jéj źle dzieje że bluźnimy Boga. Iluż to w téj bezbożności odwraca porządek przez Boga ustanowiony, i zamiast służyć Bogu przez Ojczyznę, która jest sługą Bożą, chcą aby Bóg stał się jéj sługą, który jest jéj Panem jak Panem wszystkiego. Jedni narzucają Bogu warunki pod jakiemi służyć mu gotowi. Drudzy posuwają tę bezbożność aż do świętokradztwa, używając rzeczy najświętszych do swych szalonych zamiarów, gdy przed pobożnymi udają pobożnych, aby ich użyć za narzędzia swoje .... Była jeszcze większa bezbożność, gdy źli kapłani i źli zakonnicy, którymi najciężéj Bóg narody karze, zamiast płakać grzechów swoich i naszych, zmienili pokutne wory na kuse katanki, stuły na lederwerki, kaptury na przyłbice i już nie z krzyżem ale z bagnetem w ręku stanąwszy w szeregach wojsk naszych, wnieśli w nie niebłogosławieństwo Boże zawisłe nad ich głowami. Nieszczęśliwi, wyście prawdziwie nie wiedzieli coście czynili! A wy wodzowie nasi czyście wiedzieli coście czynili przyjmując tych obłąkanych, którychby w dawnym zakonie wyrzucono za obóz jako trędowatych; czyście wiedzieli coście uczynili? Zaprawdę nie wiecie co czynicie wy wszyscy, co za pierwszy przymiot w księdzu i zakonniku macie patriotyzm, co dla téj jednéj cnoty, która im wydatniejsza tém pewniej bywa tylko pokrywką zdrożności, wszystkim ich zdrożnościom wtórujecie tą dziwną pochwałą, że ksiądz patriota. Nie wielka to pochwała dla każdego, jeśli na inną kto nie zasługuje, ale dla księdza a tém bardziéj dla zakonnika, ach! ta pochwała szyderstwem. Ksiądz patriota! Cóż to znaczy w pospolitém rozumieniu? Oto znaczy księdza niespokojnego, niepilnującego swoich obowiązków, oddanego staraniom niby o dobro ojczyzny ziemskiéj z zaniedbaniem ojczyzny niebieskiéj, dla któréj jedynie jest ustanowiony; księdza który z szatańską odwagą zrywa święte śluby, rzuca kościół dla klubów a niebo dla ziemi. ..

Daléj wynurza mówca że mało się kto garnie do wyłącznéj służby Bożéj mało nawet kto dobrze się modli: z kolei wspomina o ucisku chłopów a potem przechodzi do rozwodów. W ustępie o rozwodach jest energiczny obraz zepsucia obyczajów.

Na co dawniéj, powiada kaznodzieja, oczy i uszy zamykano, dziś na to tylko patrzą, o tém tylko słuchają, o tém tylko mówią; tak że i drobnym dziatkom, w obecności ich rodziców, a niekiedy i sami rodzice, z pod skrzydeł ich Aniołów stróżów wykradają skarb najcenniejszy, niewinność i czystość.

Tu zwraca się ks. Jełowiecki do smutnego wydarzenia które miał głównie na myśli i wykrzykuje: Grzechy to nasze Kraków podpaliły.

Ogniem odbiera nam Bóg świątynie, bo pustkami stoją, bośmy je napełnili grzechem, bośmy na sługi Boże nie spieszni. Ze czterdziestu pozostałych świątyń Krakowa, oto cztery w jednym dniu spłonęły; a między niemi ten sławny kościół Dominikański, pomnik starodawnéj polskiéj pobożności, a w nim i ta kaplica święta Matki Boskiéj Różańcowéj, w któréj krzyżem leżąc nasz król bohater Jan III, przez Matkę Boską pod krzyżem stojącą, wziął moc z krzyża na zwycięztwo pod Wiedniem....

Ach bracia mili korzystajmy z miłosierdzia Pańskiego, bo snać nie odrzucił nas kiedy karać raczy. Wyznawajmy o bracia żeśmy zasłu-

żyli na karanie Boże. Ach, Panie! tyś nam słusznie popalił świątynie; my Ci je słusznie, Panie, odbudujem — dopomoże nam do tego własna matka Twoja. Dopomoże nam Marya, tylko jéj służmy, tylko dla jéj miłości grzechu zaniechajmy. O Maryo! ty nas naucz jak mamy odbudować Kraków, w którymbyśmy znowu czcili Cię jak królowę, kochali jak matkę!

Kończąc opowiada jeszcze kaznodzieja o uratowaniu domu Wencla na którym był obraz Matki Boskiéj, opisuje obraz i wzywa do składki na ufundowanie z owego domu kaplicy *Matki Bożéj Wspomożenia Wiernych.*

Ks. Alexy Prusinowski kazanie swoje (*) w dzień Ś. Jacka powiedział. Poświęcone jest ono głównie przypomnieniu żywota i prac apostolskich świętego założyciela klasztorów dominikańskich w Polsce. Dopiero pod koniec znajdziemy wymowny zwrot do czasów obecnych.

Czyliż, woła mówca, nasze czasy nie podobne owym wiekom? Wszakże i dzisiaj to samo pomieszanie wyobrażeń cały skład towarzystwa ogarnęło, przez wszystkie warstwy spółeczeństwa i przez wszystkie życia ludzkiego kierunki. Ustała gorliwość w wierze; pobożność, fanatyzmem od jednych przezwana, od drugich przedzierzgnięta jakoby w szyderstwie na czcze zachowywanie obrzędów bez ducha, myśli i serca, przy obłudném zapieraniu się wiary tam, gdzie chodzi o wyparcie się swych ukochanych grzechów i bezwstydnie upiększonych występków; gwałt i ucisk prawem, a pokonana sprawiedliwość mieni się rokoszem, pogwałcenie własności zasługą i wolnością nazwane, a pokora i zaparcie się siebie samego wyszydzone jako głupstwa, posłuszeństwo kościołowi zowie się ciemnotą, a oświatą zaprzanie Boga, Chrystusa i Jego zakonu. Zepsucie dotąd w obrębie myśli i rozpraw powstające, toruje sobie drogę do życia; — to też zarażone jadem grzechu wszelkie żywotne stosunki, związki małżeństwa luźno chodzą i coraz swywolniéj się rozpuszczają, a z rodziny rozwiązaniem upada wszelka wiara w stałość i siłę gmachu społeczeńskiego, dzieci z rodzicami, służba z gospodarstwem koniecznością tylko chleba powiązani, rozprzęgają jedno ogniwo po drugiém z tego wiecznego i wielkiego łańcucha, co ma ludzi do jednego spajać grona bractwa ludzkiego na ziemi, a ziemię całą połączyć z Ojcem na niebie. Wszelkie wyobrażenie władzy albo nadużyte i w bałwochwalstwa grzech śmiertelny zamienione, albo poniewierane, służyły za hasło rokoszu przeciw wszelkiemu porządkowi i prawu. Jedném słowem zamęt powszechny w głowie i sercu wszystkie podważył zasady naszego życia, a my znów głodni prawdy i pragnący miłości, tęsknimy utęsknieniem wielkiem jak żydzi na puszczy do ziemi obiecanéj, albo w niewoli babylońskiéj do nowego żywota. A co podobno smutniejsza jeszcze ze niewidzimy tych dni głodu i własnéj niedoli, jako suchotnik chorobą ciężką złożony, który nie widzi co chwila zbliżającéj się śmierci. Nie daj Boże byśmy tak długo własną zaniedbali chorobę, pókiby nas zgon nie zaskoczył, spraw abyśmy się prędzéj spostrzegli i tam dążyli o pomoc i ratunek gdzie jedyną pomoc znaleźć zdołamy. Zajrzyjmy w księgi naszéj przeszłości, a co ojców naszych i dziadów w takich

(*) ***Kazanie na uroczystość S. Hiacentego miane w kościele XX. Dominikanów w Poznaniu przez X. A. Prusinowskiego.*** Poznań, u Poplińskiego. Przedaje się na odbudowanie zgorzałego kościoła XX. Dominikanów w Krakowie.

samych epokach leczyło, to i nas uleczy i do zdrowia chrześciańskiego przywiedzie.... A jeśli obraz, którym skreślił o cnotach i działaniu świętego Hiacentego nie dość przemówił do serc waszych, niechaj pamiątki na nim przekazane potomności, niechaj szczątki jego instytucyi żyjące do dzisiaj dnia na ziemi naszéj, upomną nas i pierwiastkową surowość chrześciańskiego obyczaju a słodycz chrześciańskiéj nauki wrócą do odrodzonego pokolenia. Jeszcze tu i owdzie widzisz śnieżną szatę uczniów Hiacentego świętego w zakonie kaznodziejskim, może słowo tego zakonnika nie zdoła odzyskać władzy nad tobą, może nie przemówi do serca twego tyle gorliwie, niechżeż sam zakon, niechżeż postawiona wśród nas instytucya będzie głosem napomnienia świętego Hiacentego, jakoby z drugiego świata przemawiającego do oziębłych i obojętnych. Prawda że wielką nam Bóg dał uczuć karę, bo ileż to już klasztorów zakonu tego bezludnie stoi, owdowiałe kazalnice z których usta głosiły kiedyś słowa Ewangelii, puste chóry, w których dniem i nocą pieśni pochwalne do nieba się unosiły z serc Hiacentego i Czesława, na roścież otwarte klauzurowe wrota, których wieczyste zamknięcie Bzowskich w opuszczeniu nam wychowało... Ależ nam jeszcze pozostały kościoły tego zakonu, jeszcze w tych samych murach głosi się słowo Boże i śpiewa się pieśń syońska i te pomniki świętego Hiacentego, niech one do nas przemówią. Powstańcie z grobów waszych zakonnych braci szeregi, nabierzcie życia na grobowcach posągi, wyjdźcie z płócien waszych obrazy i przemówcie do rodzaju słowem groźném napomnienia, przypomnijcie mu przykład świętego, którego cnoty i praca tylu zbawiły, podczas gdy my do własnego zbawienia nie mamy dość siły wewnętrznéj. Ty mianowicie kościele świętéj Trójcy, krakowska kolebko zakonu kaznodziejskiego, przemów ty do ludu z bliska i z daleka; ile to modlitw z pośród twych murów wydał święty patron, ile nocy bezsennych strawił na twych kamieniach w rozmyślaniu pobożném, ile razy ręce wyciągał jako Mojżesz nad ludem sobie przez Opatrzność powierzonym; przemów grobie, który błogosławione zwłoki świętego patrona dzierżysz do póznego rodzaju, by się czuł pobudzonym do cnot, które tyle stworzyły błogosławieństwa pomników. Toć przodki nasze z taką miłością gromadzili się w téj świątyni dla pamiątki tego wielkiego kapłana; przemówcie sklepienia odwieczne w których ojcowie składali swe zwłoki, aby i po śmierci zostać niejako pod opieką świętego Hiacentego, aby razem z nim powstać przed tron Boga sędziego na sąd ostateczny. W tym ś. kościele złożyły dostojno narodu książęta swe popioły — tam spoczywa Leszek książę, tam Iwo biskup, owdzie Zbarazcy książęta leżą — ale co mówię, co widzę raczéj? Kościół świętéj Trójcy w stolicy naszéj w gruzach i popiołach, zgliszcze niedopalone, odymione mury, nagie ozdoby ścian, sięgają do nieba skargą, żalem, czy modlitwą? Zwalone na ołtarzach kamienie, potłuczone marmury, zarzucone groby, straszną do serc naszych wywołują mowę! Czyś Panie potężny do tyla widział dzieci twe grzeszące, że im i te drogie z przed oczu bierzesz pamiątki? Lub czyli nas chcesz doświadczyć czy zdołamy to z gruzów podnieść i ozdobą przyodziać co ojcowie nasi pobożną ręką wystawili? Nie bierz nam Panie tych ołtarzy! Pozwól Boże aby kapłani z ludem z tych samych jeszcze miejsc do Ciebie upokorzone wyciągali serca, które Hiacenty swemi pobłogosławił modlitwami! Patrzcie chrześciańscy bracia! Pan Syonu wypuścił iskrę płomienną, a ogień karny w perzynę obrócił ozdobę miast naszych, modlitwy świętą pobudkę i groby świętych i błogosławionych mężów. Z rumowisk rozgrzanych jeszcze ogniem wyciągają do was zakonnicy ubodzy rękę, byście im pomogli odbudować święty grobowiec ich patryarchy, a patrona naszego ludu, czy-

liż nie stanie pobożności w pokoleniu naszém na to, by to dachem pokryć co wystawili ojcowie? Czy nie potrafimy pobielić odymionych ścian, wzniesionych przodków ofiarami? Czyś za ubogi na sercu by się zdobyć na chętną ofiarę? Alboś do tyla zubożał w gniewie Pańskim, że niemasz szeląga, by rzucić grosz wdowi do ofiar skarbnicy? Zdobądźcie się na jedno i drugie! Zamożniejszy bracie! pójdź w pomoc nie jednemu z twych bliźnich, ale miastu całemu, ale narodowi całemu, ale chrześciańskiemu kościołowi, pomóż mu hojną prawicą odświeżyć pomnik tego świętego męża, który poświęcenia najgorliwszego wzór z siebie dał żywy współczesnym i potomkom. Oto w uroczystość tego świętego i tutaj w kościele kaznodziejskiego zakonu wystawiono skarbnicę na dźwignięcie z upadku téj ukochanéj ojcom naszym świątyni, rzucajcie swoje ofiary bogacze i maluczcy, sięgaj drobną rączką pachole małe i rzucaj grosz twój do wspólnego zasiłku, — i ty wdowo i sieroto poszukaj twego szeląga i złóż go obok złotych darów zamożniejszych braci! Może Bóg twojego tylko czeka serca i twojéj jałmużny, by się w gniewie przebłagać i kary chłostę uśmierzyć, może na twój tylko szeląg czeka miłosierdzie Boże by świetniejszém z gruzów wywołać, co w doświadczeniu o ziemię Pan sprawiedliwy powalił!

Ks. Antoniewicz ozwał się z gruzów kościoła Ś. Trójcy po uroczystém nabożeństwie, które się 12 Sierpnia przed drewnianą figurą Chrystusa ukrzyżowanego oszczędzoną przez płomienie odprawiło. Wspomnieć należy, że właśnie w owéj chwili zakładano ankry ku odbudowaniu murów kościoła. Z krótkiego kazania które nam *Dodatek literacki Czasu* (Ner. 21) podał, przytaczamy kilka okresów.

Jakiż to widok bolesny i smutny, były słowa natchnionego mówcy, przedstawia się oczom naszym? Ściany okopciałe, walące się mury, gruzy, proch i popiół! Przez otwory wypalonych okien wyziera zgroza, spustoszenie i śmierć, jakby mówiąc: patrzcie co to są dzieła ludzkie — pod ręką gniewu Bożego padła jedna iskra, gniew Boży ją rozdmuchał, i w morzu płomieni stopiły się kruszce i kamienie, — a każdy przechodzący potrząsa głową, palcem wytyka i milcząc patrzy i patrzy — że ledwie oka łzami nie wypatrzy! a jeśli ma wiarę zawoła: o Boże! jakże wielkim jesteś w miłosierdziu Twojém, ale jak straszny w sprawiedliwości swojéj! Wejdźmy, wejdźmy — w środek téj świątyni! O nie — nie wchodźmy! po cóż? tam głucho, tam straszno, tam pusto, tam grób, a stróżami tego grobu to te cztery kaplice, których płomień nie śmiał tknąć — to te posągi które zakamieniałém okiem i sercem zdają się przemawiać i pytać: cóż to się w około nas stało! A to grobowe milczenie przerywa tylko ta cegiełka co oderwana pada od sklepienia — jak łoskot łzy kamiennéj! Jak widmo grobowe stoi ta wieża przed nami! Ale wieżo gdzie dzwony twoje? Dzwony moje milczą! długo dzwoniły jęcząc groźbą i prośbą do ludu całego aby się nawrócił, bo gniew Boży nad głowami naszemi, nad miastem naszém; ale na próżno! nikt jęku nieusłuchał, nikt jęku ich nie rozumiał — a te dzwony stopiły się w upale ognia jak dusze wasze w upale cierpienia — pękło ich serce, jak serce narodu! Ściany świątyni, gdzież ołtarz, gdzie ofiara? O ileż razy ten ołtarz, ta ofiara zelżoną była! a dziś ołtarz to garść popiołu — ofiara to łza! — O niedawno, niedawno temu, dzwoniły te dzwony, po raz ostatni — tak wdzięcznie i silnie, jakby całą Polskę tu zwołać chciały, może niejednemu dzwoni jeszcze w sercu echo tego dźwięku. Po raz ostatni huczały te organy na chwałę Bożą i może

jeszcze nie przeschła ta łza którą wywołały z duszy. Po raz ostatni... O nie! któż się odważy to wywrzec! Czyż ten Bóg który świat z niczego wyprowadził, nie podoła wznieść obaloną świątynię swoją?... Patrzcie oto na téj przepalonéj ścianie świeci krzyż — wszystko runęło, krzyż nie runął — wszystko ogniem spłonęło, krzyż nie spłonął.... gdzie krzyż stoi tam stoi nadzieja — gdzie krzyż tam zwycięztwo. Myśmy krzyż Chrystusa nogami zdeptali i padł na nas i zgruchotał nas siłą swoją — padnijmy pod krzyż a on nas wydźwignie..... Zagasła lampa przed Najświętszym Sakramentem, bo zagasła lampa wiary w sercach naszych — o zapalmy ją na nowo a Bóg zapali lampę swoją. Wiara polska wybudowała ten kościół, wiara polska odbudować go potrafi! Jeszcze ogień tleje w popiele, jeszcze gruzy nie wywiezione, a już ochoczo biorą się do pracy ręce. Nie, nie ręce ale serca, bo kościoły, to nie ręce ale serca budują... Sercem i groszem, ręką i modlitwą zacznijmy ten kościół budować, ale zarazem weźmy się szczerze do odbudowania kościoła wewnętznego w duszy naszéj, bo i ten kościół ogień namiętności wypalił, bo i tam tylko popioły i gruzy. Miłość niechaj będzie architektem tych kościołów — wiara kamieniem węgielnym. Wkrótce zabłyśnie krzyż na wieżach tego domu i na sercach naszych nadzieja zmartwychwstania na czas i na wieczność.

Ks. Kajsiewicz przesłał do Krakowa list otwarty dotąd nieogłoszony. List ten noszący napis: ***Do moich miłych w Krakowie po miasta pożarze***, w całości tu podajemy.

Pisze ks. Kajsiewicz:

Milczenie moje dziwi was zapewne i gorszy. Czy serce jego wystygło jak śniegi na pirynejskich szczytach, czy skamieniało jak skały śród których mieszka, czy już spół-czuć, spół-cierpieć nieumie? i taka skarga wystąpiła może na niejedne znane mi usta, u innych skonała w samém poczęciu, odrzucona jak sąd niesprawiedliwy. A przecie jakbym słyszał niemy żal dusz nawykłych dostawać, a przynajmniéj wyglądać odemnie pociechy: „dla czego milczy gdy my tak „głośno płaczem, on duchowy spółobywatel, spółkrakowianin „nasz?“

O najmilsi moi, bo do wszystkich przez jednego piszę, o najmilsi moi! żałobne wieści z gruzów grobu waszego rozległy się przeraźliwie po najgłębszych zakątach duszy mojéj, jak piorun powtórzony tysiącznem echem, śród jarów i przepaści Karpat naszych. Osłupiałem i zaniemiałem.

I byłem spokojny jak niewiem co, jak niewiem kto, może jak obłąkany. Bogdaj byłem nawet na chwilę wesoły, jak żona, jak dziatki przy łożu skonałego ojca, męża, konające śmiechem, aż łzy nieprzyjdą.

Sądziłem że już wszystko wypaliło się, wygasło we mnie. Sądziłem że serce od ciągłéj, zbytniéj, a wciąż jeszcze rosnącéj boleści, przecierpiało się, przesiliło, obumarło. I zląkłem się siebie i sam sobą brzydziłem jakby trupem, nieśmiejąc się przyznać nikomu, cóż dopiero wam!

Potem wszystko zadrżało, zakipiało we mnie, dziwnie silnie, dziwnie głęboko, jak kiedy lawa mocuje się zbrzemieniem cisnącéj ją góry, szukając sobie gardła do odetchnienia trawiącym ją płomieniem. Poczułem że to było poruszenie ze krwi, poruszenie ludzko-zwierzęce, które już nieprzyjaciel dusz naszych swém zarzewiem rozdymał, i zląkłem się, bym z Hiobem niewyrzekał, nie złorzeczył. Bym niezłorzeczył narodowi mojemu, nad którym gniew Boży zawisł jak niebo miedziane, jak ołów kapiący — jak ogień trawiący wszystko na węgiel, węgiel trawiący na popiół, i popiół sam jeszcze pełen iskier z wichrem na świat posyłający.

I obróciłem się do Pana i kładłem gęste krzyże na sercu cisnąc je dłonią, i kładłem gęste krzyże na usta tuląc je ciasno, by mi się serce nie wyrwało, by na usta nie wystąpiła grzeszna skarga, najgrzeszniejsza na ustach kapłana. Dopiero po dniach wielu, kiedy dusza zapłakała, kiedy się rozkwiliła, poczułem że żyję, że cierpię, i dowiedziałem się ze dziwieniem że ten Kraków nasz stary, Kraków nasz Święty, i was w nim tyle ukochałem.

O! jakbym chciał być teraz śród was, by z wami cierpieć, by z wami płakać, by z wami płaczących cieszyć, głodnych karmić, bezdasznych grzać, i tulić. Jakbym się chciał nająć, dać w zastaw, by tylko coś przysporzyć do karbony dla pogorzelców miłych. Ale gdy to niepodobna, gdy i ceny pałacu na odbudowanie chat i Swiątyń dać nie mogę, ani papierów drukowanych jakichby wam potrzeba posłać: posyłam ten papier zapisany, com wybolał, com wychorował, com wymodlił, łzy moje zastygłe, westchnienia skrzepłe, bogactwa moje!

Więc już Krakowa jakim go znałem niema! Gniew Boży nieprzeparty, niepowstrzymany, przypadł znagła, przeszedł po środku, i oto slep czarny między grobem Śgo. Stanisława a wieżycami Matki Najświętszéj. Lud wielkim stoi obozem, pan zarazem i sługa, bez ducha, bez chleba; załamują dłonie, płaczą dostatku, płaczą chudoby, ale więcéj płaczą pamiątek i świątyń Pańskich. Święcie płaczą, obyśmy z nimi płakali za nas samych, za grzechy nasze, i za tych którzy swoich nie płaczą.

Stał gród Śgo. Franciszka na przeciwko grodu Śgo. Dominika jak gdyby dwa olbrzymy podpierające się wzajem, i rozmawiające z sobą; dziś legły oba na ziemi. Polska im niedostarcza mieszkańców jak dawniéj, Bóg zabrał mieszkanie. Oby przynajmniéj starczyło gruzu do zbudowania namiotu rzadszym coraz sługom Bożym.

Więc i Świątynia Odrowążów stoi naga i poczerniona Znikły te kurytarze pełne napisów i pomników, narodowe

smętarze i muzea. Słusznie, mało już kto rozumiał, mało kto z tego pokolenia, obcych szukającego Bogów, czcił te pamiątki dawnych, sławnych i pobożnych czasów.

Poszło z dymem archiwum pełne sladów prac apostolskich po szerokim świecie synów Sgo. Jacka, wielkiego apostoła wschodu i północy. Słusznie, bo gdzie dziś u nas czciciele apostolstwa i świętości? Uczeni nasi niby dziejo- a bajkopisarze, puszczają ślinę rozpustnéj krytyki na męczenników cnoty. Szczepanowski zdrajca i Baryczka buntownik, Bolesław umiarkowany i Kazimierz wstydliwy?!

Drżałem bym nieposłyszał że i trumny Śtéj Salomci i Śgo Jacka roztopiły się i zapadły, że prochy ich święte uleciały ku niebu, opuszczając tę ziemię któréj strzegły. Dzięki najwyższemu że tak nie jest; że te odgromniki gniewu Bożego, jeszcze nam pozostały, byśmy do ostatka skruszeni niebyli. Klasztory i kościoły mogą się dzwignąć z popiołów, mogą się w nowe przybrać szaty, ciał Świętych niemożna by było odbudować.

Ale już téj kaplicy rożańcowéj niema z któréj król Jan poszedł pod Wiedeń, z któréj pobożny lud krakowski wychodził w tryumfie śpiewając i chwiejąc chorągwiami przed obrazem Boga-rodzicy, kolanem przypadając do ziemi, a sercem wyskakując aż ku niebu.

Tak wygląda Świątynia Trojecka, w któréj ja pielgrzym, gość przechodni na grzędzie ojczystéj, kazałem pokutę, i hymn na cześć matki Boskiéj i śgo Jacka zawodziłem, gdziem dawne i nowe grzechy ludowi wyrzucał, dawne i nowe miłosierdzia Pańskie przypominał, obecne i przeszłe chłosty rozpowiadał. Poszedł z dymem kościołek unicki. Czy to zapowiedź że ten kościół, tak już obcięty i podcięty, ma téż upaść niesławnie? czy znowu za srebrniki Chrystus na krzyż pójdzie? czy znowu zaczną dusze dżdżyć gęsto do piekła, jak kiedy wicher otrząsa drzewo z przejrzałych owoców?

Śty Józef, pomocnik dzielny a łaskawy w ostatnich chwilach żywota, wymazał z Krakowa murowane imie swoje; czy i opiekę? czy nie tylko za życia, ale i przy śmierci mamy już być opuszczeni?

Wszystko co miłe, wszystko co piękne, wszystko co święte, marnieje i znika. Kościoły i ołtarze, ludzie i rzeczy, pamiątki i nadzieje, popioł i gruzy pod nogami; popioł grobowy w sercach, dym i kurzawa w głowach. Czy taka czczość straszniéjsza, czy pełność taka?

Więc już Krakowa jakim go znałem niema??

Gdzież się podzieli owi wieszczowie, owe mędrce, owi prorocy nowożytni nasi, zapowiadający nam koniec wszelkich cierpień,

królestwo niebieskie zstępujące, a najprzód raj na ziemi naszéj? O biada nam, że górnemi swemi bluźnierstwy, chłosty pańskie na wszystkich sprowadzają! Ludu mój! obacz się że cię zwodzą, że Pan ich nie posłał, nie natchnął. Poznaj nareszcie że nic i nikt tego nieuchowa, kim i dopóki Pan pomiata, poznaj że niema złego w mieście któregoby Pan niedopuścił. Jeruzalem, Jeruzalem, nawróć się do Pana Boga twego!

Wszystko co miłe, wszystko co piękne, wszystko co święte, marnieje i znika, ale nam Jezus i Marya pozostają. W chłoście saméj dają znaki swéj opieki i wskazują że w Ich tylko imieniu zbawić się możem. Gdzie ogień wszedł tam niewyszedł, ale się przed wizerunkiem Jezusa, i obrazem Maryi zatrzymał. Ta sama Matka Najświętsza która przed laty ponad krwią świeciła na zamku, teraz z po nad płomieni świeci na rynku.

Mądra i święta myśl zaczynać odbudowanie miasta od postawienia ołtarza Maryi *wspomożenia wiernych*. Z Jezusem i Maryą w sercach, Jezusem i Maryą w ustach, postawim Kraków drugi, jak stanęło ongi drugie Jeruzalem, i jeszcze w nim hymn dziękczynny zanucim, gdy się nam grzeszyć, Panu karać sprzykrzy. Jeruzalem, Jeruzalem, nawróć się do Pana Boga twego.

Jeżeli Pan tak czyni z drzewem zieloném, cóż z suchém pocznie? Jeżeli tak z Krakowem gdzie może mniéj grzechu jak gdzieindziéj, a pewno więcéj wiary i miłosierdza: cóż będzie z resztą ziemi naszéj? Jeżeli tak z nami których Pan tak dawno, tak starannie karze, cóż będzie z temi których jeszcze karać niezaczął, ukarać nie raczył? Jeruzalem, Jeruzalem, nawróć się do Pana Boga twego!

Więc już tego Krakowa jakim go znałem niema??

Wypadki Poznańskie z roku 1848 opisane przez Jędrzeja Moraczewskiego — Poznań u Kamieńskiego i Sp. 1850.

P. Moraczewski nowe to dziełko jako historyą, jako dalszy ciąg i uzupełnienie swoich Dziejów Rzeczypospolitéj polskiéj przedstawia. Zaprzeczamy podobnemu uroszczeniu. Współcześni niepiszą historyi tylko pamiętniki. Pan Moraczewski ułożył pamiętnik, podał zeznanie świadka naocznego, niejako obronę swojego stronnictwa wygotował, historyi nienapisał i niemógł napisać. Broszura p. Moraczewskiego niema dla nas innego znaczenia jeno znaczenie pamiętnika. Zobaczmyż przynajmniéj czy odpowiada wymagalnościom tego rodzaju piśmiennictwa. Od pamiętników nieżąda się ani ścisłéj

bezstronności ani wszechstronnéj znajomości wypadków. Im jaki pisarz jest wyższy sercem i umysłem, tém szlachetniéj oceni przeciwników swojego zdania; ale jeśli nienależy do ludzi obojętnie i z góry na sprawy tego świata poglądających, jacy to ludzie zwykle pamiętników niezostawiają, czując żywszą skłonność do jednych jak do drugich rzeczy, skłonność tę szczerze i po prostu pokaże. Zkądinąd im prawdziwsze opowiadanie pamiętników, tém ich zakres ciaśniejszy. Najprawdziwiéj i najsumienniéj opowiada ten, co się do rzeczy blisko sobie znajomych albo ściśle sprawdzonych ograniczył. Dobre pamiętniki są jak dobre rozmowy: ożywione uczuciem indywidualném, pociągające szczerością i prostotą, chwilami namietne, ale zawsze trzymające się w karbach szlachetności i dobrego smaku. Tych wszystkich zalet brakuje broszurze p. Moraczewskiego. Niezaleca się ona ani szczerością, ani prostotą, ani szlachetnością względem przeciwników. Pozornie nie jest namiętna, w rzeczy saméj pełno w niéj namiętności i to najgorszéj, ukrytéj. Oczywista to rzecz z resztą, że przyszła nie w porę; zapóźno na proste zdanie sprawy, takie jakieśmy w naszém piśmie na razie skreślili, zawcześnie na dokładne, otwarte opowiadanie. Już i tak dziwi nas, że autor niektóre przedmioty bez potrzeby poruszył; ale kiedy raz zaczął pisać należało wszystko powiedzieć. Niedyskrecya po połowie, niema zasługi otwartości, a z innéj strony naganie podlega. Co nas nadewszystko u p. Moraczewskiego uderzyło, to przemilczenie ważnych faktów, w których brał udział osobisty, a z których publiczność miała prawo tłómaczenia oczekiwać. Nieznaleźliśmy ani słowa o publicznéj naganie jaką komitet przeciw p. Moraczewskiemu ogłosił; nadto, dzieje wewnętrzne zjazdu Pragskiego i zjazdu Wrocławskiego pozostały zupełnie zakryte. Po cóż było brać pióro do ręki jeśli się miało zamiar przemilczeć najciekawsze zdarzenia?

Ale zejdźmy do bliższego rozpatrzenia dziełka, biorąc je tak jak jest. Stanowisko z jakiego p. Moraczewski na dzieje polskie się zapatruje, wyjaśniliśmy dawniéj. Wiadomo powszechnie, że autor zadając gwałt historyi, i zniewalając w system at swobodnie przez ciąg wieków rozwijające się zdarzenia, widzi ciągle w Polsce zasadę i dążenia republikanckie. To samo znajdujemy i w broszurze o któréj mowa. Zaczyna się ona od wyrazów: „Dzieje polskie rozwijały się ciągle na „zasadzie czysto republikanckiéj; dopiero w konstytucyi 3go „maja chciano ustalić monarchią dziedziczną." Nieco daléj w zarysie usiłowań przed r. 1846 czytamy: „Rzucone zasady „demokratyczne, przepowiadania Polski republikanckiéj. Wy„swobodzenia jéj mocą stosunków czysto słowiańskich i dzie-

„jów Polski, wykazywanie tożsamości między monarchią a feu-„dalizmem, który w Polsce niepotrafił zapuścić korzeni, wią-„zały w jedną całość wszystkich Polaków, bez względu na „ich stare różnice co do urodzenia i stanowiska w narodzie. W innėm miejscu autor nawet do Francyi sięgnął i myśl niepodległości polskiéj z myślą rewolucyjną francuzką powiązał. „Literatura, są jego wyrazy, a nadewszystko słowo ust-„ne, żywe, zasilane z republikanckich dziejów polskich i z my-„śli postępowéj francuzkiéj, rozkrzewiało się i rosło." Powyższe przytoczenia dostatecznie punkt wyjścia broszury wyjaśniają. Co się tyczy opinii religijnych i towarzyskich autora, albo jego ogólnych maksym politycznych tę także z jego własnych orzeczeń poznać damy. Niechęć do katolicyzmu z jednéj strony, z drugiéj zamiar brania religii i duchowieństwa za narzędzie, uderzyły nas w kilku ustępach. Autor poddaństwo nazywa *niewolą chrześciańską*, o Piusie IX. powiada: „Papież Pius IX ze strachu poruszał myśl wolności," prócz tego zaręcza, że lud Księstwa Poznańskiego czytał chciwie książeczkę *Słowo Boże* „uznając ją prawie za słowo wprost z niebios wyrzeczone." Nie tu miejsce obszernie kwestyą poddaństwa rozbierać; dość będzie kiedy powiemy, że kościół wyzwalał z poddaństwa albo zasłaniał poddanych, że napominał i karcił możnych, a nigdy przemocy nieuprawniał; bronić Piusa IX uważamy za rzecz zbyteczną; co się zaś tyczy *Słowa Bożego* przypominamy, żeśmy już kiedyś złą stronę téj obłudnéj publikacyi wskazali. O księżach tak się autor wyraża: "Księżom trzeba oddać sprawiedliwość, że w zna-„cznéj części posiadając wyższą oświatę, umieli łączyć obo-„wiązek kapłana z obowiązkami Polaka i z usiłowaniem zni-„weczenia pęt niewoli, które krępowały całą Europę. Pocho-„dząc zwykle prawie ze stanu ubogiego, znali nędzę z jéj ha-„niebnemi skutkami, i częstokroć niepodzielając zdań towarzy-„stwa demokratycznego polskiego, które pracowało we Fran-„cyi, mimowolnie pracowali silnie w jego winnicy, a w roz-„prawach swoich zapuszczali się w głębinę socyalną niewie-„dząc o tém i myśląc, że projektują tylko drobne zmiany sto-„sunków, w myśl ewanielii i zasady, kochaj bliźniego twego „jak siebie samego." Pochlebstwo jest tu zupełnie przezroczyste. Wykładaliśmy dawniéj, że powstawać godzi się tylko wtedy, kiedy można mieć nadzieję wygranéj i że jest szaleństwem kraj na klęski i wycieńczenie przez zarozumiałość, niecierpliwość, albo współubieganie się stronnicze narażać. Stawialiśmy zdanie, że niekażdy ma prawo rozporządzać losami narodu i że trzeba koniecznie rozwagi i jasnego pojęcia odpowiedzialności w naczelnikach, którzy się hasło wydać odważyli. Pan Moraczewski inaczéj sądzi. On po-

chwala niedojrzałe przedsięwzięcia młodzieży, oświadczając: „nie żąda się od dwudziestoletnich młodzieńców rozwagi, nie„potrzebują jéj też wreszcie rewolucyoniści.” Teorya rewolucyi *na chybił trafił* jeszcze się jaśniéj u niego na inném miejscu pojawia. „Mierosławski, powiada, i z nim równie my„ślący zaczęli głosić... Podniesiona rewolucya może się udać, „ale choć pokonaną będzie nieprzeminie bez wielkich skut„ków, a zawsze niejako osłabi przedawnienie od rozbiorów „Polski, na korzyść ciemiężycieli wzrastające. Trzeba przy„znać, że powód ostatni był niemałéj wagi, i pomimo smu„tnych skutków, u człowieka co z wysokości dziejów a nie „z niziny chwilowych korzyści patrzy na narody, jeszcze dziś „swą wagę mieć może, i też niedziw że najrozumniejsi z pa„tryotów księstwa Poznańskiego zgodzili się nakoniec, iż war„to w imie Boże, chociaż i bez nadziei, podnieść oręż wyswo„bodzenia.” Wzmiankę o *najrozumniejszych patryotach* pomijamy bo nam się wcale żartować niechce, czego tylko niepodobna bez uwagi zostawić to tych maksym o konieczności ratowania sprawy od przedawnienia, wygodnych dla najdrobniejszych nawet rewolucyonistów a urągających zdrowemu rozsądkowi i historyi. Ogólniki podobne są najniezręczniejszém tłómaczeniem przeszłości. Każdy polityk omylić się może, tak jak każdy w razie niepomyślnego wypadku rozpoczętego przez siebie dzieła, zdoła do pewnego stopnia przejednać surowość sądów współczesnych dowodami dobréj woli i dobréj wiary. Ale wykładać swoje błędy systematem, trwać w niebezpiecznéj omyłce, spierać się z rodakami o gorzkie owoce doświadczenia, jest to zaiste wielkiém zaślepieniem albo niepospolitą miłością własną.

Oddawna utrzymujemy, że przed r. 1846, w r. 1847 i potém w r. 1848 istniały w Księstwie dwie opinie, choć wprzód i potém jedna tylko miała organizacyą stronnictwa. Byli tacy co chcieli przedewszystkiém pracy wewnętrznéj i przestrzegania obowiązków codziennych, co choć nigdy myśli niepodległości z oczu niestracili, porę uznając za niestosowną, jawnie ganili propagandę towarzystwa demokratycznego. Byli inni którzy wyprzedzając kolej zdarzeń i podobieństwa, sił narodu skrupulatnie nieobliczywszy, rzucili się na ślepo w zawód przez towarzystwo dem. wskazany i otworzony. I ci i tamci kochali ojczyznę, historya powie kto ją kochał lepiéj. Co dzisiaj już jest rzeczą wyraźną, to, że klęski 1846 r. sprowadziły zwątlenie, które się bardzo w r. 1848. uczuć dało. Bądź jak bądź, w r. 1848 skoro tylko okoliczności pokazały się sposobne, patryoci obudwu odcieni jęli myśleć o oswobodzeniu ojczyzny. Ani jedni ani drudzy nie są winni zawiedzionych nadziei, wszakże jedni i drudzy od razu inaczéj zrozu-

mieli wypadki, inaczéj pojmowali powinności. Pierwsi przez krótką chwilę uwierzyli że Prusy z Rosyą wojnę rozpoczną, w ogóle zaś oglądali się na ruch innych prowincyi polskich. Skoro ich te oczekiwania zawiodły, jęli przemyśliwać jak prowincyą z honorem z trudnego położenia wycofać. Ci zawsze chcieli dla usiłowań polskich niepodległego pola i nieradzili czystéj sprawy narodowéj ze sprawą radykalizmu łączyć. Drudzy spodziewając się wszystkiego od rewolucyi europejskiéj, nieprzestali wierzyć w wygraną dopóki tylko wrzały ruchy wielkich stolic. Ci bezprzestannie pokazywali skłonność pomagania radykalistom i sprawę polską solidarną ze sprawami rewolucyjnemi mieć chcieli. Wypada wspomnieć, że pierwsi życzyli sobie szczeréj pod godłem dobra ojczyzny zgody z drugimi, ale że drudzy nie o zgodzie ale o panowaniu i w komitecie i w lidze i w wyborach i w dziennikach i w każdéj okoliczności życia publicznego zamyślali. My tak ogólnie stawiamy kwestyą przystępując do rozpatrzenia jak p. Moraczewski, który jawnie do stronnictwa radykalnego należy, wykłada wypadki i charaktery, powody i następstwa, jak sposób widzenia swoich przeciwników politycznych ocenia. W téj robocie trzymać się będziemy kolei jego własnego opowiadania, kładąc drobniejsze rzeczy obok ważniejszych, a wszędzie o ile zdołamy prostując omyłki i uprzedzenia, że niepowiemy oszczerstwa. Jeżeli rodacy zwrócą uwagę na sądy i zdania p. Moraczewskiego, niemała ztąd nauka dla prowincyi naszéj i dla kraju wyniknie.

Zaczynamy od wstępu historycznego. Autor powiada pod r. 1830. „Zcudzoziemczali teoretycy wydarli z przed „ócz masy cel główny niepodległości narodu, kazali bić się „Mikołajowi królowi polskiemu przeciw Mikołajowi carowi „moskiewskiemu.” P. Moraczewski zapomina, że przed rozpoczęciem kampanii izby ogłosiły detronizacyą. Właśnie ten krok izb dał hasło wkroczenia wojsk rosyjskich. — Następującą hiperboliczną pochwałę przytaczamy bez uwagi: „W emigracyi w ogóle, a zwłaszcza w Towarzystwie demokratycznem „cnota polityczna wykształciła się do wysokości jakiéj dzieje „nieprzedstawiają i jakiéj przykład może nie zaraz się powtórzy. Pierwszym męczennikom chrześciaństwa mogło jeszcze „chodzić o zbawienie duszy własnéj, ale męczennikom emigracyi szło tylko o zbawienie drugich.” — Autor taki daje zarys propagandy demokratycznéj przed r. 1846: „Wtedy „rozpoczęła się praca konspiracyjna na obszerny rozmiar. „Książki jedne od Towarzystwa dem. emigracyi a drugie po „za niém wydane, głównie zaś jedna Prawdy żywotne i druga Katechizm demokratyczny, oraz pisma o sztuce wojennéj „Stolzmana, Wysockiego, Mierosławskiego, już od niejakiego

„czasu zajmowały wszystkich. Od szlachty, z miasteczek, „przez urzędników gospodarczych, przez nauczycieli wiejskich „rzucano pomiędzy lud wiejski nasienie poświęcenia." — W ciągu opowiadania o procesie czytamy: „Karteczki z więzień „ciągle wynoszone podawały jak świadek ma zeznawać. Uczono więc wielu ludzi prostych co to jest ojczyzna." Nam inne, przykre bardzo pozostało z owéj epoki wrażenie, my pamiętamy, że raczéj kazano się wtedy ludziom prostym zapierać jak przyznawać. Mówiąc o chwili rewolucyi berlińskiéj ważne p. Moraczewski porobił omyłki. Utrzymuje on, że ruch uliczny z za barykad przymusił króla do wydania patentu ogłaszającego wcielenie Prus do Niemiec i do przyjęcia trójkolorowéj kokardy. Nie tak się rzeczy miały. Król wydał patent 18. marca rano, barykady w południe stawiać zaczęto: zwycięztwo rewolucyi zaczęło się dopiero z wyjściem wojska z Berlina 19. rano; co się zaś tyczy kokardy tę król dopiero 21 przypiął. — Powiada p. Moraczewski, że Berlińczycy wymogli na królu wypuszczenie Polaków; o ile wiemy stało się to w skutek petycyi Polaków, przez deputacyą z Polaków złożoną w zamku oddanéj. — Kwestyą deputacyi z Poznania do Berlina prędzéj autor zamieszał niż wyjaśnił. Przyznaje sam, że komitet wysyłając deputacyą na wieść o patencie królewskim (o rewolucyi berlińskiéj jeszcze wtedy w Poznaniu niewiedziano), polecił jéj by oświadczyła królowi że ***Księstwo Poznańskie po wniknięciu Prus do Rzeszy Niemieckiéj chce oddzielnie pozostać, co mu według słowa królewskiego zupełnie jest dozwoloném,*** a potém ciągle o niepodległości nie o odrębności wspomina. O niepodległość się nie prosi tylko się ją bierze jeśli siły po temu wystarczają: zresztą czyż sam fakt wysłania deputacyi nie wyrzekał o utrzymaniu związku z Prusami i o układach na prawnéj podstawie? Zdania osobiste p. Krauthofera poparte powagą p. Moraczewskiego zmienić rzeczywistości niezdołają. Jest z resztą kilka niedokładności w tym całym ustępie. P. Moraczewski wspomina, że „deputacya komitetu narodowego poznańskiego „naradzała się wspólnie z komitetem polskim berlińskim." Tak wcale nie było. Komitet berliński dopiero na krótką chwilę przed posłuchaniem królewskiém 23. marca, przez niedarowną słabość ze strony deputacyi do współki z nią przypuszczony został. To co następuje ma pozory podstępnego oskarżenia. „Niektórzy członkowie deputacyi, powiada p. Moraczewski, widywali się z księciem Radziwiłłem, krewnym „królewskim, a nawet z ministrami; zmarnowali pięć dni pruskiéj trwogi już to na podróży już też na rozeznawaniu pola rządowego, dosyć, że Maciéj Mielżyński i Arcybiskup stanęli przy tém że niepodobna żądać niepodległości." Daty

dostatecznie autorowi odpowiadają. Deputacya wyprawiona z Poznania 20. marca, przyjechała do Berlina 22. z rana w dzień pogrzebu poległych. Straciła wprawdzie trochę czasu, ale nie pięć dni tylko kilka godzin wieczornych, bo zaraz nazajutrz rano była u króla. Zkądinąd żaden członek deputacyi niewidział się z ks. Radziwiłłem (nieobecnym w Berlinie aż do chwili posłuchania królewskiego), żaden osobnych porozumień z ministrami niezawiązywał. Twierdzić przeciwnie jest oszczerstwem, tak jak jest śmiesznością, zaręczać że *komitet struchlał z oburzenia* na wieść, iż deputacya traktowała na innéj zasadzie jak zasada niepodległości. Komitet czyli raczéj pozostali jego członkowie, niespokojni o wypadek rokowań dali się pociągnąć do wysłania Pana Chosłowskiego, to prawda. Większość przepomniała, że się przez to ubliżyło poważnym osobom deputacyą składającym; byli wszakże tacy w komitecie, którzy radzi podkopywali wpływ p. Mielżyńskiego uważając go *poniekąd za naczelnika szlachty i mieszczan zamożnych.* Autor z powodu jenerała Willisena w inną stronę pocisk rzuca. „Gdy, powiada, zjechał do „Berlina Adam Czartoryski i przywiózł z sobą jenerała Chrza„nowskiego, Willisen z Chrzanowskim układał wojnę Prus „przeciw Rosyi," i dodaje w przypisku: „Spomnieć tu może„my, że gdy w rok późniéj Chrzanowski został naczelnym „wodzem sardyńskim a zamiast się bić z Austryakami zawarł „z nimi haniebną kapitulacyą, Willisen jako pośrednik jeździł „z obozu austryackiego do obozu sardyńskiego." Zawziętość zadaleko p. Moraczewskiego uniosła, on historyk niby, zniżył się do grubéj potwarzy. Niebędziemy rozwodzić się z obroną, niepotrzebuje jéj szanowny jenerał Chrzanowski; wspomnimy tylko, raz, że bitwa pod Nowarrą dostatecznie odpowiada na zarzut *zamiast się bić z austryakami*, powtóre, że jenerał Willisen, posłany jako komisarz sztabowy do głównéj kwatery austryackiéj, w niczém się do układów nie mógł mieszać i niemieszał. Na innèm jeszcze miejscu czytamy: „Żeby w kierowaniu krajem uprzedzić demokracyą, spieszył i Czartoryski z Chrzanowskim niby przyszłym hetma„nem monarchicznéj Polski." Tak się obchodzi z ks. Czartoryskim i jen. Chrzanowskim historyk który Dembowskiego mieni *olbrzymem*, innego nie znanego człowieka *znakomitym patryotą*, który sławi *cnoty prawdziwie republikanckie i żołnierskie* mało jeszcze zasłużonéj osoby, i długi ustęp pochwalny panu Krauthoferowi poświęca. Jakżeż, czy p. Moraczewski myśli, że to wszystko historyą pozostanie? Ale wróćmy do ciągu opowiadania. Autor przyznaje że komitet w Poznaniu „wdzierał się do władzy prawodawczéj," tylko zamiast położyć tego na karb niedoświadczenia umysłów i omyłki,

tłómaczy „komitet dla utrzymania swego wpływu na lud, „wdzierać się musiał.” Nam się zdaje, że komitetowi o dobro sprawy a nie o utrzymanie chwilowego na lud wpływu powinno było chodzić. Na stronnicy 44téj dowiadujemy się po raz pierwszy niesłychanéj rzeczy (jedyneto ważniejsze odkrycie broszury). Przytaczamy dosłownie: „Na „wniosek uczyniony i obszernie wymotywowany przez Jędrzeja „Moraczewskiego, komitet wybrał pod zastrzeżeniem najści„ślejszéj tajemnicy *Rząd Tymczasowy Rzeczypospolitéj Polskiéj* „z trzech członków, który we właściwéj chwili miał nagle zjechać „do obozów, władzę komitetu za upadłą ogłosić, wodza za„mianować i skuteczne środki ku wyswobodzeniu całéj Pol„ski przedsięwziąść. Ponieważ kandydaci rządu tego powoły„wani przez różne sprawy z Poznania wyjeżdżali i jednego „dnia widoki były inne jak drugiego, przeto ten wybór taje„mny i święcie w tajemnicy dochowywany, kilkakrotnie był „w komitecie ponawianym a zawsze tylko do pewnéj godziny „jako prawomocny.” O tém ambitném i nieusprawiedliwioném zachceniu komitetu poznańskiego dotąd nie słyszeliśmy wcale. Dużoby było w téj mierze do powiedzenia, tylko że nieznamy szczegółów wstrzymujemy się od dłuższych uwag. Zawiązanie komitetu wojskowego, my sobie po bliskiém rzeczy rozpatrzeniu tłómaczymy niespokojnością ludzi z r. 1846, by władza nieustalona na korzyść stronnictwa radykalnego w komitecie głównym, z rąk jego w danym razie niewypadła. P. Moraczewski pisze: „komitet na zapytania z powiatów „względem uzbrojeń odpowiadał że je robić trzeba i to prze„ciw Rosyi, ale niewyrzekł tego ani nieuważał za rzecz ro„zumną wyrzekać przez odezwę wyraźną w obec Prusaków. „Naturalnym takiego działania było skutkiem że ludzie woj„skowi lub chcący za wojskowych uchodzić, pomyśleli o po„rozumieniu się względem wojskowości... (tu pomijamy przy„tyk mniejszéj wagi) i wystąpili jako komitet wojskowy, który „zaczął działać pod zwierzchnią władzą komitetu narodowego „i został przez niego uznany.” Że się wydział wojskowy sam komitetowi narodowemu narzucił, to jest jasne nawet ze słów autora. Co się tyczy komitetu narodowego, popełnił on słabość przystając na drugą obok siebie, najważniejsze w ówczesnych okolicznościach zagarniającą atrybucye, władzę środkową. Że potem ci lub owi członkowie wydziału wojskowego jeźli nie znajomość rzeczy, przynajmniéj wielką gorliwość pokazali, temu wcale nieprzeczymy. Portret Mierosławskiego nienajprzychylniéj kreśli p. Moraczewski, nasuwa o lekkomyślności, przypomina nierozważne zeznania w procesie, zarzuca połysk zewnętrzny, nieznajomość ludzi, nawet niepraktyczność. Prawda że nieskąpi mu miejscami pochwał, ale pochwał

ogólnych, nierozjaśniających raz rzuconych cieni. My ze szczegółów przytoczonych jeszcze bardziéj utwierdziliśmy się w dawném naszém o Mierosławskim zdaniu. Mierosławski zrozumiał od razu że w księstwie resursa do działania są za małe, i tylko przez punkt honoru, także w nadziei że zajdzie coś stanowczego na polu rewolucyjném ogólnem, jął się ociągać, zwłóczyć, i w obozie pozostał. Przyjął władzę którą mu wciskano w rękę, cóż miał robić? Trudno mu zarzucać że nieposiadał bohaterskiéj cnoty by się obronić dość powszechnym uniesieniom. Gdyby był umysłów wynalazkami skrzyń z kosami i plecionek niezabawiał, wstrzymał się od bałamutnych przemów i prosto po bitwie Miłosławskiéj wyrzekł iż nie pozostaje nic do roboty, mniemamy że odpowiedzialność jego do nieznaczących dałaby się ograniczyć rzeczy. P. Moraczewski tak o Libelcie na str. 60 wspomina: „z przezorności gdyby „Willisen chciał rozpoczynać układy, wezwano Libelta aby „pojechał dla pomocy obozom naszym. Libelt odparł że tego „nieuczyni, ponieważ do ostatniego upierać się gotów przeciw „wszelkiéj kapitulacyi, bo reorganizacya Księstwa już oczywiście na kapitulacyą obozów schodzi i zdawałoby mu się w tém „trudném położeniu rzeczą choć spóźnioną i ztąd już niejako „rozpaczliwą, ale przecież najzbawienniejszą, rzucić wojsko do „królestwa kongresowego. Tém bardziéj, odparł któryś z członków komisyi reorganizacyjnéj, jako człowiek popularny i zdatny tam potrzebny jesteś. Libelt który nigdy brakiem poświęcenia niezgrzeszył, oświadczył że pojedzie i pojechał.“ Kilka stronnic daléj czytamy: „żwawszy odcień komitetu, który „dawniéj wierzył w ruch na téj zasadzie że lud w całéj Europie odnosi zwycięztwa, teraz już ani niepróbował występować ze swojém zdaniem, zwłaszcza, że ludzie pokoju dawali mu odpór bardzo mocnym argumentem, to jest: *skoro „macie ufność w walce, to stańcie w obozie, ogłoście się rządem tymczasowym całéj Polski, zamianujcie wodza, rozpocznijcie dzieło, a my wam go z pewnością psuć niebędziemy.* „Już na to czas przeminął. Wojsko polskie wyglądało słabo, „nieprzemagała w niém myśl wkraczania do królestwa.“ Jeszcze dwa przytoczenia. Na sesyi w komitecie dnia 25 Kwietnia rozbierano kwestyą czy się bić z Prusakami czy nie. P. Moraczewski jak sam powiada zabrał głos za koniecznością boju. *Gdybyśmy*, mówił, *chcieli bój wstrzymać, na żaden sposób niedokazalibyśmy swego... Ludby krzyknął zdrada, i stracił zaufanie do swoich. Naczelnik Polak, a zdrajca, zdawałoby mu się jedném a tem samém. Czychają urzędnicy pruscy na nieufność i zatargi. Po rozwiązaniu obozów rzeź byłaby niechybną. Jest to rzecz wielka rozporządzać życiem własném, a cóż dopiero tysiąców braci i to jeszcze bez*

skutku; gdzie jednakże okoliczności tak staną że się krew lać musi, to przynajmniéj szukać najmniejszego rozlewu. Bój wojenny nigdy nie tak krwawy jak rzeż po domach. Walka w polu nie poniży godności narodu ale ją podniesie Rzeź w Wielkopolsce po rzezi galicyjskiéj byłaby może zagładą Polski. Składanie zatem broni jest myślą najnieszczęśliwszą jaka do głowy Polaka zakraść się może. Zapadła przecież uchwała że trzeba broń złożyć. Kilku członków a między nimi autor oświadczyli jako występują z komitetu.

„W tém, są słowa broszury, weszli do izby wracający „z Berlina Libelt i Prusinowski. Libelt uporczywie a w po„tężnych i z serca płynących jak zwykle słowach, żądał roz„wiązania komitetu, wezwania wszystkich do broni i walki „o śmierć i życie, ale że w zmniejszonéj liczbie inaczéj pa„trzano na całą sprawę, przeto się także z szeregu członków „wykreślić kazał. W tym samym czasie po za komitetem „utworzyło się na dwa dni tylko nowe zgromadzenie. Człon„kowie jego postanowili użyć swego wpływu na wywołanie „ogólnego w kraju powstania. Powyznaczano do agitacyi zna„nych ludowi wiejskiemu mieszkańców Poznania." Wieleć się tu uwag nasuwa! P. Moraczewski utrzymuje że na początku była mowa o wkroczeniu do królestwa, prawda, tylko nieznajdujemy ani w broszurze ani gdzieindziéj śladu by ktoś w pierwszych kilku dniach, w porze jedynie stosownéj, rzecz tę zalecał wyraźnie i stanowczo. Krok podobny nieprowadził do niczego, dziś to wiemy; wszakże łatwo zrozumieć że na razie, zamiar śmiałego rzucenia się naprzód nastręczył się wielu umysłom nawet praktyczniéjszym, tak jak w r. 1830 zamiar wyprawy na Litwę. Skoro jednak chwila sposobna rychło a niepowrotnie przeminęła, myśl wyprawy spadła do rzędu tematów opozycyi w komitecie. Nie podobna wierzyć w zupełną szczerość tego tematu, bo się radykalniejsza część komitetu raczéj za rewolucyą europejską jak za prowincyami polskiemi oglądała. Cóżkolwiek bądź, występowano z nim w dyskusyach. Członkowie komitetu mniéj *żwawego* odcienia, mieli wówczas słuszność ile razy oświadczali: dziś już zapóźno, ale jeśli wierzycie w środek ostateczny, działajcie. Nie było dla nich uczciwszego stanowiska do zajęcia. Cóż pozstawało *żwawszym*? Oczywiście powinni byli rzucić się naprzód albo się zgodzić z tamtymi. Pośrednich położeń między czynem a spekulacyą, wśród stanowczych wypadków się niezabiera. Nam się zdaje że odpychać reorganizacyą w chwili umów z jen. Willisenem (niewchodzimy tu ocenienie roli jaką odegrał ten pełnomocnik rządowy), prawić o boju z Rosyą wtedy kiedy już bój stał się niepodobieństwem, było to poświęcać dobro kraju i zdrowy rozsądek dla jakiéjś uczu-

ciowéj konsekwencyi albo dla narowu sprzeciwiania się innym. Są ludzie którzy i u steru niemogą się wyrzec przyzwyczajeń opozycyjnych. Opozycya komitetowa zużywszy jeden temat chwyciła się drugiego, i w obec wyraźnych niepodobieństw zaczęła powstanie ogólne, *wojnę ludową* zalecać. Wojna ludowa w jednéj małéj prowincyi polskiéj między wojskami Prus i Rosyi położonéj, wojna ludowa bez broni i bez organizacyi, nie dla wyswobodzenia ojczyzny i zwycięztwa, ale z oburzenia, przez chęć zemsty, czy można coś opłakańszego i dziwaczniejszego wymyślić! Jednakże ludzie poważni wystąpili z tym środkiem, zaś p. Moraczewski powiedział w téj okoliczności mowę którąby ledwie przebaczyć można takiemu coby wprost z sali obrad w bój zawzięty się rzucił, a któréj rozumowaniom wypadki zupełny fałsz zadały. Co gorsza on i jego przyjaciele zawiązali na swoją rękę nowy komitet i powstanie nakazali. Robiąc to, wyłamali się oni z pod posłuszeństwa jedynéj znanéj władzy narodowéj, i to wtedy kiedy wszelkie dyktatury, wszelkie rewolucye wewnętrzne do niczego nieprowadziły. Skutek tego anarchicznego przedsięwzięcia pokazał się mały, nie dysydenci komitetowi spowodowali zaszczytną obronę Książa i chlubne utarczki pod Miłosławiem i Wrześnią, oni tylko wywołali kilka ruchów partyzanckich i ogłoszenie rzeczypospolitéj w Mosinie (a); bądź co bądź za ten cały niewczesny wyskok, za ten objaw niemocy w obec nieprzyjaciół, wielka na nich odpowiedzialność ciąży. Niewywoływaliśmy tych wszystkich kwestyi, uznając je za przedwczesne, p. Moraczewski zmusił nas do dyskusyi wznawiając owe opozycyjne temata w zamiarze podniesienia jednych a poniżenia drugich. Pójdźmy daléj. Ustęp o obietnicy trzech morgów wcale niewyjaśnia kto winien tego nierozsądnego pomysłu. W każdym razie p. Moraczewski zdaje się niepochwalać całéj tranzakcyi. Zaraz potém w ustępie o niechęciach niemieckich czytamy: „Polacy księstwa poznańskiego znający „w większéj części dokładnie język niemiecki, oświeceni i „umiejący władać słowem i piórem, tém powabniéj na ową „porę że duchem republikanckim przejęci, pracowali po klubach i zgromadzeniach ludu w miastach od Odry do Renu." Wieluż to było takich Polaków? Czterech czy pięciu, tymczasem autor uogólnia przyznanie, jak gdyby chciał potwierdzić wszystkie dziwaczne o sile propagandy radykalnéj polskiéj nieprzyjaciół naszych zaskarżenia. Już to do klubów wyraźną ma p. Moraczewski słabość. Podoba mu się klub w Po-

(a) P. Moraczewski pisze; „W Mosinie dnia 3 Maja jakby na „przekorę monarchicznéj rocznicy w Polsce, ogłoszono Rzeczpospolitę polską."

znaniu, nawet o klubie wojskowym w Miłosławiu (klub wojskowy, dziwne połączenie wyrazów!) dość przychylnie się wyraża, nazwiska nieporządnych podwładnych co karność łamali ochoczo wymieniając. Dowiadujemy się tu z broszury ciekawego szczegółu jak Mierosławski pozbył się z Miłosławia p. Krautbofera posyłając go od siebie w misyi do Berlina. Wypadki wojenne niedokładnie i nieściśle p. Moraczewski opowiada. Podaje jak najfałszywsze liczby wojska, obroty źle oznacza i co chwila w jakąś poetyczną przesadę wpada. Każdy wojskowy uśmiechnie się na marsz Białoskórskiego *pół obrotu w prawo*, albo na wzmiankę o huzarach atakowanych pod Sokołowem *przez czworobok*. Obraz walecznego Dąbrowskiego kładącego kosą koło siebie kilku nieprzyjaciół jest wymysłem niepotrzebnym. Co się tyczy pomniejszych szczegółów, zrobimy uwagę że w rzeczy saméj jedna obywatelka z Koźmina dobiła rannego Prusaka i że młodzież akademicka nie w Pogrzybowie, ale w marszu z Pogrzybowa do Raszkowa, na pół drogi, dostała się do niewoli.

Na tem kończymy nasze zdanie sprawy, ile że nam się widzi żeśmy najważniejsze ustępy pracy p. Moraczewskiego rozebrali, żeśmy dali poznać dokładnie ciąg jego wyobrażeń. Sądząc opinie autora, sądziliśmy je ze stanowiska rzeczy publicznéj. Rozprawy podobne uważamy za konieczne w narodach politycznie żyjących. Doświadczenie albowiem rodzi się wtedy dopiero kiedy wypadki ubiegłe, skoro raz o nich sprawę wytoczono, ze szczerością i odwagą przepatrywane bywają.

Wyszedł z druku *Akt drugiego walnego zebrania Ligi polskiéj które się odbyło w Poznaniu d. 12 Kwietnia 1850*. (Poznań u Kamieńskiego). Akt ten zawiera wykaz delegowanych, kazanie ks. Prusinowskiego, sprawozdanie dyrekcyi, protokuł zebrania, w końcu ważniejsze okólniki. Wszystkich dokumentów dziś rozbierać niebędziemy, straciły one w wielkiéj mierze znaczenie istotne. O publikacyi powiemy że jest staranna i poprawna.

Nekrologi.

Wyjmujemy z innych pism polskich wiadomość o życiu Sylwestra Grozy, znanego ukraińskiego pisarza, który się z tym światem 4 sierpnia 1849 r. rozstał. Sylwester Groza urodził się w Międzyborzu na Podolu r. 1793. W kilka lat późniéj przeniósł się z rodzicami na Ukrainę. W r. 1802 oddano go do szkoły Bazylianów w Humaniu, gdzie nauki przez lat siedem odbywał. W r. 1809 wstąpił do palestry w Winnicy, ale niedługo w zawodzie prawnym wytrwał. Ożeniwszy się z Wincentą Odyńcówną, wziął się do gospodarstwa naprzód na Po-

dolu, potem na Ukrainie. Wśród wiejskich zatrudnień zaczął Sylwester Groza składać wiersze, ale długo nic nie ogłaszał. Dopiero kiedy jego młodszy brat Aleksander przedsięwziął pismo zbiorowe *Rusałkę*, dał się nakłonić do współudziału. W *Rusałce* między innemi powieść *Przygoda Fabiana Kilińskiego* umieścił. W r. 1840 wydał w Wilnie *Myśli nad niektóremi zdrożnościami ludzkiemi*. W r. 1842 *Powieści Podolsko-Ukraińskie* dwa tomy, także w Wilnie. W r. 1846 *Justynian żeniący się*, tamże. W 1848 w Warszawie *Hrabia Scibor na Ostrowcu*, tegoż roku w Wilnie *Pamiątki i wspomnienia*. Oprócz tego pisał wiele do *Athenaeum* i zostawił w rękopisie dwa tomy powieści i tom pism rozmaitych. Pisma ś. p. Grozy ostatecznie przez niego przejrzane i poprawione wychodzą z druku w czterech tomach.

Nie wspominaliśmy dotąd o zmarłych pisarzach romansów francuzkich, sądząc że dosyć głośności dzienników by zwrócić uwagę na ich literackie zasługi, a niechcąc wdawać się w surowy rozbiór i ostre nagany. Niezrobiliśmy więc wzmianki o śmierci płodnego i niewyczerpanego w dramatycznych sposobach Fryderyka Soulié, który zresztą w ostatniéj chwili żałował zgorszeń jakie spowodował. Nic także nie powiedzieliśmy o Karolu de Bernard, autorze udatnéj powieści *Le gerfaut* i wielu innych pospieszniéj napisanych. Wszakże w obec znakomitości p. Honoriusza de Balzac od przyjętéj zasady odstępujemy. P. de Balzac był czémś więcéj jak pisarzem romansów, i choć zbyt często złemu smakowi pochlebiał, choć reguł moralnych nie szanował a religią brał po swojemu, bogactwo psychologicznych spostrzeżeń jakie zostawił, wielkie rozmiary prac przedsięwziętych, w końcu wartość językowa tylu dzieł ogłoszonych, stawiają go w rzędzie celniejszych autorów naszego czasu. Honoriusz de Balzac urodził się w Tours r. 1799; nauki w kolegium miasta Vendôme odbył. W zawód literacki wszedł on wcześnie, ale zrazu nic uderzającego nie stworzył. Uwaga publiczna zwróciła się na p. de Balzac dopiero po r. 1830. Wiadomo jest że w téj epoce powziął on zamiar napisania pod tytułem *Komedya ludzka* ciągu powieści powiązanych z sobą tożsamością osób działających a przedstawiających towarzystwo francuzkie ze stron jak najrozmaitszych. Śmiała ta i wielka myśl w części wykonana została. Znakomite powieści *Eugénie Grandet*, *La peau de chagrin*, *Le père Goriot*, *Le lys dans la vallée*, delikatne szkice *Scènes de la vie privée* mieszczą się w tych ogromnych ramach. P. de Balzac probował rozmaitych rodzajów. Powieści *La recherche de l'Absolu*, *Séraphita*, są owocem poszukiwań mistycznych, upstrzone niepotrzebnemi archaizmami. *Contes drolatiques* dowodzą studyów nad starym językiem a mianowicie nad pismami X. Rabelais. Do ludu udało mu się przemówić w *Le Médecin de campagne*. Najmniéj był szczęśliwy w dramatycznym zawodzie. *Le Vautrin* i *La Marâtre*, dały powód do publicznego skandalu. P. de Balzac celował w anatomii uczuć i popędów, mianowicie kiedy przedstawiał charaktery chorowite lub ułomne. Każda znowu całość u niego jest mniéj lub więcéj fałszywa i gorączkową przesadą odraża. Wiary w cnotę, w ogóle wyższych natchnień do tego stopnia mu brakowało, gorżki sceptycyzm tak był ten umysł potężny owładnął, że najlepsze jego utwory niesmak i zniechęcenie jeśli nie zwątlenie moralne po sobie zostawiają. Choć obdarzony artystycznym smakiem, opisy swoje zwykle p. de Balzac zbytecznie drobnemi szczegółami zapełniał; znużona uwaga czytelnika nie mogła potém całego sobie złożyć obrazu. W stylu zawiły, goniący za trudnością i siłą, chwilami tylko wpadał na tor swobodniejszy i prawdziwszy. Bąć co bąć był to oryginalny pisarz

z treści i formy. P. de Balzac ożenił się w roku zeszłym z panią Hańską, z domu Rzewuską, siostrą autora Listopada, umarł w Paryżu w drugiéj połowie sierpnia r. b.

Nauki ścisle wielkie téj wiosny poniosły we Francyi straty. Umarł w Paryżu sławny chemik Gay Lussac, jeden z najznakomitszych współzawodników zgasłego przed dwoma laty Berzeliusa. (Mikołaj, Franciszek Gay Lussac urodził się w r. 1778. W ciągu swego życia piastował wysokie obowiązki i godności. Był członkiem akademii nauk, profesorem szkoły politechnicznéj, profesorem przy muzeum historyi naturalnéj deputowanym, a w końcu parem. Znaczną część ważnych swoich odkryć fizycznych i chemicznych uczynił w towarzystwie p. Thénard. Wydał wiele dzieł, mianowicie: ***Recherches phisico-chimiques, Mémoires sur l'analise de l'air atmosphérique*** wspólnie z Humboldtem, ***kurs fizyki*** i ***kurs chemii***. Wiadomości o głównych jego chemicznych, zwłaszcza co do własności rozmaitych gazów spostrzeżeniach, szukać należy w ***Annales de chimie***, ***Annales de chimie et de physique*** i ***Bulletin de la société philomatique***). Umarł także p. de Blainville, znany zoolog, gorliwy dyrektor muzeum ogrodu botanicznego, biegły profesor, pracowity członek Instytutu i pisarz ceniony w przedmiotach historyi naturalnéj.

Umarł we Francyi w miesiącu czerwcu zacny i powszechnie szanowany pisarz, vicehrabia Alban de Villeneuve Bargemont, mając lat 66. P. de Villeneuve młodo rozpoczął zawód publiczny. Za cesarstwa był prefektem w Hollandyi, Hiszpanii i Belgii, za restauracyi sprawował ten sam urząd, i w końcu powołany został do Rady Stanu. Od r. 1830 przestał urzędować i tylko w izbie deputowanych po kilkakroć zasiadał. Tam zastała go rewolucya 24 lutego. P. de Villeneuve w drugiéj połowie swego życia napisał dzieło ***Histoire du paupérisme,*** które mu otworzyło drzwi Instytutu, także ***Histoire de l'économie politique***. Z mniejszych jego dzieł najwięcéj zrobiło wrażenia ***Le livre des affligés*** W pismach tego autora z wysoką znajomością rzeczy i rzeczywistém w ciągu długiego zawodu publicznego nabytém doświadczeniem, łączy się żywe uczucie religijne. Usiłował on wytrwale naukę ekonomii politycznéj ograniczyć do właściwéj sfery i na podstawie chrześciańskiéj umieścić. Z drugiéj strony życie jego było pięknym przykładem cnót domowych i obywatelskich.

Brat vicehrabiego p. Ludwik de Villeneuve, autor ***historyi króla Renata Andegaweńskiego***, umarł podobnież w Belgii w ciągu września.

W tym wieku nadzwyczajnych przedsięwzięć industryjnych, ludzie którzy podają plany wielkich robót, albo przykładają rękę do ich wykonania, na ważne w dziejach oświaty zarabiają sobie stanowisko. Któż dzisiaj nie rozumie, że statki parowe i koleje żelazne, że olbrzymie dzieła jak most nad ciaśniną morską do wyspy Anglesey, albo telegraf elektryczny podmorski między Anglią i Francyą, więcéj jeszcze dla przyszłości świata jak dla oderwanéj nauki znaczą. Dla tego słuszną jest rzeczą wspominać zasługi zmarłych inżynierów. Przepomnieliśmy w roku zeszłym donieść o śmierci p. Brunel, który wykonał tunnel pod Tamizą. Dziś zapisujemy śmierć p. Roberta Stephenson, inżyniera kompanii kolei londyńsko-północno-zachodniéj, syna Jerzego Stephenson, o którego śmierci obszerniéśmy niegdyś donieśli (zob. ***Przeglądu*** T. VIII. str. 284).

Ogłoszona przed kilkoma tygodniami książka w Londynie pod tytułem: *Life, Poetry and letters of Ebenezer Elliott, by John Watkins,* przypomina nam żeśmy zaniedbali w swoim czasie uczynić wzmianki o śmierci tego poety, która nastąpiła 1go Grudnia, 1849 roku. Elliot był z niskiego pochodzenia. Urodził się w r. 1781 w małéj wiosce pod miastem Sheffield. Całą młodość swoją strawił jako wyrobnik w fabryce żelaza. Wyjąwszy Burnsa żaden może poeta *z ludu* nie miał tyle co on talentu. Widok nędzy między współbraćmi wyrobnikami dał jego utworom tę szorstkość i gorycz, która wzniosła Crabbego do znakomitéj w literaturze potęgi. Ogólna jednak jego walka przeciw niesprawiedliwościom układu społeczeńskiego w Anglii nie zwróciła powszechnéj baczności, aż dopiero gdy wybrał prawa zbożowe za wyłączny cel swych poetycznych gromów. Ztąd też jego miano *Corn-law Rhymer*. Niema wątpliwości, że pomiędzy potęgami, które się przyczyniły do zniesienia praw zbożowych, jego wiersze jako niepoślednią policzyć wypada. Przebrzmiały już dziś te spory, pisma i wiersze z téj epoki pozostałe straciły cały interes, ale uczucie wydobywające się z pełnego serca, uczucie krzywdy i cierpień ludu swojego, a osobliwie zamiłowanie natury sielskiéj, cnót i prostoty pod ubogą strzechą kryjącéj się, nadają i nadawać zawsze będą trwały urok poezyom Elliotta. Ograniczymy się na przytoczeniu następującego wyjątku z wspomnionéj książki.

„Najczęściéj chodził kiedy rozmawiał, zatrzymując się wtedy gdy „coś szczególnego miał powiedzieć. Miał głos głęboki i uroczysty. „Nikt nie umiał tak dobrze jak on sam czytać jego poezyi. Deklamo„wał je jak gdyby Pismo Ște, z zapałem i namaszczeniem, ale zarazem „z monotonią kaznodziejską. W mowach był często bardzo gwałto„wnym. Pamiętne jego słowa, które raz powiedział przeciw właści„cielom upierającym się za prawami zbożowemi: Otruliście Sokra„tesa, ukrzyżowaliście Jezusa, teraz nas głodną śmiercią zabijacie.“

„Zwyczaj miał lekceważyć siebie i swe pisma, a znowu mówić „z przesadzonemi pochwałami o innych. Powtarzał często: Bóg mi „dał bardzo słabe zdolności, we mnie żadnego ducha nie ma, niczego „w życiu utworzyć nie zdolam, gdybym tak pisał jak Pan, byłbym „szczęśliwym, twoja proza jest sama doskonałość, daj mi twą sztukę, „a gdy ci ją przedeklamuję zobaczysz, że się sam zadziwisz nad jéj „zaletami. Te i tym podobne wyrażenia słyszał nieraz autor zbliża„jący się ze czcią do niego po radę. Raz podałem mu jakieś wiersze „do przeczytania. Oddając mi je, rzekł, że były prześliczne jako szla„chetnych uczuć wysłowienie, ale poezyą nie są. Cóż więc jest po„ezya? — zapytałem. Serce mówiące samo do siebie, — odpowiedział. „Innego razu rzekł do mnie: Jeżli chcesz poznać czém jest natura „ludzka, to napisz poemat i pójdź między ludzi z listą prenumeraty. „Jam raz tak uczynił. Jeden ofuknął się: Czemuż czego porządnego „nie napiszesz, coby uczciwa dusza czytać mogła. Drugi krzyknął: „Widzę, że chcesz bym karmił twą próżność. I tak daléj.“

Elliott pracą swą dorobił się małego lecz wystarczającego na wygodne życie majątku. Stał się sam właścicielem fabryki żelaza. Dobytek ten stracił w czasie finansowych rewolucyi i bankructw zaszłych po ukończeniu wojny z Francyą. Drugi raz wziął się do pracy i znowu uzbierał sobie na starość dochód skromny lecz dostateczny na przyzwoite utrzymanie siebie, żony i dzieci.

Umarł w ostatnich czasach liryczny poeta niemiecki, znany powszechnie pod nazwiskiem Lenau. Pisarz ten zwał się właściwie Mikołaj Niembsch von Strehlenau. Ojczyzną jego były Węgry gdzie na świat w r. 1802 przyszedł. Nauki niższe ukończył w Wiedniu, w Wie-

dniu także naprzód się prawa, potém medycyny uczył. W r. 1832 odbył podróż do Stanów Zjednoczonych. Po powrocie wydał 2 tomy *poezyi*. Jest do dziś dnia siedm wydań tego zbioru. W r. 1838 wyszły *Nowsze poezye* (Neuere Gedichte) Mikołaja Lenau. Wielka prostota, żywe uczucie natury, razem nieudany smutek cechują większą część wzmiankowanych wierszy. Widać w nich także znajomość pieśni gminnych. Znane są i cenione ***Polen Lieder*** Mikołaja Lenau pełne rzewnych dla Polski uczuć. Z większych utworów tego wieszcza mamy poemata ***Faust***, ***Savonarola*** i ***Albigensowie***, którym niebrak na wysokich pięknościach, ale które pod względem religijnym uprzedzony i namiętny umysł pokazują. Jak we wszystkich poezyach Lenau tak i tam liryzm przemaga. Od r. 1844 cierpiał Lenau na umyśle. Resztę życia w zupełném odosobnieniu przepędził.

Uniwersytet berliński poniósł z wielu miar niepowetowaną stratę. Jan August Wilhelm Neander radca gen. konsystorza, profesor teologii, członek konsystorza prowincyi brandeburskiéj i akademii nauk, zakończył życie na dniu 14 Lipca 1850 r. Owóż gdy zamierzamy w krótkości opowiedzieć życie tego znakomitego człowieka i oddać sprawiedliwość jego cnotom a zasługom, winniśmy zrobić przedwstępną uwagę. Nasz sposób myślenia zbyt jest jawny i wyraźny byśmy się obawiali nieporozumień. Chwaląc człowieka i uczonego nie chwalimy nauki jaką głosił, wstrzymując się od krytyki przy wymienieniu dzieł, nie dajemy zatwierdzenia ich treści. W każdym razie myślimy że sprawiedliwość względem wyznawców innych opinii jest rzeczą wysoce moralną. Neander urodził się 16 Stycz. 1789 r. ze starozakonnych rodziców w Getyndze. Pierwsze nauki pobierał w Hamburgu, częścią w gimnazyum, częścią w Johanneum (rodzaj liceum) tamtejszém. Nie chęć zysku, ani żądza osobistych widoków, ale szczere, sumienne przekonanie, zdobyte długą pracą naukową i moralną, przywiodło go do przyjęcia chrześciaństwa według Luterskiego obrządku. Odtąd w życiu umysłowém nauka teologii a w praktyczném dążenie do doskonałości chrześciańskiéj stały się jego główném zadaniem. Już będąc chrześcianinem udał się na uniwersytet do Halli (w r. 1806), gdzie jako też i w Getyndze lat kilka bez przerwy pracował. W r. 1811 otrzymał w Heidelbergu upoważnienie na docenta i zaczął w świecie uczonym głośniejszym się stawać. Pierwszą pracą jego która mu zaraz wielką powagę w dziedzinie historycznéj teologii zjednała, było dziełko: ***O cesarzu Julianie i jego czasach*** (Lpz. 1812). Wkrótce potem (1812) powołany do nowo założonego uniwersytetu w Berlinie przeniósł się do téj stolicy, w ktoréj odtąd aż do śmierci niezmordowanie pracował. Wydał on tutaj: „Der heilige Bernhardus und sein Zeitalter" (Ber. 1813) — „Genetische Entwickelung der vornehmsten gnostischen Systeme" (Ber. 1818) — „Der heilige Chrisostomus und die Kirche, besonders des Orients in dessen Zeitalter" (2 tomy Ber. 1821—22; 2gie Wyd. 1832) — „Antignosticus. Geist des Tertulianus und Einleitung in dessen Schriften." (Ber. 1826). — Dla świeckich, nieobeznanych z historyą kościelną napisał śp. Neander: „Denkwürdigkeiten aus der Geschichte des Christenthums und des christlichen Lebens," w Berlinie 1822 T. 3. Dzieło to, dochodzące tylko do czasów Ansgara zawiera najważniejsze wypadki i sprawy chrześciaństwa, opowiedziane w sposób łatwy i przyjemny. Znalazło téż niezmierny pokup w Niemczech. W r. 1827 wydano drugą, a w 1845 trzecią edycyą. Najważniejszą jednak z prac Neandra jest jego: „Allgemeine Geschichte der christlichen Religion und Kirche" (5 tomów. Hamb. 1825—45, tom 1szy i 2gi, drugie wydanie w r. 1843—45). Autor głęboko zauważył i po mistrzowsku przeprowadził tę prawdę, że historya kościelna jest oczy-

wistym dowodem ducha bożego rozlanego w chrześciaństwie, a szczególne wypadki i czyny zbiorem nieocenionych chrześciańskich doświadczeń. Choć niezupełna, cóż to za wymowna i jak pognębiająca odpowiedź dla tych płytkich umysłów i piór niewstrzemięźliwych, co w przeszłym zwłaszcza wieku chrześciaństwo za wymysł księży podawali, a długotrwałość jego ciemnotą ludu tłumaczyć starali się. — Kiedy „Żywot Chrystusa" p. Strausa przeraził jednych, poparł niewiarę drugich, a słabych tysiącami do odstępstwa ciągnął, wystąpił Neander ze swojéj strony z dziełem: „Das Leben Jesu in seinem geschichtlichen Zusammenhange" (Hamb. 1837; 4ta edycya 1845). Nie przekonał zapewne nieprzyjaciół chrześciaństwa, ale sprostowaniem faktów, wyświeceniem trudności, wskazaniem rzeczywistego punktu widzenia ułatwił obronę jego zwolennikom i poparł tych, co się już chwiać zaczynali. — Oprócz tego napisał on jeszcze: „Geschichte der Pflanzung und Leitung der Kirche durch die Apostel" (2 tomy. Hamb. 1832 — 33; 2 Wyd. 1840) — „Kleine Gelegenheitsschriften" treści praktyczno-chrześciańskiéj i historyczno-exegetycznéj (3cie Wyd Ber. 1829). —

Prelekcye Neandra obejmowały wszystkie gałęzie historycznéj teologii. Oprócz tego dawał jeszcze exegezę pism nowego testamentu i teologią systematyczną. Wykład jego jasny i zdrowy pociągał mnóstwo, z daleka nawet przybywających słuchaczy. Nie zdarzyło nam się nigdy widzieć na jego prelekcyi przerzedzonego auditorium. Więcéj jednak może, jak przez wykład, zdziałał Neander przez bliskie, ojcowskie prawie pożycie z uczniami. Przystępny, łagodny, wyrozumiały, nie umiał nigdy odmówić pomocy czy materyalnéj czy duchowéj. Był też duszą grona gorliwszéj młodzieży która się obok niego kupiła. On jéj po za uniwersytetem dawał żywy przykład praktycznego zastosowania tych prawd chrześciańskich, które na katedrze z taką precyzyą myśli i siłą dyalektyki rozwijał. Życie jego całe było jedném usiłowaniem ku osiągnięciu doskonałości chrześciańskiéj. Udzielanie nauki i uczynki miłosierne wypełniały je całe.

W teologii zajmował Neander pośredniczące stanowisko między racyonalizmem a surową prawowiernością luterską. Na wiele zasad jego nie moglibyśmy się zgodzić, ale śmiało twierdzimy, że nigdzie nie przekroczył granic postawionych chrześciaństwu przez reformacyą, nigdy rozumu po nad objawienie nie postawił. Nie jest to już zapewne pierwotna, niezmienna myśl Lutra, ale ustąpienie w dzisiejszym stanie protestantyzmu niezbędne. Jakoż raz rozkiełznawszy umysł do wolnego tłumaczenia Pisma Ś. nie można stawać w pół drogi i myśl ludzką pojęciem XVI wieku określać.

Długo osierocony fakultet nie powetuje ciężkiéj straty jaką poniósł przez śmierć tego męża (*), długo żywa pamięć nauki i cnót jego pozostanie w sercu licznych słuchaczy i przyjaciół, długo ubodzy Berlina czuć będą brak ręki która im łzy ocierała.

Lubo od kilku lat chory, nie przestawał jednak Neander wykładać. W poniedziałek (8 lipca) jeszcze, z widoczném wprawdzie wysileniem czytał ostatnie kollegium, a w niedzielę następną już nie żył. Wspaniały pogrzeb, zaszczycony obecnością wszystkich znakomitości Berlina i wielu osób z dalszych stron umyślnie na to przybyłych, odbył się d. 17 lipca.

(*) Następcą jego ma być podobno Dr. Jul. Müller z Halli.

Poezya.

Biedniśmy dzisiaj.

Biedniśmy dzisiaj, o jak biedni bardzo!
Z ubóstwem naszém przed Twój tron o Panie!
Anioły Twoje nami nie pogardzą,
Otworzą niebo nam na posłuchanie,
Otworzą serca i do naszych pieśni
Przyłączą hymny spromienione.
Może, o Panie wysłuchasz nas wcześniéj,
Może na serca zakrwawione
Wypuścisz rosę chłodną,
Byśmy z łoża wstali,
I z twarzą znów pogodną
Cierpieli daléj!

Patrzaj o Panie! przy tych jęków lutni
Za życia w całun umarłych zwinięci,
Jacyśmy bledzi dzisiaj,—jacy smutni!
Skonali dawno na krzyżach rozpięci,
Zgorzały dawno już ofiarne stosy
I męczennicy już wymarli!
Dziś już my dajem synów na złe losy,
By ich wrogowie tam pożarli,—
Nie mamy dzieci drobnych
Na karmę dzikiéj straży,
A do ciemnic zagrobnych
Idą już starzy!

Swarzyliśmy się niegdy między sobą
O papierowe korony, o władze,
Pamiątki ojców, które nam ozdobą
Winny być zawsze, mieliśmy w zniewadze,—
Podnosiliśmy głowy pychą sprośne
Po nad rodzonych naszych braci,
Po nad ich jęki krwawe i stugłośne!
Dzisiaj sowicie czas nam płaci:
Dziś już równiśmy sobie,
Jakby Łazarze, biedni,
Na wydeptanym grobie
Wszyscyśmy jedni!

Szaleństwom wieku grożąc zatraceniem,
Na wzgardę świata dałeś nas o Panie!
Plwają dziś na nas, a naszém imieniem
Ziemscy mocarze słabe ludy straszą!
A braci naszych rozsypanych w świecie
Mimo ich nędzy i pokory,
Bez miłosierdzia rzucają na śmiecie
A grzebią żywcem — jak upiory!
A wieluż z wzniesionemi
Oczyma tam ku niebu
Zginęło w obcéj ziemi
I bez pogrzebu!...

Dałeś nam wiarę w dobrą przyszłość Panie!
Chociaż się wróg nasz coraz srożéj rozbutnia,
My gramy w pieśniach nasze zmartwychwstanie,
Że cały naród dzisiaj jest jak lutnia!...
Uwiędłe kwiaty po zimie znów rosną,
Drzewa w zielony liść się stroją,
Wędrowni ptacy wrócą do dom wiosną,
I pieśń zanucą znowu swoją!
Myż tylko Panie biedni
Pieśni téj nie zanucim,
Do naszéj dawnéj jedni
Nie powrócim?....

Z. Kaczkowski.

Sprawy publiczne.

Ważność chwili obecnéj w Poznańskiem.

Rozstrzyga się w tych czasach w prowincyi naszéj kilka zadań wielkiego znaczenia, są oprócz tego rzeczy, które uwagę na siebie ściągnąć powinny. O jednych i o drugich pomówić chcemy.

Na wstępie wspomnieć się godzi, że zarząd Wielkiego Księstwa w inne przeszedł ręce. Opuścił nas p. Beurmann, a na jego miejsce p. Bonin przysłany został. W układzie administracyjnym pruskim, przy zależności Naczelnego Prezesa od Rejencyi i podziale równie odpowiedzialności jak władzy, wpływ osobistości pierwszego urzędnika na ważniejsze sprawy jest oczywiście bardzo ograniczony; wszakże we wszystkich tych trudnościach jakie powstają ze staré dwóch

narodowości, albo przesadzonéj a nienawiścią podsycanéj gorliwości podrzędnych ajentów, jego sprawiedliwsze lub mniéj sprawiedliwe usposobienie, takt delikatny i siła woli, przeważny wpływ wywrzeć zawsze zdołają. Ludność polska niewymaga od naczelnego prezesa by dla niéj przekraczał obowiązki i przepisy urzędowe, ale żąda i ma prawo żądać szlachetności w postępowaniu, tudzież jeśli nie zupełnéj bezstronności, to przynajmniéj powstrzymania się w działaniu od wszystkich sposobów jakie nieznoszą światła dziennego, a dla jakich ślepa zaciekłość i chciwość niepohamowana przybyszów obcych na ziemi naszéj, zbyt często w sferach wyższych znajduje zatwierdzenie. Jeśli p. Bonin okaże się w Poznaniu urzędnikiem wedle prawa i człowiekiem honoru a nie narzędziem stronnictwa, Polacy nieodmówią mu szacunku i będą się starali o ile tylko obowiązki narodowe na to pozwolą, zadanie jego administracyjne ułatwić.

Z kwestyi miejscowych najgłówniéj teraz zajmuje umysły wprowadzenie w życie nowéj ustawy gminnéj. Rzeczy w téj mierze stoją jak następuje. W myśl prawa obrane zostały po powiatach (niewszędzie jednak) komisye z trzech dawniéj odrębnych stanów do rozgraniczenia i ustanowienia okręgów gminnych. Komisyom jak wiadomo mają przewodniczyć komisarze rządowi. Owoż rząd w Poznańskiém Radzcom ziemiańskim to jest landratom, obowiązek ten powierzył. Komisarze rządowi powinni opracować projekta rozgraniczenia gmin i przełożyć je komisyom, które znowu życzenia i potrzeby pojedynczych miejscowości przez wyznaczone podkomisye na gruncie protokularnie sprawdzić są obowiązane. Podkomisye zdadzą sprawę komisyi zebranéj pod przewodnictwem komisarza rządowego; wówczas, gdyby się pojawiły trudności, nastąpi odwołanie się do mającéj powstać z oborów Komisyi departamentowéj (Bezirks-Comission). W téj chwili (15. października) robota w dwóch czy trzech powiatach dopiero się rozpoczęła, w innych ani razu komisyi niezebrano i choć się zbliża miesiąc listopad, epoka wyborów, nic rychłego uporządkowania gmin wedle prawa niewróży. Urzędnicy miejscowi albo niewiedzą jak sobie począć albo niechętni przemianie nasuwają same niepodobieństwa. Darmo minister energiczny stronnik prawa, przysyła komisarzy by się oświecić od rejencyi i landratów, landraci rozmaicie i sprzecznie rzeczy wykładają. Niewiemy jak ta cała sprawa stoi w innych prowincyach, ale co u nas to największa część urzędników wcale w zaprowadzenie ustawy niewierzy. Jeszcze jeden szczegół. *Czas* krakowski donosił, że rząd ma myśl zamianować reprezentacyą prowincyonalną. To omyłka, ale zdaje się rzeczą pewną, że Naczelny Prezes wezwie do

Poznania małą liczbę obywateli z rejencyi poznańskiéj dla naradzenia się bliższego jeśli nie porozumienia. Być może, iż rząd zechce by ci obywatele utworzyli późniéj komisyę departamentową, która z wyborów powstać miała.

Co się tyczy usposobień kraju, włościanie mało wiedzą o gotującéj się przemianie i mało się nią zajmują. Można być pewnym, że znajdzie ich ona niedowierzającymi i niechętnymi, że większa część gromad powie tak jak się to stało w Babimostskiem, *chcemy zostać przy starym obyczaju*, że zwołani nawet podpisu na protokule odmówią. Chodzi więc tylko o oświeceńszą klasę, która dotąd brała mierny udział w téj kwestyi i którą zaledwie artykuły *Czasu* i uwagi *Gońca* znaglać do zwrócenia w tę stronę uwagi zaczynają.

Rzeczywiście cała kwestya ma bardzo wielką wagę. — Konstytucya weszła na drogę wyzwolenia gminy i choć napotykają się wielkie trudności w zastosowaniu teoryi do praktyki, choć obawa nowości, przywiązanie do dawnych nawyknień, rutyna biórowa, brak wykształcenia politycznego u rządzących i u rządzonych, stawiają ciężkie do przebycia zapory, zmiana stanowcza w organizacyi gmin prędzéj czy późniéj nastąpić musi.

W téj przecież chwili jesteśmy dopiero w epoce przejścia. Co do nas przypuszczamy że niema jeszcze mowy o całkowitém zastosowaniu prawa, że czas jakiś na próbach, komisyach, porozumieniach upłynie, że prawdopodobnie izby będą zawezwane do wprowadzenia pewnych modyfikacyi, i że w pomyślnym nawet razie urzędnicy w wykonaniu jak najciaśniéj przepisów prawa tłómaczyć nieomieszkają.

Ograniczając się do ściśle praktycznych zadań, parę tylko uwag nad położeniem w jakiém prawo obywateli polskich stawia zrobimy.

Ustawa gminna żadnéj samodzielności politycznéj gminom niezapewnia. Policya wtedy tylko do zwierzchników gmin ma należeć, kiedy się zdarzy że niebędzie osobnéj władzy policyjnéj. W księstwie znajdują się wszędzie komisarze obwodowi, owoż komisarze ci niezawodnie i nadal pozostaną, a jeśli przyjdzie do zamianowania urzędników policyjnych okręgowych, łatwo wnioskować, że ci urzędnicy zostaną oddani pod ich rozporządzenie. Wiadomo, że landrat powiatu Wyrzyskiego wezwał zwołanych do siebie na naradę właścicieli by zrobili rządowi przełożenie o usunięcie komisarzy obwodowych. Jest to wyjątkowe zdanie, które odgłosu w ministerstwie nieznajdzie. Cóżkolwiekbądź, myślimy że w razie wprowadzenia ustawy gminnéj, należy pilnować formacyi okręgów policyjnych i przestrzegać żeby urzędnicy okręgowi z osób zamieszkałych w okręgu obierani byli.

Ale jeśli zwierzchność gminna niewiele władzy policyjnéj dostanie, za to otwiera się przed nią szeroki zakres interesów materyalnych. Opieka nad majątkiem gminnym, kierunek i dozór wspólnych robót, w końcu rozkład ciężarów publicznych, (z zastrzeżeniem apelacyi dla tych którzy się pokrzywdzonymi osądzą, i konieczności upoważnienia od rejencyi lub rady departamentowéj w rzeczach większéj wagi), zupełnie do niéj należą.

Zwierzchność gminna (po wsiach będą ją składać przewodniczący i dwóch ławników) pobierać ma płacę. Jest to wznowienie względem ławników, co się zaś tyczy sołtysów ci zdawna posiadali używalność kawałka roli.

Jedyną tylko trudność wielkiéj wagi w naszych polskich stosunkach co do formacyi gmin napotykamy. Paragraf 146 ustawy opiewa: „Własności i dobra które do żadnéj jeszcze „gminy nienależą, albo muszą zostać samoistnemi gminami, „albo razem z sobą połączone stanowić gminy, albo wreszcie „z ustanowionemi już gminami być połączone." Chodzi więc o to czy się właściciele wiejscy mają połączyć w jedne gminy z włościanami, lub téż jak dotąd w odosobnieniu pozostać.

Kwestyą tę wytoczył przed kilku tygodniami i teraz dziennik *Czas*, zwracając uwagę na jéj znaczenie polityczne, towarzyskie i finansowe, *Goniec* jéj także pokilkakroć dotykał. *Czas* jest w gruncie za rozłączeniem, *Goniec* za połączeniem w jedno. Co więcéj, opinia tych którzy potrzebę rozłączeczenia utrzymują, znalazła już swoje zastosowanie. W powiecie Babimostskim dominia oświadczyły się stanowczo że chcą tworzyć osobne gminy.

My przedewszystkiém radzibyśmy żeby rzecz cała mogła być spokojnie, uważnie i bez drobnych politycznych namiętności rozbierana. Najszczęśliwiéjby się stało, gdyby cała prowincya, a z nią polskie części innych prowincyi, doszły do jednego przekonania; wszakże gdy to już niepodobna, niechże przynajmniéj względy wyraźnéj i praktycznéj korzyści kraju, a nie antagonizm powiatowy albo sprzeciwieństwo dla osób postanowieniami obywateli kierują.

Wiele jest do powiedzenia przeciw połączeniu, wiele za połączeniem; najlepsze umysły, najwykształceńsze i najpatryotyczniejsze w prowincyi dzielą się w zdaniu.

Co do nas jesteśmy stronnikami połączenia, wszakże zanim wypowiemy nasze powody, wprzód sposób widzenia przeciwników skrupulatnie wyłożymy.

Dwojakie są, tak mówią stronnicy odosobnienia, do uważania względy: moralne i materyalne. Co się tyczy pierwszych trzeba je sprowadzić do rzeczywistych i praktycznych pun-

ków. Jeżeli się nieprzestaniemy poruszać wśród wielkich ogólników miłości chrześciańskiéj, zbliżenia stanów, solidarności narodowéj i wspólności moralnéj, niedojdziemy do wypadków prawdziwych. Miłość chrześciańska, zbliżenie stanów, solidarność narodowa i wspólność moralna, wszystko jest to prawda, dobro, obowiązek, ale trzeba zobaczyć na jakiéj drodze lepiéj tym zasadom usłużymy. Owoż żyjąc tak jak dotąd w sąsiedzkich z włościanami stosunkach, nic nam nie przeszkadza wpływać na nich moralnie i wszystkich usług chrześciańskich względem potrzebujących dopełniać (dotąd większa część dworów opłaca doktora, posyła po niego, dostarcza lekarstw, sprowadza księdza, łoży na książki i nagrody dla szkółek, daje pomoce, często pożyczek udziela). Że niezależność nasza cenę tego wszystkiego podwyższa, to rzecz oczywista. Skoro poświęcimy niepodległość, nasze dobrodziejstwa zmienią się w powinności pieniężne i tylko ich zarząd w pewnéj mierze utracimy. Jeśli znowu o solidarność narodową chodzi, czyliż język, religia i dobre stosunki sąsiedzkie dostatecznie jéj nie zabezpieczają? Rozbierzmy teraz względy materyalne, posiadają one niezmierną wagę. A naprzód jakiekolwiek jest usposobienie włościan względem szlachty, jakikolwiek wpływ rządu na lud wiejski, można się spodziewać, że w razie połączenia prawie wszędzie właściciele więksi zarządcami gmin zostaną. Czyż w takim razie nie będą musieli stać się wykonawcami rozporządzeń rządowych często uciążliwych dla włościan, czyż mianowicie nie wyjdą na egzekutorów podatkowych? Nieukontentowanie włościan nie będzie szukać daleko, obróci się ono przeciw najbliższym narzędziom władzy, a ajenci policyjni korzystać z tego nie omieszkają. Jeżeli się zdarzy przeciwnie, że gmina niechętnie usposobiona wyłącznie w ręce włościańskie zarząd swój powierzyć zechce, jestże przesadą przypuszczać, że w takim razie właściciel będzie miał za wiele do znoszenia? Weźmy inną a bliską stronę kwestyi. Gminie służy prawo nakładania na siebie podatków ku opatrzeniu potrzeb miejscowych. Rozkład tych podatków ma zależeć od rady gminnéj. Czyż nie jasna rzecz, że większość rady będzie zawsze działała w interesie wyłącznym mniejszych właścicieli? Śmiało przypuścić można że w największéj liczbie przypadków, rada gminna nałoży podatek *postępowy*, którego cały ciężar spadnie na dominia, a którego niesprawiedliwości włościanie nie uczują. Dwa szczególniéj punkta, utrzymywanie dróg i opieka nad ubogiemi staną się powodem ciągłych zatargów i nieporozumień. I na czémże się skończy? Oto albo dominium będzie musiało uledz pod wymagalnościami i narazić na szwank gospodarstwo,

albo wejdzie na tor ciągłych odwoływań się do rad powiatowych i departamentowych, co w razie pomyślnego skutku uczucie pokrzywdzenia, przekonanie o przemocy bogactw i upokorzenie miłości własnéj za sobą pociągnie. O czém zawczasu przekonani być powinniśmy, to o tém że władze administracyjne nie tylko na prawdziwą drogę włościan nie naprowadzą, ale owszem przyuczone z powodów narodowych i biurokratycznych podkopywać wszelki wpływ po za ich obrębem powstający, nie przestaną im wystawiać że wielcy posiedziciele zajęci wyłącznie gromadzeniem majątku, obojętni są na ucisk ludu i ogólne dobro kraju. Jedném słowem poświęciwszy naszą niepodległość, zostaniemy zaabsorbowani przez większość nieoświeconą i nawet własnych interesów nieznającą, narazimy się na ciągłe kollizye i na rozdrażnienie, skutek zatargów, a nietylko nie otrzymamy w zamian żadnéj korzyści, choćby czysto moralnéj, ale nawet możność czynienia dobrze zmniejszy się w naszych rękach. Czyż nielepiéj że wszystko zostanie tak jak było, że wzajemną niepodległość zachowamy i że oświecona część narodu zatrzyma silne położenie, wszelką swobodę ruchów tudzież możność wywierania na kraj prawdziwego wpływu. I na to uważać należy, że wybór zwierzchnika gminy i ławników podlega potwierdzeniu władzy; jeżeli więc landrat z tych lub owych powodów nie potwierdzi większego właściciela i drugi wybór w tym samym kierunku zrobiony unieważni, na czele gminy zobaczymy ajenta rządowego, zamianowanego na lat sześć, którego jeszcze płacić będziemy musieli. *Czas* w artykule nadesłanym o prawie gminném (Ner 235) dodaje następującą uwagę: „Do pe„wnego stopnia przynajmniéj trzeba żeby wszystkie części je„dnéj gminy były koło siebie położone, pewną stanowiły ca„łość, wspólne miały interesa.... podstawą dobrze złożonéj, „dzielnie i skutecznie dla dobra wszystkich działać mogącéj „gminy, jest wspólnosć interesów materyalnych.... organizacya „gmin ma na celu zespolenie sił do wspólnych celów, trzeba „więc żeby siły chętnie się zespolały (nie zaś przymusowo) „przez uczucie wspólnego dobra i wspólnéj korzyści... Tym„czasem w niektórych miejscowościach tak są połączone wła„sności większe, że przyłączenie ich do gminy tylkoby teore„tyczne uorganizowanie sprowadzić mogło.”

Uznajemy całą ważność podobnych rozumowań, wszakże mamy na nie odpowiedź. Na wstępie zaraz kładziemy zdanie że w kwestyach takiego znaczenia względy na pewne zasady, jeśli nie rozstrzygają trudności praktycznych i nie uciszają głosu doświadczenia, górują przynajmniéj nad interesami chwili obecnéj. Jakkolwiek będziemy brali rzeczy jest to

niezaprzeczonym faktem, że konstytucya pruska postawiła nas w konieczności przyjęcia lub odrzucenia wspólności z włościanami, wyrzeczenia niejako czy mamy do nich zaufanie lub nie. Krok jaki w skutku wymagalności prawa uczynimy, będzie płodny w historyczne następstwa. Zawiązanie się w jedną społeczność ma swoje niedogodności, pociąga straty, korzyści wyraźnych nie przedstawia, to wszystko prawda; ależ nam w obec rządu zagrażającego naszéj narodowości, nie podobna abdykować wspólności narodowéj, i rozdział interesów materyalnych uznając, rozdwojeniu interesów moralnych i narodowych drogę torować. Nie dość na tém. Dotąd gminy wiejskie są zupełnie wydane na wpływ niższych urzędników pruskich i dopiero nowe prawo rozpoczyna ich wyzwolenie. Cóż jednak znaczy to prawo bez połączenia dominiów w jedno z gminami? Właściciel oświeceńszy stając w radzie gminnéj z gwarancyą wspólności ponoszonych ciężarów, rozsądku i dobréj woli, otworzy oczy włościan i łacniéj nienawistne wpływy od nich oddali. Skoroby się usunął, wpływ rządowy już i tak wielki, wzmógłby się i ustalił. Jest oprócz tego rzeczą niezawodną że w obec władzy gmina połączona nieskończenieby na sile moralnéj, powadze i niepodległości zyskała. Nie małą téż ma wagę połączenie pod względem gospodarskim: prowadzi ono za sobą podniesienie rolnictwa włościańskiego, a zatem zwiększenie krajowego bogactwa. Jakoż włościanie sami nie są w stanie, albo nie chcą przedsięwziąść ulepszeń, gdy tymczasem zachęceni wpsólnością niektórych robót gminnych, łatwiéj się dadzą do przedsięwzięć połączonemi siłami nakłonić. Sąsiedzkie stosunki mają swoją dobrą stronę, wszakże tylko tam gdzie właściciel rozumie i wykonywa obowiązki swojego położenia, opieszałych i obojętnych dopiero wspólność obudzi. Prawda, mogą oni uchylić się od wspólności, ale jeśli będzie w kraju silny głos za połączeniem, obojętni pójdą jak zwykle we wskazanym kierunku. Choć to może zbyteczna rzecz z naszéj strony, nawiasem wspomnimy, że nie przymus ale oświecone przekonanie pod wyrazami *silnym głosem* rozumiemy. Powiadają niektórzy, że włościanie zwierzchników gmin właścicieli za nowe rozporządzenia i podatki czyniliby odpowiedzialnymi. Nam się to nie zdaje. Włościanie Wielkopolscy mają nieufność ogólną, ale choć rząd szanują jako władzę, wiedzą dosyć co się koło nich dzieje. Że większość rady będzie wyłączniéj sprzyjać małym właścicielom, na to przystajemy, wszakże jesteśmy przekonani, że w znaczniejszéj liczbie razy (wyjmujemy kilka okolic w tym lub owym kierunku zdemoralizowanych) rozsądek i zastanowienie przemogą. Wreszcie niedługo

będziemy mieli w Prusiech stałą podstawę do wszystkich pieniężnych rozkładów; zaprowadzenie kadastru ułatwi sprawiedliwość, a tymczasem snadno będzie zasadę płacenia w stosunku ilości posiadanego gruntu przeprowadzić. Rozmaite niedogodności jakie wiele osób przewiduje, są ostatecznością, tymczasem wiemy że sprawy tego świata zwykle się w środku w normalnych czasach poruszają. Że rząd nieraz nadużyje swojéj władzy, że się zdarzy tu i owdzie przypadek że landrat skasuje wybory i urzędnika ze swojéj poręki postawi, to być może; wszakże uważamy za rzecz niepodobną by landraci wielką liczbę takich urzędników znaleść na zawołanie zdołali. Podszepty i drażnienia przychodzące na drodze administracyjnéj, ogólne postępowanie właścicieli, bliskich stróżów bezpieczeństwa publicznego, najlepiéj zniszczy. Co się tyczy wspólności interesów materyalnych, przyznajemy że nie będzie ona zrazu zupełna, że nawet właściciele więksi poniosą pewne straty, doznają pewnych niedogodności, jesteśmy przecie przekonani że się wszystko rychło do równowagi ułoży. Jednéj rzeczy jak w każdéj tak i w téj robocie publicznéj potrzeba, oto obywateli którzyby obok patryotyzmu i gotowości do ofiar, byli wolni od lekkomyślności i zachceń stronniczych, i nie kierowali się popędami wyobraźni, ale doświadczeniem i zdrowym rozsądkiem miarkowali swoje postępowanie. Rozbiór pytania czy należy łączyć kilka gmin w jedno, zostawiamy na późniéj.

Przechodzimy do innéj ważnéj kwestyi. Banki rentowe mają rozpocząć swoje czynności. Niektórzy obywatele uczynili już wnioski o listy rentowe, i komisye w wielu okolicach na miejsce zjeżdżały. Owoż pan K. B. w dobrze umotywowanym artykule (*Goniec* umieścił tę pracę w Numerze 42) wniósł by najbliższe walne zebranie Towarzystwa kredytowego departamentu poznańskiego zrzekło się swego prawa do listów rentowych. Pan K. B. uważa, i słusznie, że Towarzystwo którego z resztą położenie nic do życzenia nie zostawia (*) wcale swego bezpieczeństwa przez to zrzeczenie nie-

---

(a) Pan K. B. powiada: „Położenie naszego towarzystwa kredy-„towego na Ś. Jan było następujące. Z listów zastawnych 4 procen-„towych wydanych w kwocie 12,809,650 tal. było umorzonych 4,893,275 „tal. i progressya umorzenia już teraz idzie nader sporo. — Z listów „zastawnych 3½ procentowych w kwocie 11,536,740 tal. już także jest „umorzonych 1,371,380 tal. Mamy zatém umorzonego kapitału ogółem „6 264,655 tal. — Nadto fundusz właściwy Towarzystwa składał się „z 335,975 tal w 4 proc. z 472,480 tal. w 3½ proc. listach zastawnych

narazi, a otworzywszy drogę skutecznéj pomocy przyczyni się do podniesienia kredytu. (b) My z naszéj strony dodajemy że 2,000,000 talarów (pan K. B. przyjmuje tę sumę jako odpowiednią kapitałowi wydanemu na czynsze, mniemamy że ją za wysoko podaje, wszakże przypuszczamy ją tymczasowo) mogą znacznie interesa obywateli poprawić. Oczywista rzecz że przy dzisiejszym stanie kredytu lepiéj jest dla obciążonych właścicieli płacić dłużéj procent Towarzystwa jak grzęznąć w lichwiarskie stosunki albo się na ruinę narażać. Prawda, każdy z mniejszych właścicieli stosunkowo niewielką sumę w ręce dostanie, wszakże większa obfitość kapitału ogólnego uczyni tranzakcye łatwiejszemi, pozwoli mianowicie niejednemu wierzycielowi pofolgować w wymaganiach. Że kapitał do którego Towarzystwo kredytowe ma prawo, niezostanie strwoniony, na to jest gwarancya w rozporządzeniach ustaw o abluicyi ciężarów realnych względem pretensyi osób trzecich. Wszystkie obciążone majątki mają oprócz należności Ziemstwa długi na hipotece zapisane. Otóż te długi zostaną spłacone przedewszystkiem. Że korzyść jakaby wypłynęła z urosnięcia funduszu amortyzacyjnego o 1250000 jest mała, to niepodlega wątpliwości (Pan K. B. wyłożył rzecz dostatecznie w Nrze 62 *Gońca*). Zkądinąd możnaby się spodziewać że wielu, i to właśnie takich co najwięcéj dostali, listy swoje rentowe złożyliby Towarzystwu w części ba nawet w całości. Jakiekolwiek jest zresztą nasze przeświadczenie w téj rzeczy, dodać winniśmy że dla przesadzonych wyobrażeń o nienaruszalności za-

---

„i z 33,000 tal. gotowizny, prócz gmachu Ziemstwa. Towarzystwo „istnieje lat 28 a mimo nieurodzaju lat kilku ostatnich, mimo wypad-„ków politycznych które zasoby gospodarzy wyczerpały i kredyt tak „bardzo osłabiły, zaległości prowizyjne z lat wszystkich i z terminu „Sto. Jańskiego nie dochodzą w téj chwili 600,000 tal."

(b) Pan P. w Nrze 60 *Gońca* sądzi, ze bezpieczeństwo Towarzystwa zostałoby w takim razie na szwank wystawione. Zdanie swoje opiera on na uwagach, że bardzo znaczna część dóbr procenta jedynie z czynszów pobiera, że w wielu dobrach od czasu zaciągnienia listów zastawnych znaczne mogły zajść deterioracye, że posiedziciele choć wszyscy solidarnie odpowiedzialni w stosunku nie mieliby równych korzyści, i że odtąd na regularne odbieranie prowizyi liczyćby nie można Pan P. wnosi, żeby w każdym razie żądający wydania listów rentowych poddawali dobra nowemu szacunkowi. Dostatecznie na te zarzuty odpowiedział Pan K. B. w Nrze 63 *Gońca*. Niezawodną jest rzeczą, że wszelkie utrudnienia i półśrodki odebrałyby tylko ważność i skuteczność ustąpieniu.

bezpieczeń i dla trudności administracyjnych, wniosek Pana K. B. zapewne upadnie.

Jak się zdaje, inna się jeszcze droga dostania kapitałów w departamencie poznańskim otworzy. Projekt zawiązania nowego Towarzystwa ziemskiego, o którym donosiliśmy dawniéj, wcale porzucony niezostał, są nawet widoki że uzyska zatwierdzenie rządowe. Wedle niepłonnych pogłosek nowe Ziemstwo powstałoby na odmiennych od dziś istniejącego zasadach, z procentem znacznie niższym, z prostszemi niekosztownemi, a stałemi sposobami oszacowania majątków. Rzecz to ważna, żeby jak najwięcéj Polaków mogło w razie danym z nadarzonéj łatwości korzystać. Niezawodnie liczba majątków wolnych od zobowiązań względem teraźniejszego Ziemstwa, albo któreby mogły oczyścić się przez wzgląd na widoczną korzyść, stosunkowo jest mała, wszakże życzyć należy żeby wszyscy ci których interesa pozwolą, nieopuszczali sposobności i pod względem narodowym i pod względem finansowym ważnéj.

Znaczne naszéj prowincyi przedsiewzięcie, osuszenie błot Oberskich, przychodzi teraz do urzeczywistnienia. Roboty rozpoczęły się w ciągu lata, i pomimo rozmaitych nieprzewidzianych trudności dosyć sporo postępują. Pierwsza próba na polu praktyczném zraziła wiele umysłów; wszakże spodziewać się należy że wszyscy udział biorący pokażą należytą wytrwałość, dziś zwłaszcza kiedy rzecz cała zamieniona podpisem królewskim w prawo, zatrzymać się nie może i na téj lub na owéj drodze wykonaną koniecznie będzie.

Niedawno odbyły się popisy trzech gimnazyów katolickich naszéj prowincyi i przyznać należy że pod wielu względami rezultat może zaspokoić troskliwych o wychowanie publiczne obywateli. Gimnazyum Maryi Magdaleny w Poznaniu miało w ostatniém półroczu 635 uczniów (oprócz tego 27 septymanerów). Do examinu dojrzałości przedstawiło się tam 31 kandydatów, i choć aż 12stu próby niewytrzymało, zawsze jednak 19 młodzieńców, liczba dotąd niepraktykowana, ukończyło pomyślnie nauki. Promocye i nagrody nie były stosunkowo liczne: fakt ten przypisać głównie należy przepełnieniu gimnazyum. (*) Gimnazyum w Trzemesznie liczyło podczas ostatniego półrocza 445 uczniów. Świadectwo dojrzałości otrzymało

---

(*) ***Program królewskiego Gimnazyum Ś. Maryi Magdaleny w Poznaniu na rok szkolny*** 1849/50 (Poznań u Deckera) zawiera rozprawę ***De numero oratorio. Sententiae ab Aristotele ac Cicerone prolatas in theoriae formam redigere conatus est C. Steiner.***

tam 15 uczniów (z tych 5 w miesiącu Kwietniu) (a) Do gimnazyum w Ostrowie uczęszczało 204 uczniów, z tych 5 odbyło examen dojrzałości (b).

Zajmujący popis gimnazyum Maryi Magdaleny w Poznaniu zakończyło przymówienie polskie dyrektora. Dr. Brettner jasno wyłożył dla czego niepodobna więcéj uczniów do zakładu przyjmować, odezwał się zarazém do obywateli żeby przełożenie do ministerstwa w rzeczy otworzenia drugiego naukowego zakładu polskiego w Poznaniu uczynili. Krok to jest pożądany i konieczny, i jakkolwiek trzeba się przygotować na wielkie ze strony rządu trudności, poważne a wytrwałe żądania pomyślny wypadek sprowadzić muszą. Drogę usiłowaniom otworzyło podanie p. Cieszkowskiego doręczone w ciągu lata w ministerstwie oświecenia w Berlinie. Spodziewać się należy że przy pierwszym zjeździe obywatelskim (naprzykład w epoce walnego zebrania Pomocy Naukowéj które powinno wywoływać i zwykle wywołuje żywy udział) (c) ułożony zostanie i podpisany memoryał któryby deputowani z sobą na sejm zabrali.

Żeby o ile możności zapobiedz trudnościom w zarządzie przepełnionego gimnazyum, utworzony został inspektorat dla dozorowania trzech niższych klas. Na inspektora powołany został i objął urząd z rozpoczęciem roku szkolnego doktor Milewski profesor matematyki z Ostrowa (w Ostrowie zastąpił Dra Milewskiego Dr. Sikorski z Poznania).

Od początku ubiegłego roku szkólnego tak rozłożono nauki w trzech niższych klasach a mianowicie w kwarcie, iż uczniowie przechodzący do tercyi mogą, stosownie do wyboru, albo w realnych albo w gimnazyalnych klasach daléj się kształ-

---

Z wiadomości szkólnych wyjmujemy co następuje. Z nowych nauczycieli byli intermistycznie zatrudnieni Laskowski, Ks. Kielczyński i Palmowski, także Wegner (w septymie). Dr. Motty usunięty w r. 1846 przywrócony został do obowiązku. Opuścił gimnazyum od Wielkiéjnocy Dr. Malecki. Wszystkie klasy z wyjątkiem tercyi miały podwójne oddziały. Tercya realna pierwszy raz w roku ubiegłym obok tercyi gimnazyalnéj powstała. — Towarzystwo naukowéj pomocy utrzymywało w gimnazyum 65 uczniów i wydało na ten cel od 1go lipca 1849 do końca czerwca 850 sumę 3079 tal.

(a) Program gimnazyum trzemeszeńskiego zawiera rozprawę Dra. Piegzy *Unciarun theoria.*

(b) W programacie gimnazyum ostrowskiego znajduje się rozprawa Dra. Jerzykowskiego *Comentatio de quinque locis historiae Thucididae.*

(c) Walne zebranie Towarzystwa pomocy naukowéj odbędzie się 7 Listopada r. b.

cić. Zaraz z ubiegłym rokiem otworzono po raz pierwszy tercyę realną. W tym roku będą już dwie realne klasy, tercya i sekunda. Co do nas przywiązujemy większą wagę do gimnazyalnego jak do wyłącznie realnego wykształcenia; wszakże i realne klasy mogą oddać wielkie usługi jeśli tylko młodzież z ochotą i zdolnościami a nie mierni i opieszali uczniowie przychodzić do nich będą.

Ostatni popis gimnazyum Maryi Magdaleny nastręcza nam jedną uwagę. Celującym uczniom władza szkolna rozdaje zawsze książki w nagrodę. Książki te powinny zostać i zostają drogą na całe życie pamiątką; dla tego jest do życzenia żeby wybór dzieł łączył warunki stosowności, powagi i rzeczywistéj naukowéj lub literackiéj wartości. Czyżby się niegodziło książki dobre na całe życie, w ręce młodzieży wkładać i czyż niewypadałoby ograniczyć się do kupowania dzieł wypróbowanéj i nieprzemijającéj wartości? Te zapytania życzliwie władzy szkolnéj poznańskiéj i innym władzom szkolnym przedstawiamy. Dziwnie nas uderzył naprzykład wybór na nagrodę *Jordana,* fantazyi dramatycznéj przez Sowę.

Z emigracyi ciągle słyszymy głosy wzywające pomocy. Drukowane sprawozdania wykazują małe przychody, które ledwie drobną część potrzeb mogą pokryć. Znaczna większość emigrantów chce pracować i szuka zajęcia, wszakże chorych lub niezatrudnionych jest dużo i ci się za ratunkiem z ziemi rodzinnéj oglądają. Prawda czasy są ciężkie, interesa trudno idą, częste składki jeśli nie dobroczynność to cierpliwość Wielkopolan wyczerpały. Coż to jednak znaczy? Opłakanéj rzeczywistości nic nie oddala, obowiązków naszych chrześciańskich nic niezmniejsza. Granicę w dobrze czynieniu naznaczyć trudno, tak jak niepodobna osądzić kto i ile dać mocen. W téj mierze sumienie każdego wyrzeka nieodwołalnie. Owoż uczuciem potrzeby żywo przeniknięci, bez wymagalności ale z natarczywością do sumień się polskich udajemy. Są którzy powiadają że te kilka tysięcy talarów rok rocznie na emigracyą dawanych, zuboża prowincyą naszą. Jest to błahe rozumowanie i pochodzi chyba od takich co niewierzą że P. Bóg wszelkie miłosierdzie błogosławieństwami nagradza. Nie dobroczynność ale rozrzutność i zbytek, mienia uszczuplają. Dobroczynność prawdziwa zawsze idzie w parze z oszczędnością, która u nas niezawodnie do cnót narodowych należy. Są jeszcze inni co się niezgodami emigracyjnemi wymawiają. Tym odpowiemy że byleby tylko chcieli, łatwo godnych i pewnych pośredników znajdą. Co więcéj mimo waśni rozmaitych kółek, zwłaszcza wśród młodéj emigracyi, niesłyszeliśmy jeszcze żeby które z nich o nadużycie zaufania i złe rozrządzenie funduszami oskarżone zostało.

W ostatnich czasach powstała z ramienia ligi miejskiéj w Poznaniu komisya do zbierania składek na emigracyą. Żałujemy że się coś ogólniejszego i zupełniejszego w tym celu niezawiązało, ale kiedy nikt inny niepoczuł się do obowiązku niemożemy brać za złe chwalebnéj gorliwości. Składki mają być oddawane do kupca Jankowskiego w Poznaniu. Szkoda że zawczasu nieogłoszono na czyje ręce pieniądze do Paryża przesłane zostaną. W każdym razie nieoddajemy się przedwczesnéj w tym względzie niespokojności i z całéj siły ludzi dobréj woli do spiesznych datków zachęcamy. Wypada się téż spodziewać że znajdą się między nami osoby dobroczynne, zwłaszcza między kobietami, które sobie wezmą za zadanie kwestować na pojedyncze zakłady emigracyjne jak na szkółki męskie i żeńskie, towarzystwo dam, komisyą funduszów i t. d.

Na zakończenie wypada nam wspomnieć o kwestyi czysto politycznéj, o położeniu deputowanych naszych ze względu na mający się wkrótce otworzyć sejm w Berlinie. Położenie to jasne i proste zrazu zagmatwała niewstrzemięźliwość stronniczych niechęci (a). Dziś z tych lub owych powodów istnieją skrupuły w sumieniach, szanowne skrupuły jak wszystko co się sumień tyczy wszakże wedle nas niewczesne. Wielu zacnych ludzi chwieje się i obawia by sprawy krajowéj i dobréj sławy własnéj na szwank nienarazić. Otóż obowiązkiem jest tych co są przekonani że potrzeba reprezentacyi polskiéj w Ber-

(a) Do jakiego stopnia dochodzi nieskrupulatność u niektórych ludzi politycznych, jak łacno byle kto targa się u nas na cudzą poczciwość, tego mamy nowy dowód z okólnika ogłoszonego przez P. Włodzimierza Wolniewicza do wyborców okręgu gnieźnieńskiego, którzy go mandatem zaszczycili. P. Wolniewicz odrzucił mandat, miał wolność zupełną postąpienia jak mu się podobało; ale odrzucając rozesłał litografowany okólnik pełen obelg dla przeciwników swego zdania; otóż to podpada sądowi publiczności. P. Wolniewicz pozwala sobie nazywać opinię, któréj nie podziela *jezuicką restrykcyą*, *wykrętem*, nadużywa wyrazów *krzywoprzysięstwo, samobójstwo narodowe*, grozi nawet mianem Targowiczan. Jestże ta cała śmieszna przesada rozumowaniem? P. Wolniewicz jeszcze się prawie daléj posuwa. Powiada na jedném miejscu: „Niektórzy uciekają się do zasady, że trzeba częstokroć porzucić honorowe stanowisko dla utylitarnego." Tak potwornego zdania nigdzie nie pokaże. Postawił go sobie dla potrzeby polemicznéj, z ochoty do boju z wiatrakami. Żeby wykazać polityczną praktyczność okólnika, wspomnimy tylko, że P. Wolniewicz przyjmuje w nim alternatywę zostawienia Niemcom miejsc reprezentantów Księstwa w Sejmie.

linie, by śmiało swoje zdanie wypowiedzieli. My chętnie dajemy przykład, napisaliśmy dawniéj i powtarzamy dzisiaj że deputowani polscy jak dopełnili powinności protestując solennie złożeniem mandatów przeciw konstytucyi pomijającéj prawa ojczystéj prowincyi, tak mają teraz obowiązek przyjąć tę konstytucyą za czyn dokonany i na miejsca swoje do Berlina, skoro ich tam powołają, powrócić. Niema w tém wybiegu ani nieszczerości. Należymy przymusowo do organizmu politycznego obcego, czyż dla tego wolno się nam oddalić od wszelkiego publicznego życia? Nie, bynajmniéj. W sferze publicznéj chodzi o nasze najdroższe interesa. Strzedz ich, bronić, doglądać, nawet z poświęceniem spokoju własnego i wygodnéj niezależności powinniśmy. Więcéj ten dobrego zrobi ojczyznie kto niewyrzekając się żadnego świętego uczucia przyjmie choć ciasne do pracowania stanowisko, jak ten kto w nieczynności będzie się poił zadowolnieniem z dotrwania na drodze oderwanéj konsekwencyi. Niema środka, albo wypada usunąć się od urzędów i obowiązków publicznych, boć wszędzie składać przysięgę na konstytucyą trzeba (najkonsekwentniejszy był ów młody człowiek który temu lat pięć dał się uwięzić byle tylko nieprzysięgać jako żołnierz), albo godzi się dążyć w zakresie obowiązku tudzież godności narodowéj i osobistéj do zajęcia wszystkich miejsc które się tylko zająć dadzą. Jeszcze parę uwag dla tych co tyle w tym przypadku o nieszczerości i niemoralności rozprawiają. Nieszczerość (jeźli się te urzędowe stosunki stanowiące pole zetknięcia między dwoma sprzecznemi interesami, nieszczerością nazwać mogą) istnieje oddawna. Istniała na sejmach prowincyonalnych, na sejmie połączonym i na sejmach po r. 1848. Polacy występowali tam na gruncie traktatów 1815 r. a przecież żaden Polak wiedeńskich umów za obowiązujące dla siebie nieuznaje. Przy okoliczności zanoszono protestacye ogólniejsze, takie same protestacye będzie można i na przyszłość zanosić. Przypominamy też przykład niemałéj wagi. Frankfurt w r. 1848 pogwałcił nasze prawa narodowe a przecież po ustąpieniu ks. Janiszewskiego, wysłano tam doktora Libelta. Ale cóż znaczą dowody i fakta dla uprzedzonych? Bądź co bądź my utrzymujemy że deputowani nasi powinni jechać do Berlina żeby tam pilnować moralnych i materyalnych interesów kraju, robić przełożenia i przy sposobności w obec Europy prawa Polski przypominać. Pozorna niekonsekwencya u tych którzy raz z izby wystąpili, może da jaki powód do nieporozumienia lub do nieprzyjaznych uwag. Mała to przykrość, jaką znieść łatwo. Zresztą ktoś z grona polskiego w sposobnéj chwili będzie mógł znaczenie powrotu Polaków wytłumaczyć. Dodatków przy składaniu przysięgi niepotrzeba, wiadomo na-

przód żeby na nie niepozwolono. Proste a poważne wystąpienie dla przyjaciół wystarczy. Deputowani nasi mają do pokazania z jednéj strony odwagę cywilną, z drugiéj godność narodową i takt polityczny: ufamy że sprostają swemu zadaniu.

Sprostowanie. W artykule naszym o sprawach włoskich, (zob. przeszły numer) zarzuciliśmy Gońcowi powtórzenie sfałszowanego ustępu z dziennika *Univers* o inkwizycyi. Ustęp o którym mówimy, wzięty oddzielnie jest w sprzeciwieństwie ze zdaniem ogólném przez to pismo sformułowaném, a że sami sprawdziliśmy fałszywość przytoczeń w pismach niemieckich z polemiki dziennika *Univers* poczynionych, wzięliśmy całą cytacyę za przepisanie z drugiéj ręki. Odtąd doszedł nas *Univers* z 26 czerwca, gdzie ustęp wydrukowany w *Gońcu* dosłownie się znajduje. Znaczenie jego w ciągu artykułu zmniejsza się do historycznéj dyskussyi z dziennikiem *Presse* w rzeczy porównania surowości dawnych sądów, więcéj powiemy wyrwane zdania fałszywe o całym ciągu rozumowania dają wyobrażenie; bądź co bądź pospieszamy przyznać słuszność reklamacyi w N. 52 Gońca uczynionéj.

Na str. 759 (poszyt VI r. b.) mówiąc o wykładzie listów cyfrowanych Zygmunta Augusta, wyraziliśmy domysł, że położony na czele listu N. II, musi oznaczać że jeden list nieodczytany pozostał. Jest to omyłka. Ner I nosi tablicę z alfabetem, czegośmy zrazu nie dostrzegli.

Znaczniejsze omyłki druku
dotąd niewymienione w ostatnim poszycie.

str.	13	*w.* 11	*zam.*	maribus	*czyt.*	moribus
—	—	— —	—	salam	—	solam
—	132	— 2	*przemazać wyraz* położona			
—	140	— 9	*zam.*	władze	*czyt*	władzę
—	151	— 10	*popraw przez opuszczenie zepsuty okres*: *zam.* o dodatek pieniężny wytoczylo *połóż* dodatku pieniężnego zażądało			
—	195	— 30	*zam.*	jest to że jest	*czyt.*	to że jest
—	202	— 27	—	Maêvre	—	Ma lèvre
—	210	— 14	—	nasze	—	nas że
—	224	— 37	—	Na pisarza	—	Od pisarza
—	249	— 8	—	urządzenia się	—	urządzania się
—	—	— 45	—	odbudowania	—	odbudowywania
—	261	— 5	—	jeden w drugiego	—	jeden u drugiego

Omyłki w wstępnym artykule numeru niniejszego.

str.	268	*w.* 6	*zam*	stawali się	*czyt.*	stawał się.
—	276	— 35	—	Countics	—	Counties
—	281	— 34	—	Thoug	—	Though
—	283	*przedost.*	—	pagers	—	payers
—	284	— 15	—	overscers	—	overseers
—	—	— 33		*to samo*		
—	289	— 15	—	arear	—	arrear
—	202	— 22	—	Jorku	—	Yorku
—	293	— 6	—	gool	—	goal
—	294	— 31	—	vogues	—	rogues
—	295	— 12	—	overscers	—	overseers
—	296	— 14	—	sergent	—	sergeant
—	—	*ostatni*	—	quarter's sessioos	—	quarter sessions
—	301	— 16	—	plaintift	=	plaintif